

Emilie Richards

LEKCJA ŻYCIA

PROLOG

Trudno było wyobrazić sobie bardziej upalny dzień. Wprawdzie według kalendarza pełnia lata jeszcze nie nadeszła, ale termometry w Sadler County w Karolinie Północnej do kalendarza widać nie zaglądały.

Joseph Giovanelli stał w sosnowym lasku. Było wczesne popołudnie. Czuł fale gorąca opływające jego ciało. Biała koszula, którą miał na sobie, była już mokra. Wiedział, że powinien się przebrać, zanim wróci do szkoły.

Nie był tylko pewien, czy znajdzie w sobie dość energii, żeby to uczynić. Wpadł do domu po listę nowych uczniów, którzy jesienią mieli rozpocząć naukę. Z powodu nieobecności kolegi jemu przypadło zadanie przydzielenia im pokoi w internacie. Nie było w tym nic niezwykłego. Pilne sprawy zawsze załatwiał szef. A Joe był przecież dyrektorem szkoły średniej w Foxcove.

Nie unikał dodatkowych zajęć. Tak było i wczoraj – ślęczał przy biurku do północy. Ostatnio najlepiej pracowało mu się późną porą. Zawsze był bardzo aktywny, czuł się w swoim żywiole, gdy miał dużo zajęć i ani jednej wolnej chwili dla siebie. Obecnie graniczyło to już z manią. Zdawał sobie z tego doskonale sprawę, podobnie jak wszyscy w jego otoczeniu. Tylko praca jednak trzymała go przy życiu. A jeśli mężczyzna nie ma czegoś, co go trzyma przy życiu, równie dobrze mógłby nie żyć.

Kruk nad jego głową głośno wyraził niezadowolenie. Nie lubił intruzów w swoim królestwie. Ma rację, pomyślał Joe, nie powinienem zakłócać mu spokoju, a poza tym czeka na mnie robota. Mimo to coś kazało mu iść dalej. Ruszył ścieżką, którą sam wytyczył, kiedy był zmuszony wyciąć część drzew koło domu.

Te, które zostały, też dobrze wykorzystał. Sto metrów dalej zatrzymał się przed małą chatą z bali, której okno wychodziło prosto na spokojne niewielkie jezioro.

Przy brzegu pływały kaczki. Gdy tylko się zbliżył, wydały ostrzegawcze piski niczym czujny pies, ale Joe tego nie słyszał. Zamyślony, cofnął się pamięcią do beztrudnych, szczęśliwych dni. Ożyły wspomnienia.

Joe, wiesz, że jesteś szalony, prawda? Nikt, ale to nikt nie buduje domku do zabawy dla dzieci, których jeszcze nie ma na świecie. A w każdym razie nie robi tego, zanim nie wykończy domu, w którym sam będzie mieszkać. W naszej jadalni nie ma podłogi, a w kuchni kredensu. Jestem zmęczona przyrządzaniem posiłków na pudelkach. Posłuchaj... Joe, nie, daj mi spokój! Nie, nie zamierzam w tym uczestniczyć. Nie tutaj. Nic mnie nie obchodzi, czy ten domek ma ściany, czy nie. Tak, wiem, że robi się ciemno. Tak. Och, Joe, ty głupcze! Ty cudowny, kochany głupcze.

Patrzył na chatę i wyobraźnia podsunęła mu obraz dwojga ludzi, którzy wiedli dobre, szczęśliwe życie. Ujrzał swoją żonę Samanthę tak wyraźnie, jakby tu była, tak jak tamtego ranka, kiedy obserwował, jak podjeżdżała pod szkołę podstawową, w której pracowała. Jasnowłosa, smukła, z porcelanową cerą i z oczami błękitnymi jak woda jeziora. O tym, ile namiętności kryło się pod maską powściągliwości, wiedział tylko on.

Po karku i czole spływały mu krople potu. Wiedział również co innego – dzieci nigdy nie będą biegać po tej ścieżce ani bawić się w chacie; wnuki nigdy nie poznają urody tego jeziora, spokoju sosnowych lasów Karoliny Północnej.

Nie będzie słyszeć ich głosów ani śmiechu. Nigdy ich nie słyszał i nie usłyszy.

W ciszy panującej dokoła znowu rozległo się krakanie kruka. Wydawało się, jakby ptak chciał zapytać to dziwne zwierzę stojące na dwóch nogach, co ma zamiar zrobić.

– Mam zamiar wrócić do pracy – powiedział na głos Joe. – Co innego, u diabła, można tu robić?

I odwrócił się od chaty, od jeziora, od własnych marzeń.

Kiedy kruk znowu się odezwał, nikt go już nie usłyszał.

ROZDZIAŁ 1

Róże bladły. Róże więdły. Róże traciły płatki. Nigdy jednak nie zmieniały się w zupełnie inne kwiaty, chyba że ktoś im w tym pomógł.

Samantha trzy razy tego popołudnia przechodziła obok biurka i nie zauważyła, żeby nieskazitelnie białe pączki róż zmieniały się w przywiedle żółte mlecze. Teraz stała jak wryta i wpatrywała się we flakon. Zamiast pięknych smukłych łądyg z ciemnozielonymi liśćmi wystawały z niego wiotkie krótkie łądygi, które mieściły się akurat w dłoni dziecka. A delikatny wazon z białej porcelany był wyszczerbiony na brzegach.

Ucieszyła się, że woda nie wyciekła na piętrzące się na biurku papiery, zgromadzone tu po roku nauczania dwudziestu sześciu pierwszoklasistów czytania, pisania i dobrego zachowania. Po trzech latach pracy w szkole potrafiła już zrozumieć swoich podopiecznych i docenić drobiazgi. Przetrzęsając kosz na śmieci, pomyślała, że mlecze były symbolem tego, co ten rok znaczył dla pewnej małej dziewczynki. Świadczyły o tym, że Samancie udało się zrobić coś prawie niemożliwego: ucywilizować Corey Haskins.

Nie oznaczało to jednak, że proces ten został zakończony.

Na dnie kosza wypełnionego papierami, starymi notatkami, zużytymi długopisami i tubkami po kleju leżało sześć pięknych pączków róż. Miały połamane łądygi i pogniecione liście. Wyjęła je ostrożnie – choć ostrożność w tej sytuacji świadczyła o nadmiernym optymizmie – i skróciła trochę łądygi. Napuściła wody do umywalki i włożyła do niej kwiaty.

Skoro nie może mieć bukietu, będzie miała chociaż mały bukietek, który przypnie do sukni.

– Sortujesz śmieci, moja droga? Gdyby wszyscy byli tacy porządni jak ty, szkoła funkcjonowałaby jak motorówka na zawodach kajakowych.

Samantha zakręciła wodę i wytarła końce łądyg. Uśmiechnęła się do Polly, nauczycielki pierwszej klasy, która stała w drzwiach jej gabinetu.

– Nie rozumiem. Motorówka na zawodach kajakowych?

– Zastanów się, to będziesz wiedziała – uśmiechnęła się Polly, cedząc słowa. Weszła do pokoju w tym samym tempie, w jakim mówiła. – Wiedziałaś, że śmieci były rozrzucone po całej podłodze?

– Owszem. – Samantha wytarła ręce i podeszła do kosza. Zaczęła wrzucać papiery z powrotem.

– Czy ty wiesz, że dziś jest ostatni dzień szkoły, a ty zachowujesz się tak, jakbyś w ogóle nie miała zamiaru stąd wyjść? Może jeszcze znajdziesz sobie coś do roboty?

– Nie sędzę, przy tym upale.

– A więc możesz mi powiedzieć, co robisz?

– Widziałaś w holu człowieka z kwaciarni Allena?

– Owszem.

– Joe przysłał mi róże. Sześć wspaniałych białych róż.

– Joe mógłby zawitać do mojej sypialni, kiedy by tylko chciał. Samantha roześmiała się.

Polly zbliżała się do pięćdziesiątki, a każdego roku dokładała sobie kolejne pół kilograma. Miała rude włosy i ubierała się w rzeczy nadające się raczej na kościelną akcję dobroczynną. Mimo to Harlan, jej mąż od dobrych trzydziestu lat, wciąż uważał ją za najcudowniejszą kobietę w Sadler County, podobnie zresztą jak ósemka ich dzieci. Samantha nie musiała się o nią martwić.

– To dlaczego, u licha, we flakonie tkwią mlecze, skoro dostałaś od Joe róże? – Polly potrząsnęła z niedowierzaniem głową. – I następne pytanie, dlaczego w ogóle trzymasz ten flakon?

Samantha uprzątnęła śmieci i zaczęła porządkować biurko.

– Nie był taki wyszczerbiony, kiedy wkładałam do niego róże. Widocznie jedna z moich uczennic uznała, że mlecze będą w nim wyglądać lepiej. Musiała to zrobić po lekcjach. Chyba byłam wtedy w sekretariacie. Później wrzuciła róże do kosza i dobrze je przykryła. Właśnie je znalazłam.

– Uczennica. – Polly zwróciła uwagę na rodzaj żeński, który automatycznie wykluczał połowę klasy Samantha. – Corey? – domyśliła się.

– Prawdopodobnie.

– Chyba bym ją musiała związać, gdyby w przyszłym roku znalazła się w mojej klasie.

– Już to widzę – roześmiała się Samantha. Nie jeden raz, przechodząc obok klasy Polly, widziała, jak trzymała na swoim obfitym łonie jakieś dziecko, udzielając mu życzliwej reprymendy. Była kimś w rodzaju dobrej cioci dla wszystkich pierwszoklasistów i tak samo nie podniosłaby głosu ani ręki na żadne dziecko, jak nie ćwiczyłaby ani nie przestrzegała diety.

– Jak myślisz, dlaczego to zrobiła? – spytała Polly.

– Chyba chciała, żebym jej nie zapomniała – odparła Samantha.

– Jak gdyby ktokolwiek tutaj mógł ją zapomnieć.

Trudno było temu zaprzeczyć. Dziewczynka dała się wszystkim we znaki. Samantha popatrzyła na oprawione w ramkę zdjęcie klasowe. Corey stała w tylnym rzędzie. Była niższa od innych dzieci, ale gdy tylko fotograf na nią spojrzał, kazał jej przejść do tyłu, żeby jej ubranie przysłoniły głowy stojących bliżej.

Manewr ten udał się tylko częściowo. Nie dało się schować rozwichrzonej blond czupryny dziewczynki i jej podrapanej twarzy. Samantha osobiście delikatnie ją umyła, ale Corey podrapał kot – prawdopodobnie męczyła to biedne zwierzę – i brud ukrywał szerokie szramy, które na zdjęciu stały się doskonale widoczne.

– Co ona będzie robić w lecie? – zastanawiała się głośno Samantha.

– Moja droga – Polly przywołała ją do porządku – uprzytomnij sobie, że dziewczynka zdała do drugiej klasy. Być może to ręka boska, ale tak czy inaczej jest w drugiej klasie. Teraz nie będzie to już twój problem, bo ty nie uczysz drugoklasistów. Nic nie możesz zrobić. Ma matkę, a władze uważają, że jest ona zdolna do wychowywania dziecka.

– Czy matka zdolna do wychowywania dziecka posyła je do szkoły w brudnych pantoflach domowych?

– Wiesz przecież, że nie można odebrać dziecka matce tylko dlatego, że jest biedna.

Bieda nie miała tu nic do rzeczy. Wiedziały o tym obie, i Samantha, i Polly. Corey nie była jedynym dzieckiem z biednej rodziny. W Sadler County mieszkało wiele niezbyt zamożnych rodziców. Na ogół jednak ich dzieci były czyste i nie przychodziły do szkoły głodne, choć może nie zawsze jadły to, co powinny. A rodzice uczęszczali na wywiadówki i wypełniali formularze konieczne, by ich dzieci mogły otrzymywać bezpłatny lunch.

Matka Corey niejednego mogłaby się od nich nauczyć.

Na świecie jest mnóstwo ludzi, którzy rozpaczliwie pragną dziecka. Samantha знаła to uczucie aż nazbyt dobrze. A obok nich są tacy jak Verna Haskins, którzy mają dziecko i przeklinają dzień jego narodzin.

– Wiem, że nie będę już jej uczyć – powiedziała Samantha – ale trudno mi się z nią rozstać.

– Będziesz musiała się do tego przyzwyczaić.

– Czy wiesz, ile razy w tym roku dzwoniło do mnie w sprawie Corey? – Samantha zmusiła się do uśmiechu. – Trzydzieści dwa. I wszystkie telefony były od poirytowanych rodziców, którzy chcieli wiedzieć, co zamierzam z nią zrobić. Tak jak by to ode mnie zależało.

– Skoro już przy tym jesteśmy, nie zapominaj, że stary Ray Flynn chciał umieścić ją w klasie dla dzieci nieprzystosowanych, a wtedy ty zagroziłaś, że odejdziesz.

– Gdyby Joe nie był dyrektorem ogólniaka, Ray na pewno by mnie do tego zmusił.

– Masz rację. Joe potrafi bronić tych, którzy są mu bliscy.

– Naprawdę?

Głęboki głos od drzwi sprawił, że obie kobiety odwróciły się jak na komendę. Na progu stał Joe. Samantha wyczuła obecność męża, zanim jeszcze na niego spojrzała. Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że odpowie jej tym samym.

– Co tu robisz? – spytała.

– Wpadłem zobaczyć, jak sobie radzisz w ostatnim dniu pracy.

– Już mnie nie ma. – Polly skierowała się do drzwi. Przechodząc, poklepała Joe po ramieniu. Uścisnęła jej rękę i cmoknęła w policzek.

Samantha stała bez ruchu. Kiedyś Joe podbiegłby do niej, uniósł do góry i okręcił się wokół, trzymając ją w ramionach. Ale Joe, który teraz stał w drzwiach, był innym mężczyzną. Tak wiele się zmieniło przez ostatnie sześć miesięcy.

– Dostałam róże – powiedziała Samantha. – Były piękne. Nie spodziewałam się.

– Były?

– Cóż, zdarzył się mały wypadek. Przypnę je jutro do sukienki, na przyjęciu.

Joe podszedł do biurka. Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Objął ją mocno, a ona wtuliła się w jego ramiona.

– Jak ci minął dzień? – spytał.

Pytanie za pytaniem. Wiedziała, czego naprawdę chce się dowiedzieć. Czy w tym roku ostatni dzień był szczególnie ciężki? Czy trudno jej było rozstać się z dziećmi? Jak sobie poradzi przez całe lato, nie słysząc ich śmiechu?

– Dobrze – odrzekła. – A tobie?

– Uczniowie najstarszych klas zaśmiecili trawnik i rozsypali w holu łożyska kulkowe. Ktoś w tym tygodniu wypisał na boisku piłki nożnej nazwisko Dean Lambert Sucks. Użył do tego herbicydów. Z trawy nic nie zostało.

– Naprawdę?

– Mogło być gorzej.

Samantha objęła męża w pasie. Joe był świetnie zbudowany. Miał długie muskularne nogi, wąskie biodra i talię i bardzo szerokie ramiona. Wyglądał tak samo dobrze w garniturze, jak w kąpielówkach, ale najlepiej prezentował się bez niczego.

Odchyliła się do tyłu, by zobaczyć jego twarz o wyrazistych rysach. Odziedziczył je po przodkach z północnych Włoch. Były lekko złagodzone przez geny słowiańskiej babki. Włosy miał czarne, lśniące, a oczy tak ciemne jak jego najbardziej skryte myśli. Gdy się uśmiechał, jego twarz się ożywiała. W każdym razie kiedyś tak było.

– Dziękuję, że wpadłeś – powiedziała.

– Miałem do wyboru, albo przyjść, albo kopać ziemię na boisku. Pomyślałem, że Lambert powinien to zrobić, skoro to jego osoba wywołuje taką reakcję uczniów.

– Ale nie wiedziałby, jak wziąć łopatę do ręki.

– Prawdę mówiąc, zebrał wszystkich młodszych uczniów, którzy coś przeszkrobali, i polecił im to zrobić.

– Wspaniale. A więc może być pewien, że ta sama sytuacja powtórzy się w przyszłym roku, kiedy młodszy będą już w ostatniej klasie. – Odsunęła się. Nie mogli trzymać się w ramionach przez całe popołudnie, choćby było im nie wiadomo jak dobrze. – W przyszłym tygodniu muszę skończyć porządki – dodała. – Wracasz do szkoły czy idziesz do domu?

– Pojadę z tobą.

Była tak zdziwiona, że przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

– Dobrze – wykrztusiła wreszcie. – Może w domu będzie chłodniej.

– Nie licz na to.

– Możemy usiąść pod wentylatorem i napić się mrożonej herbaty.

– Pomóc ci? – Wskazał głową dwa pudła pod drzwiami.

– Mam tam tylko trochę rzeczy do przejrzenia w ciągu lata. Nie będę się nudzić. Parę nowych podręczników, które będziemy używać w przyszłym roku, trochę nut i innych materiałów do lekcji muzyki, ponieważ nauczyciel muzyki przeszedł na pół etatu i teraz będziemy go zastępować.

– Przepracowani i źle opłacani.

– Oto definicja nauczyciela – dokończyli jednogłośnie.

– Wezmę te pudła. Wstępujesz jeszcze do sekretariatu? Skinęła głową.

– Spotkamy się na parkingu. Był już za drzwiami.

– Joe?

Odwrócił się przez ramię.

– Te róże były najmiłym upominkiem, jaki od dłuższego czasu otrzymałam.

Uśmiechnął się przelotnie i jakoś niewyraźnie, a mimo to uśmiech, który złagodził na chwilę jego rysy, znowu obudził w niej nadzieję. Dopiero po pewnym czasie zdołała zebrać

myśli i ruszyła w kierunku sekretariatu.

Joe umieścił oba pudła w bagażniku samochodu. Był to amerykański wóz sportowy, czarny, lśniący, nisko zawieszony. Silnik miał więcej koni mechanicznych, niż mogły unieść nawierzchnie dróg w Karolinie Północnej. Kupił go przed sześcioma miesiącami, nie konsultując tej decyzji z Samanthą. Kiedy go przyprowadził, powiedziała to wszystko, co należało w tej sytuacji powiedzieć, ale wyraz jej twarzy mówił sam za siebie.

Joe nie wiedział, co skłoniło go do kupna ekstrawaganckiego auta, za który każdy chłopak z jego szkoły oddałby duszę. Ten symbol męskości i siły dostrzegł na parkingu przed salonem samochodowym i jeszcze tego samego popołudnia podpisał akt kupna. Może lepiej nie dochodzić, jakie motywy kryły się za tą decyzją.

Zabójca – tak Samanthą nazwała samochód – aż podskoczył, gdy Joe zatrzasnął bagażnik. Zaparkował pod kwitnącą magnolią, której delikatny zapach unosił się w powietrzu. Przez otwarte drzwi kawiarni dochodziły dźwięki pianina, a z boiska za szkołą rozlegały się głosy dzieci. Oparł się o samochód i skrzyżował ramiona. Nawet ta krótka chwila oczekiwania niecierpliwiła go.

Rozejrzał się po dziedzińcu szkolnym. Chciał na czymś zatrzymać wzrok. Wiewiórka przeskakiwała z gałęzi na gałąź, w górze rozlegało się stukanie dzięcioła. Zza budynku szkolnego wyjechał samochód i skierował się w pustą o tej porze ulicę.

Joe postukiwał nerwowo nogą o ziemię. Czuł narastające napięcie. Nie znosił bezczynności, męczyła go zdecydowanie bardziej niż praca czy wysiłek. Miał wrażenie, jakby ktoś związał mu ręce i nogi. Irytował się, ponieważ czekały na niego liczne sprawy, którymi powinien się zająć.

Nagle zobaczył jakąś małą postać przemykającą chyłkiem od krzaka do krzaka pod oknami jednej z klas. W pierwszej chwili zadał sobie pytanie, czy aby to dziecko nie jest wytworem jego wyobraźni. Zdjął ciemne okulary i zerknął ku zaroślom. Krzaki nie poruszały się, ale między zielonymi gałęziami błysnęła skrawek czegoś czerwonego.

Zrobił krok do przodu.

– Joe? – usłyszał nagle głos Samanthy. Nadchodziła z drugiej strony budynku. Niosła pudełko, a na nim flakon z mleciami. Położył palec na ustach, ale nie zwróciła na to uwagi.

– Joe, możesz zdjąć ten flakon, zanim spadnie? – zawołała. Zrezygnował z zabawy w chowanego i podszedł do żony.

– Jakież dziecko schowało się w krzakach pod oknem szóstej klasy – powiedział, biorąc od niej pudełko.

– Poco?

– Skąd mogę wiedzieć? Już od dawna nie jestem dzieckiem.

– Nikogo nie widzę.

– To dziecko umie się ukrywać, trzeba jej to przyznać.

– Jej?

– Coś tam zauważyłem.

– Co dokładnie?

– Jasne włosy. Czerwoną bluzkę.

– Corey. – Samantha postawiła flakon na masce samochodu i utkwiała wzrok w zaroślach.
– Corey! – zawołała. – Wyjdź stamtąd, poznasz pana Joe. Wyjdź, bo znowu się podrapiesz.

Odpowiedziała jej cisza.

– Corey? – Samantha wolno zbliżała się do krzaków.

Joe domyślił się, że dziewczynkę nietrudno przestraszyć. Samantha musiała coś na ten temat wiedzieć.

– No, chodź, Corey – powtórzyła łagodnie. – Nikt nie będzie na ciebie krzychał. Nie chcemy tylko, żebyś coś ci się stało. To nie jest dobre miejsce do zabawy.

Na końcu rzędu krzewów błysnęło coś czerwonego. Joe odwrócił głowę w chwili, gdy dziewczynka ubrana w koszulę z długimi rękawami i sztruksowe spodnie – zbyt ciepło jak na tę pogodę – wyczołgała się spod ostatniego krzaka. Stała i popatrzyła na niego. Nawet z pewnej odległości zauważył w jej ogromnych ciemnych oczach wyraz nieufności. Mała odwróciła się i pobiegła wzdłuż budynku. Zanim Samantha zdążyła cokolwiek powiedzieć, zniknęła za rogiem.

– A więc to jest Corey. – Joe podszedł do żony.

– Tak. Przykro mi. Tyle ci o niej opowiadałam i chciałam, żebyś ją wreszcie poznał.

– Po tych wszystkich historiach, które słyszałem, mogę poczekać jeszcze parę lat. Wtedy i tak ją poznam.

Uśmiechnęła się, ale w jej oczach dostrzegł smutek.

– Polubiłbyś ją, Joe. Łączy was coś wspólnego.

– Naprawdę?

– Oboje mnie kochacie.

Chciał dotknąć jej włosów, powiedzieć, że Corey ma świetny gust, ale milczał.

– Coś jeszcze? – spytał.

– Żadne z was nie ma najmniejszego pojęcia, jak obchodzić się ze swymi uczuciami.

Popatrzył na nią. Ta uwaga nie była w stylu Samantha.

– Dlaczego tak myślisz? – spytał po dłuższej chwili milczenia. Umknęła wzrokiem w bok. Wiatr rozwiewał jej długie jasne włosy. Najbardziej kochał ją w takich momentach jak ten, gdy nieoczekiwanie coś burzyło jej nieskazitelny wygląd.

– Przepraszam – powiedziała.

– A więc to był trudny dzień – stwierdził.

– Tak.

– Wiem, jak bardzo nie lubisz rozstawać się ze swoimi dziećmi.

– Nie z moimi, Joe – westchnęła. – Naprawdę mi smutno. Najgorsze jest to, że najtrudniej pożegnać mi się z Corey. Jest bardzo zdolna. Jej iloraz inteligencji jest tak wysoki, że Ray osobiście przejrzał jej testy, by sprawdzić wyniki. Nikt oprócz mnie nie wierzył, że może być aż tak inteligentna.

– Prawdopodobnie każdego roku w każdej klasie trafi ci się taka Corey.

– Uważasz, że przez to ma mi być lżej? Nigdy nie przyzwyczaję się do tego, że dziewczynka nie zalicza się do grona moich uczniów.

– Owszem, przyzwyczaisz się.

– Jeśli mam być szczerą, to liczę na to, że nie. Odnoszę wrażenie, że moja zdolność do zapominania ludzi jest na tak niskim poziomie, iż powinni się tym zainteresować psychologowie jako swego rodzaju anomalią.

Udało jej się uśmiechnąć, ale on nie był w stanie odpowiedzieć jej tym samym.

– Chyba już mam dość słońca – oświadczyła Samantha. – Jedźmy do domu. napijemy się mrożonej herbaty. Przygotuję coś dobrego na kolację. Co byś powiedział na spaghetti takie jak robi twoja mama?

Zerknął na zegarek.

– Nie będę jadł kolacji. Jestem umówiony w klubie.

– Czy to naprawdę takie ważne? – Popatrzyła mu prosto w oczy. – Już dawno nie spędziliśmy razem wieczoru. – Przynęła się trochę bliżej. – Moglibyśmy pójść nad staw, zobaczyć, czy woda jest już dostatecznie ciepła. A jeśli nie...

Wiedział, jaki będzie koniec zdania. Mogliby się nawzajem ogrzać.

– Przykro mi, ale obiecałem, że przyjdę. Musimy przygotować sprawozdanie. Nie mogę zawieść. – Znowu rzucił okiem na zegarek, jak by to mogło w czymś pomóc. – Zrobiło się bardzo późno. Wolałbym tego nie mówić, ale nie mam nawet czasu, żeby wstąpić do domu. Przed spotkaniem powinienem jeszcze trochę popracować.

– Czy to nie może poczekać?

– Chciałbym, żeby tak było – odparł niezgodnie z prawdą. Nie zamierzał siedzieć beczynnie w domu. W tym stanie ducha nie miał na to najmniejszej ochoty.

– Dlaczego, Joe?

– Co dlaczego? – udał, że nie rozumie pytania.

– Dlaczego dzisiaj przyjechałeś?

– Chciałem się przekonać, jak ci minął dzień.

– Myślę, że ta część” dnia, która się właśnie kończy, była najlepsza. – Ruszyła w kierunku swego samochodu, zaparkowanego parę rzędów dalej.

– W tym okresie roku człowiek ma szczególnie dużo zajęć – dodał Joe pełnym usprawiedliwienia tonem.

– Podobnie jak w każdym innym.

– Jutro będziemy mieć cały dzień wolny. Zatrzymała się.

– Jutro będziemy mieć dom pełen gości.

– Znajdziemy trochę czasu dla siebie.

– Nie, raczej nie. – Zatrzymała się obok Zabójcy i wzięła flakon z mleciami. Zwiędły na słońcu.

– Jedź prosto do domu i odpocznij. – Joe pochylił się i pocałował żonę w policzek.

Przez krótką chwilę był tak blisko, tak bardzo blisko...

– Postaram się wrócić wcześniej – dodał.

Samantha nie zareagowała. Po prostu odwróciła się i odeszła.

ROZDZIAŁ 2

W życiu zdarzają się zbiegi okoliczności, zmieniające losy przedmiotów i ludzi. Przykładem był dom Samantha i Joe. Sto lat temu mieścił się w nim sklep, w którym można było kupić niemal wszystko. Drewniany budynek, pokryty blaszanym dachem, został wyposażony w duży ganek, na którym klienci mogli wypalić fajkę i pogryźć ziarna słonecznika, gawędząc ze znajomymi. Od tamtych czasów względnej świetności sklep podupadł. Właściciele opuścili go z chwilą nadejścia ery automobilizmu. Po cóż komu taki sklep przy Old Scoggins Road, skoro można było pojechać do Foxcove, do tamtejszego supermarketu, w którym wybór towarów był znacznie większy.

W ciągu następnych lat w budynku mieścił się lokalny klub, później magazyn. Ostatnio stał bezużytecznie, służąc jedynie jako znak rozpoznawczy dla tych, którzy udawali się na farmę Insleyów, położoną około kilometra na południe.

Turner Insley, właściciel budynku, nie widział potrzeby jego wyburzenia. Nikomu nie zagrażał. Gdyby kiedyś sam się zawalił i tak nikt by tego nie zauważył. Za wyburzenie trzeba by zapłacić, a przecież były inne, lepsze możliwości wydania pieniędzy. Budynek, coraz bardziej zaniedbany, powoli zamieniał się w ruinę, ale nikogo to specjalnie nie obchodziło.

Nikogo z wyjątkiem Joe Giovanellogo.

Pewnego popołudnia wybrał się do Turnera, by porozmawiać z nim o jego najmłodszej wnuczce. Nesta Insley była niezwykle żywą osobą, uczennicą flirtującą z niemal wszystkimi chłopakami, uczęszczającymi do szkoły prowadzonej przez Joe. Przysłowiowy urok dziewcząt i kobiet z Południa nie był w Sadler County czymś nadzwyczajnym, ale wystarczyłoby jedno powłóczyście spojrzenie Nesty, by Rhett natychmiast rzucił Scarlett. Nesta owinęła sobie bez trudu dokoła małego palca wszystkich nauczycieli płci męskiej, z wyjątkiem Joe. Był wyjątkowo odporny na jej czar. Odkrył, że za demonstrowanym wdziękiem i witalnością na pokaz kryła się dziewczynka, która z trudem przechodziła z klasy do klasy i którą życie napawało strachem. Gdy rodzice oznajmili, że nie mają czasu, by się z nim spotkać, Joe zdecydował się porozmawiać z dziadkiem Nesty.

W drodze na farmę Insleyów musiał przejechać obok rozpadającego się starego budynku, z rdzewiejącym dachem i wałącym się gankiem. Nagle Joe postanowił się zatrzymać. Popatrzył na ruinę i zdecydował, że tu będzie jego dom.

Po przybyciu na miejsce zaczął od rozmowy na temat Nesty. Turner nie był naiwny. Wystarczyła mu opinia Joe i własne obserwacje. Zapewnił, że przejmie pieczę nad wnuczką i postara się ująć ją w karby. Uzgodnili, że Nesta będzie poddana większej dyscyplinie, a dziadek będzie na bieżąco sprawdzał jej wyniki w nauce. Turner wciąż miał w rodzinie ostatnie słowo. Tak naprawdę wszystko zależało od niego.

Następnie mężczyźni przeszli do sprawy nieruchomości. Turner zapewnił Joe, że nie potrzebuje zrujnowanego budynku ani parceli, na której się znajdował. Nie zamierzał jednak oddać ziemi za bezcen, co podkreślił parę razy. Z drugiej strony, sprzedać mógł jedynie ziemię, ponieważ nikt przy zdrowych zmysłach nie kupiłby starego budynku, którego

wyburzenie pociągnęłoby za sobą niemałe koszty.

A więc uzgodnili sprzedaż działki. I kiedy wymienili już uścisk dłoni, przypieczętowując nim transakcję, Joe oznajmił, że zamierza wyremontować budynek i zamieszkać w nim. Turner odprowadził go do samochodu, nie przestając się śmiać.

Następną przeszkodą do pokonania była Samantha. Zapamiętała dzień, w którym Joe przywiózł ją tutaj po raz pierwszy.

Był zakłopotany, co w jego przypadku oznaczało, że nie był tak bardzo pewny siebie jak zwykle. Obiecał jej przejażdżkę na wieś. Ich mieszkanie w mieście było ciasne, więc wyjście po południu z domu wydawało się dobrym pomysłem. Udali się w kierunku południowym. Samantha sądziła, że celem ich wycieczki jest jezioro w pobliżu granicy hrabstwa. Gdy Joe skręcił w Old Scoggins, zaciekawiała się, dokąd jadą. A kiedy zatrzymał się przed starym sklepem i zaproponował przechadzkę, zainteresowała się jeszcze bardziej.

Na wieść, że bez jej wiedzy kupił dom i ziemię, ogarnęła ją wściekłość.

Cały miesiąc upłynął, zanim zdołał ją przekonać, że po generalnym remoncie budynek nada się do zamieszkania. Joe nie był mężczyzną, który by się wycofał z raz podjętej decyzji. Był typem człowieka dominującego i odważnego. Ukończył szkołę średnią z tak wysokimi ocenami, że aż trzy różne college'e zaoferowały mu stypendium. Polly utrzymywała, że jeśli Joe coś postanowił lub do czegoś zapalił, nikt ani nic nie wybiłby mu tego z głowy.

Samantha jednak pozostawała nieugięta. Różnili się z Joe pod wieloma względami, ale wykazywali jednakowy upór, jeśli im na czymś naprawdę zależało. Samantha nie wyobrażała sobie, by nawet lata ciężkiej pracy zdołały zmienić tę ruinę w dom nadający się do zamieszkania. Joe patrzył na budynek i otaczający go teren i widział prawdziwy raj.

Koniec końców, oboje mieli po części rację.

Dziś, gdy zajeżdżała pod dom ocienioną alejką, widziała z daleka lśniący dach i świeżo pobielone ściany. Petunie wychylały się z czerwonych skrzynek pod zielonymi okiennicami. Na odnowionym ganku, wokół którego wiła się winorośl, stały trzy wyplatane fotele zachęcając każdego, kto chciałby przysiąść tutaj w blasku zachodzącego słońca.

Było tu wystarczająco dużo słońca, by rozkwitały kwiaty, i dość dużo starych drzew, które rzucały zbawienny cień, chroniąc przed upałem. Ogrodowe grządki Joe otoczył małym murkiem z czerwonej cegły, zaś alejkę prowadzącą do ganku wysypał kolorowym żwirem. Trawnik był gęsty i świeżo przystrzyżony. Niestety, zabrakło dzieci, które mogłyby biegać po nim na bosaka. Były za to kocięta. Bella zaledwie przed miesiącem zaprezentowała Samancie i Joe swoje małe.

Mimo tej idyllicznej scenerii Samantha odczuwała dokuczliwą samotność.

Wypiła szklankę mrożonej herbaty, wzięła prysznic i przebrała się w szorty i podkoszulek. Nastrój trochę się jej poprawił. Usiadła w fotelu na ganku i wzięła do ręki popołudniową gazetę, ale nie była w stanie się skupić.

Postanowiła pójść nad staw. Na brzegu uspokoiła Attylę, gęś, która nigdy nie potrafiła odróżnić przyjaciela od wroga. Słońce już zachodziło. Samantha usiadła na trawie i wystawiła twarz na ostatnie promienie. Nie miała po co wracać do domu, nie czekały tam na nią żadne obowiązki. Odetchnęła głęboko i ogarnęła wzrokiem okolicę.

Wieczór, w który poznała Joe, przypominał trochę dzisiejszy. Była późna wiosna, ale tak gorąca, że cały dzień spędziła, chroniąc się w klimatyzowanych pomieszczeniach lub pojazdach, ponieważ na dworze nie sposób było wytrzymać. Dopóki nie spotkała Joe, jej życie toczyło się utartą koleiną, dni mijały spokojnie, bez większych komplikacji, ale też bez uniesień.

Tamten wieczór wrył się jej w pamięć. Uśmiechnęła się, wspominając go, chociaż ich wspólne życie, które zapoczątkował, przyniosło wiele trudnych problemów.

– Och, Samantha, nie tę czerwoną. Za jaskrawa i za krótka. Naprawdę nie rozumiem, jak mogłaś coś takiego kupić. – Kathryn Whitehurst obrzuciła córkę baczным spojrzeniem, oceniając jej fryzurę, makijaż i suknię.

Samantha popatrzyła na matkę. Nic nie uszło jej uwagi. Ciepły, brzoskwiniowy odcień różu doskonale harmonizował z jasnymi włosami i alabastrową cerą, a linia karku i ramion współgrała z delikatnym zarysem piersi. Z matką nie warto było dyskutować. Kathryn ściśle przestrzegała zasad, zwłaszcza tych, które odnosiły się do wyglądu. Dopóki Samantha się do nich stosowała, była idealną córką, niczym kosztowna broszka ze smakiem dobrana do nieskazitelnego kołnierza matki.

– Włóż tę niebieską, którą mi kupiłaś w Nowym Jorku – zdecydowała.

– Świetnie, pospiesz się. Ojciec będzie tu za chwilę, a wiesz, jak on nie lubi czekać.

– Zaraz będę gotowa.

W swoim pokoju Samantha szybko zdjęła czerwoną sukienkę i wyjęła z szafy niebieską. Miała mdły odcień zachmurzonego nieba i gdy tylko ją włożyła i przejrzała się w lustrze, skarciła samą siebie za to, że posłuchała matki. Dzisiaj są przecież jej urodziny, kończy dwadzieścia jeden lat, a wciąż nie potrafi sprzeciwić się ani matce, ani ojcu. Zresztą, nie ma czemu się dziwić, skoro przez całe swoje dotychczasowe życie starała się postępować dokładnie tak, jak tego od niej oczekiwano, zgodnie z wpajanymi jej przez lata regułami. Była dobrze wychowaną dziewczyną, która stawiała się dobrze wychowaną kobietą. Nie miała przed sobą nic poza dobrze wychowaną przyszłością.

Gdy wróciła do salonu, zauważyła, że matka sposepniała.

– Zapomniałam, że tę niebieską sukienkę trzeba wyczyścić – powiedziała Samantha. – Zawiązałam szarfę, którą mi podarowałaś – dodała nieśmiało w nadziei, że matka zaakceptuje jej wybór. – Teraz lepiej wygląda, prawda?

– Wyglądasz bardzo ładnie. – Fischer Whitehurst właśnie wszedł do pokoju. – Pomyśl. Kończysz dzisiaj dwadzieścia jeden lat. – Nie wziął córki w ramiona, ale, trzeba mu oddać sprawiedliwość, nie wyciągnął również ręki. Uśmiechnął się tylko: daleki, powściągliwy, zawsze uprzejmy Fischer Whitehurst, który był jeszcze bardziej chłodny niż jego żona.

– Mamy rezerwację na siódmą – powiedziała Kathryn, odwracając się ku drzwiom. – Musimy się pospieszyć. Jeszcze możemy zmienić plany, Samantha. Jeśli wolisz, zjemy kolację w klubie.

– Och, nie, chodźmy do La Scali. – Samantha zerknęła ku ojcu, licząc, że ją poprze. – Chciałabym raz zobaczyć coś innego.

– To twoje urodziny – zgodził się ojciec.

Tak, to prawda. To były jej urodziny, ważne urodziny, i właśnie dlatego, jako posłuszna córka, zgodziła się, by je obchodzić w towarzystwie rodziców. Zaproponowali przyjęcie w swoim klubie, z orkiestrą, szampanem i specjalnym poczęstunkiem o północy. Coś w dobrym guście, ale na zbyt dużą skalę. Ona wolała kolację w rodzinnym gronie w nowej restauracji w Georgetown.

Kathryn rzadko bywała w Waszyngtonie. Już Chevy Chase, jej zdaniem, leżało zbyt blisko rozległej, ruchliwej metropolii. Każdego dnia przez trzydzieści lat małżeństwa tęskniła za rodzinnym domem, który pozostawiła na przedmieściu Charlotte. Mogła udawać, że wciąż jeszcze mieszka na uroczym, eleganckim Południu pod warunkiem, że zapominała o uporządkowanym życiu w Chevy Chase w pobliżu Waszyngtonu, gdzie jej mąż, prezes banku, nadzorował finansowe imperium, które przetrwało dwieście lat wojen politycznych.

Teraz Kathryn narzuciła żakiet i zacisnęła usta. Była najwyraźniej nieszczęśliwa z powodu wyboru córki, ale nie miała wyjścia. Musiała się zgodzić, gdyż tego od niej oczekiwano.

Samantha lubiła drogę, którą wybrał Melwin, kierowca jej ojca. Limuzyna podążała wzdłuż budynków oświetlonych reflektorami, nad Potomakiem, gdzie opadające kwiaty drzew czereśniowych pokrywały drogę niczym świeżo spadły śnieg. Samantha była zachwycona i uspokajała ojca, gdy tylko zaczynał narzekać, że Melwin niepotrzebnie jedzie dłuższą drogą. Wiedziała, że ta przejażdżka to podarunek urodzinowy, i była w siódmym niebie.

Już przedtem często tędy z Melem jeździła. Prawdę mówiąc, przez wszystkie lata smutnego dzieciństwa i trudnego okresu dojrzewania. Dla rodziców Mel był po prostu jednym z pracowników, niezbyt wykształconym, lecz godnym zaufania. Dla niej stał się dziadkiem, którego nigdy nie знаła, wujem z wyobrażeń, który przynosił jej zabawne prezenty albo z nią żartował.

Mel robił, co mógł, by rozweselić Samanthę i pomóc jej znieść samotność, na którą skazali ją rodzice zajęci swoimi sprawami i przebywający w swoim świecie. Wkrótce po rozpoczęciu pracy u Turnerów spostrzegł smutek goszczący na twarzy dziewczynki i obiecał niespodziankę, jeśli tylko się uśmiechnie. Tego dnia potajemnie zrezygnowała z lekcji tańca – rodzice nigdy się o tym nie dowiedzieli – żeby wybrać się na samochodową przejażdżkę, taką jak ta, którą Mel ofiarował jej na dwudzieste pierwsze urodziny.

Tamta wycieczka była pierwszą z wielu. Przez te wszystkie lata zwiedzili okolicę, zajrzeli do różnych kątów, zjadali lody w nędznych sklepikach, karmili gołębie – a nieraz i włóczęgów – w podmiejskich parkach, podziwiali ognie sztuczne na deptaku i ze łzami w oczach patrzyli na nazwisko syna Melwina wyryte na pomniku ku czci poległych w Wietnamie.

Gdy dojechali do La Scali, Samantha była nie ta sama. Domyśliła się, co usiłował dać jej do zrozumienia pocziwy, oddany Mel – oto przypominał jej, że powinna wybrać drogę, dzięki której jej życie będzie barwne, interesujące i wesołe. Oficjalnie stała się dorosła i mogła decydować o sobie i wpływać na swój los. Oczywiście pod warunkiem, że nie zabraknie jej odwagi, by wyłamać się spod kurateli rodziców i przeciwstawić stereotypom.

Mrugnął do niej porozumiewawczo, gdy wysiadła z samochodu. Samantha wiedziała, że wkrótce Mel wyjedzie do córki do Kalifornii.

– Proszę o drinka – powiedziała, gdy szef kelnerów, który najwyraźniej zorientował się, kogo gości, podprowadził ich do najlepszego stolika.

Restauracja była znana z wykwintnej kuchni i popularna w wyższych sferach, ale rodzicom wydawała się zbyt ekstrawagancka. Kolumny, wzorowane na antycznych, dzieliły salę wyłożoną marmurem. Podawano tu dania kuchni śródziemnomorskiej, obficie przyprawione ziołami, oliwą z oliwek i czosnkiem.

– Szampana? – spytał ojciec. – A może Dubonnet?

– Poproszę burbona. Podwójnego – odparła Samantha, nie patrząc na matkę.

– Mamy najlepszego burbona – usłyszała obok siebie uprzejmy męski głos. – Z piwnic samego Davy’ego Crocketta.

Zerknęła w kierunku matki i zobaczyła obok niej mężczyznę, który wzbudził w niej nagły niepokój. Był ubrany na czarno, śnieżnobiała koszula podkreślała oliwkową cerę. Uśmiechał się do niej, jak gdyby dobrze rozumiał, jakiego rodzaju oświadczenie usiłowała złożyć. Poczowała, jak ogarniają wewnętrzne ciepło.

Przez chwilę nie była w stanie odpowiedzieć. Mężczyzna był wysoki i szczupły. Sprawiał wrażenie kogoś tak pewnego własnej siły, że usługiwanie innym traktował wyłącznie jako drobny, uprzejmy gest ze swej strony.

– Proszę zrobić potrójnego – powiedziała wreszcie. Roześmiał się.

– Tylko, jeśli obieca mi pani, że ją odwiozę – odparł niskim, niebezpiecznie zmysłowym głosem.

Matka wydała dźwięk mający oznaczać dezaprobatę. Dla niej istniała wyraźna granica między obsługującym a obsługiwanym, tak wyraźna jak między Chevy Chase a centrum Waszyngtonu. Złożyła zamówienie w swoim i męża imieniu, nie pytając go nawet, na co miałby ochotę, i odprawiła kelnera niecierpliwym ruchem ręki.

– Nie wiem, Samantho, skąd się dowiedziałas o tej restauracji – powiedziała wolno z wyraźnym niesmakiem. – To naprawdę nie jest miejsce dla osób naszego pokroju.

Samantha odchyliła się na krześle. Poczowała przypływ energii i odwagi.

– Zgadzam się z twoją oceną, to nie jest miejsce dla ludzi waszego pokroju, ale to jest miejsce dla ludzi mojego pokroju. Tym razem musicie dostosować się do mnie. – Posłała matce swój najśłodszy, najbardziej niewinny uśmiech. – Rozluźnij się, mamo.

W czasie gdy sączyła burbona, rodzice rozmawiali wyłącznie ze sobą. Kiedy uprzytomniła sobie, że ta sytuacja jak najbardziej jej odpowiada – zastanawiała się, czemu wcześniej sobie tego nie uświadomiła – poczuła się już na tyle wolna, by obrzucić wzrokiem salę w poszukiwaniu Joe. Przedstawił się z godną podziwu zręcznością, gdy wrócił z drinkami, i opowiedział historię La Scali, wymieniając całą listę dodatków pobudzających apetyt. Przez cały czas nie raczył nikogo zaszczycić spojrzeniem. Wpatrywał się tylko w Samanthę.

Nie wiedziała, że zupa z białej fasoli z kiełbaskami przyprawionymi anyżkiem mogła się wydawać afrodyzjakiem. Mogła, gdy mówił o tym Joe. Takie słowa jak kalmary, risotto i

tortellini brzmiały w jego ustach niczym poezja. Mogłaby tańczyć w ich rytm, powiewając swoją szarfą jak Cyganka. A do tego jeszcze te cudowne dźwięki skocznej, a zarazem tęsknej melodii...

– Samantho, jak ty się zachowujesz przy tym kelnerze! Zwróciła uwagę na pełen niesmaku ton, jakim matka wycedziła przez zęby jej imię, i zaczęła się zastanawiać, czy było to coś nowego, czy też wyśmienity burbon z Kentucky wyostrzył jej spostrzegawczość. A może to obecność Joe o obco brzmiącym nazwisku, który zaprzętał jej myśli, sprawiła, że widziała otaczającą rzeczywistość w innym świetle?

– Jak to, jak ja się zachowuję? – zdziwiła się. – Przecież siedzę tu z wami i słucham, o czym mówicie.

– Cały czas obserwujesz tego mężczyznę.

– Cóż, to naprawdę wspaniały okaz samca i każda prawdziwa kobieta na moim miejscu robiłaby to samo. – Uśmiechnęła się leniwie. – Popatrz na niego, mamó. To lepsze niż aerobik.

– Myślę, że nie powinnaś więcej pić, Samantho – upomniał ją ojciec.

– A ja myślę, że wypiję jeszcze jednego.

Wypiła więcej, uśmiechając się coraz bardziej uwodzicielsko, gdy składała zamówienie. Oczy Joe miały kolor ciemnego granatu, gdy prześlizgiwały się po jej nagich ramionach, szyi i tym, co ukrywała pod suknią ściśniętą szarfą. Jego zęby były olśniewająco białe, a zmysłowe usta uśmiechały się tylko do niej. Zanim podał sałatę, była już zakochana, a nim skończyła pieczeń z jagnięcia – zakochana nieprzytomnie.

– Mam ochotę na deser – powiedziała Samantha, gdy ojciec zamierzał poprosić o rachunek.

– Twoje zachowanie jest skandaliczne. – Kathryn odsunęła krzesło, jak gdyby chciała wstać przed zapłaceniem rachunku.

– Mam ochotę na deser – powtórzyła Samantha, akcentując każde słowo. Sama sobie się dziwiła. Nigdy by nie przypuszczała, że zdobędzie się na tyle odwagi. Czyżby aż tak się zmieniła? A może sprawił to burbon? Albo Joe?

– I mam także ochotę na własne życie – dodała. – Dzisiaj skończyłam dwadzieścia jeden lat. Czyżbyście zapomnieli?

Ojciec położył rękę na jej dłoni. Był to gest jak na niego niezwykły, ale pozbawiony czułości. Wiedziała, że jest zdenerwowany, a ją to, na przekór, ucieszyło.

– Chodźmy do domu, Samantho. Porozmawiamy o tym jutro.

– Jutro nie będzie moich urodzin. – Pochyliła się ku ojcu i stwierdziła, że sala lekko się przesuwa. – Dzisiaj są moje urodziny – dodała. – Skończyłam dwadzieścia jeden lat. O co ten cały hałas?

– Za dużo wypijaś. – Głos ojca zabrzmiał surowo. – Wracamy do domu.

– Wy wracacie. Ja zostaję.

– A jak zamierzasz wrócić?

– Taksówką. – Zawahała się przez chwilę. – A może nie wrócę? – Wzruszyła ramionami.

– Nie muszę, prawda? Zdumiewające. Naprawdę nie muszę.

– My weźmiemy taksówkę. – Ojciec wstał i skinął na Joe. – Zostawimy ci samochód. Powiem Melwinowi, żeby cały czas na ciebie czekał. Nie wyjdiesz stąd bez niego. Rozumiesz? A teraz możesz zostać i wpatrywać się w tego... – Urwał, nie chcąc powiedzieć czegoś niestosownego.

– Miłego młodego człowieka? – Samantha zmrzyła oczy. – Weź to. – Odpięła szarfę i rzuciła matce. – I powiedz Melwinowi, że mogę stąd wyjść bardzo późno. Może zjem dwa desery, a może nawet trzy.

Joe podszedł do stolika.

– Przepraszam. Czy mogę w czymś pomóc? – spytał. Ojciec wręczył mu kartę kredytową.

– Weź to, dopisz do rachunku napiwek i wszystko, co ona jeszcze zamówi. Jeśli ta karta nie wróci do północy razem z moją córką, odpowiesz za to. Czy wyraziłem się jasno?

Samantha zauważyła, że Joe zmartwiał. Była przerażona, ale zanim zdążyła znaleźć odpowiednie słowa, Joe zwrócił się do ojca.

– Oczywiście, może pan być spokojny – zapewnił uprzejmie. Ojciec odwrócił się błąd z wściekłości, jak gdyby jego sugestia, co Joe ma zrobić z kartą kredytową, została odczytana dosłownie. Nadszedł szef kelnerów. Odprowadził Whitehurstów do wyjścia, stokrotnie przepraszając za incydent, który nie powinien się wydarzyć, po czym zjawił się przy stoliku, zanim Samantha zdążyła przeprosić Joe, który wciąż stał jak wrośnięty w ziemię. *Maître d'hôtel* tonem nie znoszącym sprzeciwu kazał mu zabierać rzeczy i nigdy więcej się nie pokazywać.

Samantha nie miała pojęcia, jak w tej sytuacji powinna się zachować. Z tego wszystkiego się rozpląkała.

– Chodź, kochanie – usłyszała głos Joe. – Pójdiesz ze mną. To był najlepszy pomysł tego wieczoru. Zastanawiała się, czemu sama na to nie wpadła.

– Bardzo krótko mnie trzymali – wyjaśniła.

Twarz Joe stopniowo się wypogadzała. W końcu rozjaśnił ją szeroki uśmiech. Objął ją i pomógł wstać. Oparła się o niego i stwierdziła, że świetnie do siebie pasują.

– Nie mam doświadczenia w sprawach seksu – wyszeptwała. – Rozumiesz, panienska z dobrego domu, ekskluzywna szkoła z internatem i dyscypliną, surowi rodzice...

– Jak się nazywasz?

– Samantha Whitehurst.

– Tak, nazwisko jest mi znane.

Zanim Samantha się zorientowała, znaleźli się na ulicy. Gdy Joe prowadził ją przez salę restauracyjną, której podłoga zdawała się falować, Samantha zauważyła jak przez mgłę, że odprowadzały ich zaciekawione spojrzenia i miny pełne dezaprobaty.

– Chyba cię kocham, Joe – powiedziała w pewnym momencie.

– Rozcieńczyłem twoje drinki wodą. Żaden z nich nie był podwójny. Wypiłaś tylko trzy. To wszystko.

– Nie pocałujesz mnie?

Zatrzymali się w cieniu poza światłami bijącymi z wysokich okien i neonu La Scali. W pobliżu, niedaleko skrzyżowania z Wisconsin Avenue, Samantha zauważyła Melwina

stojącego obok okazałej limuzyny ojca.

– Deser już zjadłaś. Masz ochotę na dodatkowe atrakcje, żeby urozmaicić sobie uroczystą kolację?

Zapamiętała, że w jego głosie pobrzmiewały niebezpieczne nuty. Teraz słyszała je wyraźnie.

– Nie odparła.

– Dobrze wiem, kim jest twój ojciec. Gino, zanim mnie wyrzucił, zdążył mnie poinformować, z jaką ważną figurą miałem do czynienia.

– I co z tego? Nie rozumiem.

– Dlaczego chcesz, żebym cię pocałował?

– Bo... – Spojrzała na niego i nagle głos odmówił jej posłuszeństwa. Oparła rękę o jego ramiona. Były szerokie, stwarzały poczucie bezpieczeństwa.. – Przez dwadzieścia jeden lat robiłam wszystko, czego ode mnie wymagano. Przez następne dwadzieścia jeden będę robić to, na co ja mam ochotę.

– A co będzie, jeśli ci powiem, że przez następne dwadzieścia jeden lat będziesz robić to, co chcesz... ale ze mną?

Musnął wargami jej usta, jakby dając jej czas do namysłu. Poczła bijące od niego ciepło. Jego zapach był tak samo prowokująco męski jak uśmiech. Rozchyliła wargi, prosząc o więcej. Przycisnęła ją do siebie z tą samą namiętnością, która narastała w niej przez cały wieczór.

Nie bała się, nie musiała się hamować. Nie była już sobą. Młoda, pełna pasji kobieta, która oddawała pocałunki, zapomniała o tym, że kiedyś była panienką z dobrego domu, która skończyła elitarną szkołę dla potomków zamożnych rodzin, że nieustannie była poddana dyscyplinie i kontroli. Ta Samantha, która teraz narodziła się do życia, odrzuciła dawne zakazy i rygory, stała się sobą i od pierwszej chwili, gdy zobaczyła Joe Giovanellego, wiedziała, że spotkała mężczyznę swego życia.

ROZDZIAŁ 3

Jedzenia będzie za mało. Mogłabym upiec wołu i dwadzieścia prosiąt, a i tak by nie wystarczyło dla wszystkich. – Samantha krzątała się przy stole w jadalni, uginając się pod ciężarem potraw, które przyrządzała i zamrażała przez ostatni miesiąc, i półmisków pełnych wędlin i serów.

Słońce Karoliny Północnej oświetlało nawet najciemniejsze kąty pokoju, promienie tańczyły na kolorowych balonach i serpentynach. Poprzedniego wieczoru umieściła wszystkie cenne i delikatne przedmioty w szafkach, zamknęła na klucz szafę w pralni i szafkę z lekarskami. Dom był gotowy na rodzinne przyjęcie.

– Mama przywiezie indyka, gar spaghetti i kilka szarlotek. – Joe stanął w drzwiach pokoju.

– Nic mi nie mówieś.

– Ona też nic mi nie mówiła, ale znam swoją matkę. I o ile wiem, każdy z rodziny coś przywiezie.

– Mimo wszystko boję się, że będzie za mało jedzenia.

– Nic nie rozumiesz. Jedzenia jest dość, tyle że rodzina Giovanellich zmiata wszystko, co znajduje się w zasięgu ręki i wzroku. Taki ma zwyczaj, to proste.

Samantha odeszła o krok od stołu i uważnie mu się przyjrzała. Kątem oka obserwowała jednak Joe. Był ubrany w ciemne szorty i sportową koszulę rozpiętą pod szyją. Czarne włosy opadały mu na czoło. Miała ochotę je odgarnąć. Nie dlatego, że to się jej nie podobało, lecz dlatego, że pragnęła go dotknąć, gestem wyrazić łączącą ich więź i bliskość, która staje się udziałem dwojga ludzi żyjących ze sobą od lat.

– Chciałabym, żeby moi rodzice byli z nami – powiedziała. – Dobrze by im to zrobiło.

– Przyjadą, kiedy będą mogli.

– Może na Święto Niepodległości albo Pracy. Do tego czasu powinni już wrócić z Europy. Może wtedy wydamy następne przyjęcie.

Joe, który uwielbiał rodzinne spotkania i przyjęcia w gronie przyjaciół i znajomych, milczał.

– Może zresztą nie – dodała szybko. – Może i to nie powinno się odbyć.

– Nie zaczynaj, Samantho – ostrzegł. W jego głosie można było wyczuć rozdrażnienie.

Natychmiast poczuła się winna, choć nie miała do tego żadnych powodów. Oboje wiedzieli, że nie powiedziała wszystkiego.

– Idę się przebrać – rzuciła.

Sypialnia na piętrze była duża, pełna roślin i bibelotów. Na środku stało ogromne, istic królewskie łóżko, w którym przeżyli niezwykle uniesienia. Samancie wydawało się nieraz, że z nadmiaru rozkoszy umrze w ramionach Joe. Teraz, ubierając się, omijała je wzrokiem. Nie chciała na nie patrzeć, tak jak nie chciała myśleć o tym, co wydarzyło się w jadalni. Nauczyła się żyć chwilą. Wołała zapomnieć o tym, że wczoraj czekała i niepokoiła się, ponieważ Joe wrócił do domu dopiero w nocy. Wygodniej było nie zastanawiać się nad przyszłością, która

mogła jej przynieść następne rozczarowania Wychodząc spod prysznic, usłyszała pierwszy klakson samochodu. Część rodziny Joe mieszkała o ponad cztery godziny drogi od nich, a więc na pewno wyjechali o świcie. Gdy schodziła na dół w nowej sukni, kupionej specjalnie na tę okazję, dom był już pełen gości.

Przywitała się z braćmi i siostrami Joe, jego siostrzeńcami i siostrzenicami, bratankami i bratanicami, rozlicznymi kuzynami, po czym skierowała się do kuchni, gdzie królowała już Rose, matka jej męża.

– Przywiozłam co nieco – powiedziała. – Niedużo, a więc nie mów ani słowa – ostrzegła. – Tylko trochę spaghetti i indyka, którego kiedyś przyniósł mi Johnny. Zajmował za dużo miejsca w zamrażarce.

– Szarlotki też? – spytała Samantha.

– Skąd wiesz?

– Po prostu zgadłam. – Objęła Rose i przytuliła się do niej. Matka Joe była wysoką i postawną kobietą. Włosy już szpakowate, lśniące, okalały jej owalną twarz o regularnych rysach. Wszyscy, którzy ją znali, uważali, że jest piękną kobietą.

– Pomyśleć tylko. Ty i mój Joey pobraliście się zaledwie cztery lata temu i już macie taki wspaniały dom. – Rose przycisnęła Samanthę mocniej do siebie. – Ten dom to jest coś, moja kochana. Taki jak pokazują w niektórych pismach. Teddy powiedziała właśnie, że powinno się go gdzieś opisać, prawda?

Samantha spojrzała ponad ramieniem Rose na żonę Johnny’ego, rudowłosą, długonogą Teddy, która należała do rodziny Giovanellich na tyle długo, by stać się jedną z nich.

– Coś w tym rodzaju – odrzekła.

– I wszystkie te dania na stole. Jesteś znakomitą kucharką, Samantho. Prawdziwą kobietą Giovanellich. Musiałam już dwa razy ich upominać. Ktoś powinien pilnować stołu, zanim wszyscy się zjadą, bo w przeciwnym razie nic nie zostanie. Nic. – Rose zeszywniała, jakby właśnie zaanonsowała nadejście końca świata.

– Ja popilnuję, mamó – zaofiarowała się Teddy.

– Ty, ty sama zaczniesz jeść, zamiast pilnować.

– Przekonaj się. – Teddy stanęła w drzwiach jadalni, ale nie powiedziała ani słowa do gromadki dzieci, które podkraślały kawałki sera.

Napłynęli kolejni członkowie rodziny, przyjaciele, sąsiedzi. Samantha niechętnie zostawiła Rose samą w kuchni. Joe był jednym z siedmiorga jej dzieci, drugim z trzech synów. Francis był starszy o dwa lata, a Johnny o dwa lata młodszy. Po chłopcach co roku rodziła się dziewczynka, jedna ładniejsza od drugiej. Teraz ród Giovanellich tak się rozrósł, że Samantha musiała sporządzić pisemną listę gości, żeby o nikim nie zapomnieć. Wszystkie dzieci Rose wcześniej zawierały małżeństwa, a więc dorastało już kolejne pokolenie Giovanellich.

Tylko Joe i Samantha nie mieli w tym żadnego udziału.

Zgiełk był coraz większy, ale Samancie to nie przeszkadzało. Otoczona rodziną, sąsiadami i przyjaciółmi niemal zapomniiała, że nie wszystko w jej małżeństwie układa się jak należy. Widziała męża wśród grupki mężczyzn, rozpinającego siatkę między sosnami,

gawędzącego z Polly i innymi nauczycielami ze szkoły podstawowej i liceum.

Bardziej wymowne jednak były te miejsca, w których go nie widziała. Nie bawił się z dziećmi, nie prowadził dyskusji politycznych z Francisem i nie pocieszał płaczącej Teresy, której mąż Jeff właśnie zaokrętował się na niszczycielu. Kręcił się gdzieś poza całym tym zamieszaniem. A co najważniejsze, nigdy nie był na tyle blisko, by mogła go dotknąć.

W każdym razie do czasu, kiedy Rosę dała sygnał do oficjalnego otwarcia przyjęcia.

W rogu salonu piętrzyły się prezenty przyniesione na nowe mieszkanie. Był tu dzwon okrętowy od Teresy i Jeffa, który chcieli zawiesić nad gankiem. Rosę wzięła go i wypróbowała osobiście, a kiedy wszyscy skupili się wokół niej, zawołała Samanthę i Joe.

– Chyba to ja jestem głową rodu – zaczęła. – Powinien stać na moim miejscu ojciec Joe, ale on patrzy teraz na nas z góry. Wiem o ty m. A więc dziś Joe i Samantha obchodzą czwartą rocznicę ślubu. W ciągu tych lat nabyli okropnie stary budynek pełen szcurków i myszy, z powybijanymi szybami, brudny i...

– Daj spokój, mamo – wtrącił Joe. Goście roześmieli się.

– I nic w nim nie było – kontynuowała. – Wszystko musieli zrobić. Samantha najlepiej by wam o tym opowiedziała. Tak czy inaczej uporali się z całym bałaganem. Teraz wiem, że wszystko jest możliwe. – Odwróciła się do synowej i rozpromieniła. – A skoro już jestem przy głosie, chcę jeszcze coś powiedzieć o ich małżeństwie.

Samantha nie poruszyła się. Zmartwiła ze strachu. Nagle poczuła, że Joe bierze ją za rękę. Ścisnęła mocno jego dłoń.

– Gdy Joe po raz pierwszy przyprowadził do nas Samanthę, nie wiedziałam, w co on się pcha – ciągnęła Rosę. – Ona była taka szczuplutka i delikatna i nie miała pojęcia, jak wrzasnąć na kogokolwiek, zwłaszcza na mojego Joeya. Teraz potrafi i ułagodzić, i krzyknąć, i mogę przysiąc, że nawet troszeczkę je. Niekiedy. Wydałabym ją za każdego w naszej rodzinie. Jest tak samo dobra, jak każdy, kto się narodził z nazwiskiem Giovanelli, i jestem dumna, że mogę ją nazywać córką.

Rosę wzięła Samanthę w ramiona i przytuliła. Rozległy się oklaski i okrzyki radości. Ktoś włączył magnetofon i starannie pielęgnowany trawnik zmienił się w parkiet do tańca. Francis poprowadził matkę, Samantha zwróciła się do Joe.

– Zatańczysz ze mną? – spytała.

Wyciągnął ramiona, a ona z radością się w nie wtuliła. Przytuleni zeszli z ganku i przyłączyli się do innych par na trawniku przed domem. Joe przygarnął żonę.

– Świetnie wyglądasz w tej sukience – stwierdził z uznaniem.

– Wystarczająco krótka dla ciebie? – spytała, rumieniąc się z radości.

– Może być – uznał, przesuwając dłoń wzdłuż jej boku. Zadrżała pod tym dotykiem. Była jak wygłodniała żebraczka, której ktoś właśnie rzucił kawałek chleba.

– Dobrze się bawisz? – spytała.

– To wspaniałe przyjęcie – pochwalił. – Napracowałam się.

– Miałaś rację z tym jedzeniem. Wystarczyłoby dla całej armii, a teraz nie zostało ani śladu.

– W dzieciństwie nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy dostaniemy następny posiłek, dlatego cieszyliśmy się każdym kęsem.

– Przyjęcie wkrótce się skończy. – Samanlha mocniej przytuliła się do męża. – Większość twoich krewnych ma przed sobą daleką drogę, a niektórzy nasi goście wybierają się o siódmej do Warwicków.

– My też jesteśmy zaproszeni?

– Oczywiście, ale nie pójdziemy.

– Nie? – zdziwił się.

– W każdym razie ja nie. Wystarczy mi jedno przyjęcie. Chyba że ktoś zaproponuje mi party we dwoje.

– Możemy wziąć butelkę wina i pójść nad jezioro.

– Staw.

– Jezioro. – To był ich odwieczny przedmiot sporu.

– Chcę cię mieć tylko dla siebie. Joe, brakuje mi ciebie. Wczoraj miarka się przebrała. Zbyt długo nie wracałeś.

– Przepraszam, że tak często zostawiałem cię samą. To był ciężki rok.

– Tak, to był ciężki rok. – Podniosła ku niemu twarz. – Dla nas obojga. Będzie jeszcze cięższy, jeśli razem się z tym nie uporamy.

– Przecież jesteśmy razem.

Nie zamierzała kłócić się z mężem. To nie był ani odpowiedni czas, ani właściwe miejsce. A poza tym, wołała, żeby to on miał rację; pragnęła wierzyć, że są razem, że wydarzenia ostatnich sześciu miesięcy nie zniszczyły ich małżeństwa, że po tym trudnym okresie mogą być silniejsi, bliżsi sobie, szczęśliwsi.

– Zawsze chciałam, żebyśmy byli razem – powiedziała. Zbliżyli się do innej tańczącej pary – Johnny’ego i Teddy. Brat Joe był od niego niższy, bardziej krępy, ale rodzinne podobieństwo rzucało się w oczy. Mimo że wyglądał na starszego o dziesięć lat, w oczach miał charakterystyczny młodzieńczy błysk.

– Patrzycie na siebie tak, jakbyście mieli przed sobą noc poślubną! – zawołał w ich kierunku Johnny. – I znowu mama zostanie babcią – dodał i mrugnął porozumiewawczo.

Samantha zmusiła się do uśmiechu.

– Teddy, przywołaj męża do porządku – zwróciła się do szwagierki.

– Posłuchaj, jesteś żonaty tak jak on – powiedziała Teddy. – Dowiemy się, kiedy przyjdzie czas.

– Mama nie jest już młoda, kazała mi powiedzieć ci, że chce mieć pod choinkę wnuka, który będzie nosił nasze rodowe nazwisko.

– Cóż, powiedz mamie, że już za późno – pospieszyła z odpowiedzią Samantha. – Właśnie kupiliśmy jej piękny komplet ręczników. A teraz daj nam spokój, chcę się zająć moim mężem.

– Tylko w ten sposób do czegoś dojdzie – roześmiał się Johnny, po czym wraz z Teddy przeszli na ganek.

– Johnny zawsze wypije o kieliszek za dużo, a wtedy nie wie, co mówi – usprawiedliwił

brata Joe, choć widać było, że jest zły i zakłopotany.

Spróbowała przyciągnąć go bliżej do siebie.

– To nie wina Johnny’ego – uspokajała. – Każdy z was został wychowany w przeświadczeniu, że rodzina jest najważniejsza.

– Muzyka się skończyła – zauważył, nie nawiązując do kwestii, którą poruszyła Samantha.

Goście zaczęli pomału zbierać się do wyjścia. Samantha próbowała wymyślić coś, co poprawiłoby mu humor, coś, co zatrzymałoby go przy niej. Przyszła jej do głowy chatka z bali, którą Joe zbudował z myślą o dzieciach, a w której bawili się właśnie jego liczni mali krewni, synowie i córki braci i sióstr Joe.

– Nie chciałbyś pójść nad staw zobaczyć, czy dzieci jeszcze tam są? – spytała.

Spojrzał na nią z takim wyrzutem, jakby popełniła wielki nietakt. Uświadomiła sobie z przerażeniem, że może właśnie to zrobiła. Położyła rękę na ramieniu męża.

– Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy... – Urwała, ponieważ Joe dość bezceremonialnie strząsnął jej dłoń i się odsunął.

– Pożegnaj się z Chuckiem i Sally – powiedział.

Odszedł pospiesznie, zanim zdołała cokolwiek powiedzieć. Obserwowała go, wysokiego dorosłego mężczyznę ze złamanym sercem małego chłopca. Słyszała głosy i śmiechy ludzi, których kochała najbardziej na świecie, i dziwiła się, jak może się czuć taka samotna.

Joe uwielbiał spotkania towarzyskie. Przepadał za gwarem, głośną muzyką, śmiechem, przekomarzaniami i żywymi rozmowami. Teraz jednak nie mógł się doczekać, kiedy członkowie jego licznej rodziny i goście udadzą się do domów.

Tyle tylko, że wtedy będzie musiał zostać sam na sam z żoną.

Pożegnał się z Teresą i jej rodziną, po czym podszedł do następnego samochodu. Johnny za dużo wypił, co zdarzało mu się, gdy wiedział, że Teddy zastąpi go za kierownicą i odwiezie do domu. Wystawił głowę przez okno samochodu. Oczy za bardzo mu błyszczały, uśmiechał się głupkowato i nazbyt zawadiacko, ale to wciąż był Johnny, młodszy brat, z którym w dzieciństwie wodzili się za łąby, ale wobec obcych stawali murem.

Na tylnym siedzeniu samochodu, kręciły się i dokazywały dzieci Johnny’ego i Teddy: Erin, Shannon i Patrick. Nadanie potomstwu irlandzkich imion wywołało w rodzinie niemały skandal.

– Trochę za dużo wypiełeś – zauważył Joe. – Jedź do domu.

– Pamiętaj, co ci powiedziałem. – Johnny uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Joe odwrócił się, by odejść, ale Johnny zdawał się tego nie zauważyć. Nigdy się nie nauczył, kiedy należy przestać mówić.

– Zabierz się do tych dzieci, chłopie – ciągnął. – Jeśli nie wiesz jak, zwróć się do mnie.

Joe chwycił go za kołnierz koszuli i mocno ścisnął, nie zastanawiając się nawet nad tym, co robi. Pijacki uśmiech znikł z twarzy Johnny’ego, w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– To co robimy, ja i Samantha, to tylko i wyłącznie nasza sprawa – wycedził Joe. –

Pamiętaj o tym i trzymaj język za zębami. Czy jasno się wyrażam?

Opuścił rękę. Johnny opadł na siedzenie. Wszystko to stało się tak szybko, że dzieci, na szczęście, niczego nie zauważyły. Były zajęte rozdzielaniem sobie kuksańców i wyrywaniem zabawek.

– Johnny, przepraszam – powiedziała Samantha, podchodząc do samochodu. – To wszystko przez ten upał. Któż by uwierzył, że to dopiero wiosna? – Uśmiechnęła się z udawaną swobodą. – Jedźcie ostrożnie. Jeszcze raz bardzo dziękuję, że nas odwiedziliście. Nie wyobrażam sobie, żeby przyjęcie mogłoby się odbyć bez was – dodała i cofnęła się o krok. Teddy, jak zawsze taktowna, pomachała dłonią na pożegnanie. Po chwili samochód zniknął im z oczu.

– Joe... – zaczęła Samantha.

– Nic nie mów. Nic nie mów, do cholery! – Odwrócił się i szybkim krokiem poszedł w kierunku domu.

W środku nie było nikogo. Matka wyjechała pierwsza, a za nią stopniowo reszta rodziny. Johnny i Teddy zebrali się jako ostatni. W ogrodzie zostało jeszcze paru sąsiadów i przyjaciół, ale Joe wiedział, że Samantha pożegna ich w jego imieniu.

W łazience rozebrał się i wszedł pod zimny prysznic, żeby się ochłodzić. Dom nie miał jeszcze klimatyzacji. Joe zamierzał zainstalować ją latem. Żałował teraz, że, mimo braku dostatecznych środków, nie zrobił tego wcześniej, zanim wykończył poszczególne pomieszczenia. Samantha twierdziła, że brak klimatyzacji jej nie przeszkadza. Okazało się, że jemu przeszkadza. Kipiał wprost ze złości. Był jak beczka prochu, która tylko czeka, żeby wybuchnąć. Dzisiaj pretekstem stały się uwagi brata, jutro zaważy znacznie mniej istotna sprawa, nawet jakiś drobiazg.

Pochylił głowę. Woda spływała mu po włosach. Widok własnego ciała wzbudził w nim niesmak. Zamknął oczy, ale nawet z zamkniętymi oczami wiedział, że jest ucieleśnieniem młodości i męskości. Każdego ranka przebiegał dziesięć kilometrów, a po południu ćwiczył w szkolnej siłowni. Był dobrze umięśniony, nogi i klatkę piersiową pokrywał jedwabisty ciemny zarost. Kiedyś, jeszcze w college'u, żeby trochę zarobić, pozował do aktów studentom wydziału malarstwa i dobrze wiedział, jakie wrażenie robi na kobietach.

Było mu to obojętne.

Wszedł z łazienki, ubrał się i zszedł na dół. Dom był opustoszały i cichy. Zawołał Samanthę, ale odpowiedziało mu milczenie. Przez chwilę wydawało mu się, że i ona wyjechała zmęczona jego humorami, gdy był w domu, a także nazbyt częstą nieobecnością. Wkrótce jednak domyślił się, gdzie może ją znaleźć.

Poszedł ścieżką w kierunku jeziora. Zatrzymał się pod drzewem na skraju lasu. Samantha stała na brzegu, pochylając się nad lekko zmarszczoną powierzchnią wody. Jej suknia miała kolor wiosennej trawy, złociste włosy rozwiewał wiatr.

– Samantha? – zawołał. Wyprostowała się i odwróciła.

– Wydajesz się spokojniejszy – zauważyła.

– Staram się.

– Zastanawiałam się, czy nie popływać, ale zrezygnowałam. Woda jeszcze jest za zimna.

Nawet dzieci by do niej nie weszły.

– Dom tonie w kwiatkach. Co z nimi zrobisz? Samantha popatrzyła na mleczkę na łące.

– Wiesz, właśnie myślałam o Corey – powiedziała nie na temat.

– Jak to?

Usiadła na ziemi, a Joe przykucnął obok niej.

– Obserwowałam dzisiaj twoich braci i siostry, i ich dzieci. To niezwykle ważne, w jaki sposób wychowuje się dziecko. Nikogo nie mogłabym uznać za idealnego rodzica. Na przykład Francis za dużo krzyczy, Magdalena za bardzo rozpuszcza Sarę, ponieważ mała choruje na astmę. Są jednak dobrymi rodzicami – dbają o dzieci, kochają je i one o tym wiedzą.

– Co to ma wspólnego z Corey? – Czuł, że Samantha wpatruje się w niego, ale nie odwrócił głowy. Wbił wzrok w jezioro. Wiedział, co zobaczy, jeśli się odwróci. Najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek w życiu spotkał.

– Co dzieje się z dziećmi pozbawionymi opieki i troski? Co czują dzieci, których nikt nie kocha i o które nikt nie dba? Jak będą postępować, kiedy dorosną? Co będą robić? Więzienia pełne są ludzi odrzuconych lub porzuconych w dzieciństwie, wychowywanych przez ulicę lub grupę rówieśniczą, pozbawionych prawdziwego domu i rodziny. To kładzie się cieniem na całe dorosłe życie.

– Nie możesz zmienić świata. Są rodzice, którzy sami wychowywali się w warunkach, o których mówisz, i dlatego nie potrafią ofiarować swoim dzieciom ciepła i miłości. Nie mają odpowiednich wzorców i odniesień. Kiedy dowiadują się, czym powinno być rodzicielstwo, jakie spoczywają na nich obowiązki, rezygnują lub uciekają.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale co innego teoretyzować, mówić o dzieciach w ogóle, a co innego o dziecku, które się zna osobiście i na którym ci zależy.

– Nie powinnaś.

– Co nie powinnam?

Odwrócił się, by widzieć jej twarz. Nie będzie się z nią kłócić, ale musi wyperswadować jej pomysł, który, jak się domyślił, już jakiś czas temu przyszedł jej do głowy.

– Nie powinno ci aż tak zależeć na Corey. Na litość boską, jesteś nauczycielką. Przypuszczam, że w każdej klasie będziesz miała równie zdolne i inteligentne dzieci. Jeśli nad każdym z nich będziesz się roztkliwiać, nie starczy ci serca dla nikogo. Szybko się wypalisz.

– A co to ma za znaczenie? – odpowiedziała po dłuższej chwili.

– Nie ma nikogo, kto potrzebowałby tego, co mogę zaoferować – dodała Samantha, nie kryjąc rozgoryczenia. Podniosła się i, już bez słowa, skierowała w stronę domu Joe przeklął własny egoizm. Uwielbiał ją. Od chwili gdy usiadła przy najlepszym stoliku w restauracji La Scala i popatrzyła na niego tęsknie rozmarzonymi oczami, wiedział, że spędzą razem życie. Życie pełne chwil lepszych i gorszych, niezwyklej uniesień i zwyczajnych kłótni, miłości, przyjaźni i przywiązania. Nie miał zamiaru rozpamiętywać przeszłości, ale wspomnienia same go osaczyły. Kiedy w wysokiej trawie pojawiły się kocięta Belli, położył się na wznak z rękami pod głowę i zapatrzył w niebo oświetlone promieniami zachodzącego słońca.

ROZDZIAŁ 4

Samantha Whitehurst, bogata panna z dobrego domu, piękna, pełna temperamentu, choć z pozoru nieśmiała, inteligentna i dowcipna, mimo że niepewna siebie, całkowicie zawładnęła Joe. Gdziekolwiek się zwrócił, miał przed oczami jej wdzięczną sylwetkę i uroczą twarz; cokolwiek robił, jego myśli zaprzętała wyłącznie ta w niezwykłych okolicznościach poznana dziewczyna. Już po kilku tygodniach znał ją tak dobrze, że mógł ją sobie wyobrazić w każdej sytuacji.

Ona wciąż jeszcze unikała patrzenia mu prosto w oczy, gdy do niego mówiła, jakby lękała się, że może uznać ją za zbyt naiwną lub nie dość bystrą, jak na studentkę renomowanego college'u. Uwielbiał, gdy odwracała głowę i spuszczała swoje wielkie, szafirowe oczy. Podziwiał jej profil, wdzięczny zarys brody, delikatną linię brwi, jasną skórę i harmonijne rysy twarzy.

Na jego zgubę, nie było w niej niczego, czego by nie pokochał. W ciągu dwóch miesięcy, które upłynęły od ich poznania, Joe kompletnie stracił głowę dla tej uroczej młodej kobiety, na widok której krew zaczynała mu szybciej płynąć w żyłach i której obecność sprawiała, że serce biło mu jak szalone.

Dzisiaj niósł jej kwiaty. Zasługiwała na najpiękniejsze, najbardziej wyszukane cieplarniane okazy, a on miał dla niej tylko czerwone i żółte cynie, pomarańczowe nagietki i lilie, tak drobne, że nie bardzo wiedział, jak je nieść. W drodze do pracy zerwał je w trzech różnych ogrodach, wybierając te łodygi, które wystawały zza płotów. By jakoś usprawiedliwić swój czyn, tłumaczył sobie, że i tak zostałyby połamane przez przechodniów.

Rodzice Samanthy wiedzieli, że się z nim widuje, ale, co było z ich punktu widzenia zrozumiałe, nie wykazywali zbytniego entuzjazmu dla nowej znajomości córki, która, co prawda, skończyła właśnie dwadzieścia jeden lat i stała się dorosła, ale dla nich była wciąż młodą dziewczyną wymagającą opieki. To Joe, świadomy, iż jego osoba nie jest mile widziana przez państwa Whitehurstów, którzy liczyli na to, że córka zainteresuje się kimś z ich sfery, poprosił, żeby nie spotykali się w ich domu. Doświadczył już pogardliwego traktowania ze strony rodziców Samanthy i nie miał ochoty ponownie się nań narażać.

Mógłby się dla niej ważyć na wszystko, wystąpić przeciw największemu jej wrogowi, choćby najwyżej postawionemu w hierarchii społecznej i bronić jej przed najgorszymi potworami z Chevy Chase, ale nie był w stanie patrzeć, jak rodzice ranią jej dumę. W jego towarzystwie coraz częściej była wesoła i naturalna – momenty zalęknienia lub niepewności zdarzały się już z rzadka. Kiedy przebywała z rodzicami, każda chwila oznaczała batalię o zachowanie własnej godności. Nie chciał na to patrzeć.

Tego popołudnia umówili się na lunch w parku. Zauważył ją ukrytą za drzewem. Chciałby ją zaprosić do jednej z najlepszych restauracji w mieście, zamówić szampana i najbardziej wykwintne dania, przystroić jej dłonie brylantami, obdarować różami.

Niestety, mógł sobie pozwolić jedynie na kanapki, colę i zaśmiecony trawnik w parku. Gdy wyrzucono go z La Scali, znalazł pracę w skromnej restauracji poza snobistycznym

Georgetown. Nie wyróżniała się niczym szczególnym. Był szczęśliwy, jeśli napiwki zdołały pokryć czynsz, który płacił za niewielki pokój. Ostatnio podjął się dodatkowego zajęcia na rannej zmianie w barze na przedmieściu. Mógł więc zaoszczędzić trochę pieniędzy.

Zaszedł Samanthę tak, by zauważyła go w ostatniej chwili. Objął ją, unieruchamiając w ramionach. Jego ciało zareagowało natychmiast. Odsunął się trochę i spróbował zażartować.

– Nareszcie moja. Moja dumna piękność. Krzycz, jeśli musisz.

– Nigdy nie słyszałaś, żebym krzyczała.

– Ale słyszałem, jak wzdychałaś.

Zaczerwieniła się. Zdarzało jej się to dość często. Bardzo lubił patrzeć, jak rumieniec oblewa jej twarz i kark. Zwykle odwracała wzrok, ale tym razem patrzyła mu prosto w oczy.

– Nie tak bardzo, jak byś chciał.

– Trudno o tym mówić. – Pocałował ją. Nie mógł dłużej czekać. Jej wargi natychmiast przywarły do jego ust. Poczł jej gorące ciało, przyciśnięte do jego ciała. Wydawało mu się, że nie wytrzyma dłużej, że umrze z pożądania.

Gdy wreszcie cofnął się o krok, jej usta były nienaturalnie czerwone, a oczy pełne namiętności.

– Myślałam, że mieliśmy jeść lunch.

– Ja wszystko robię z pasją.

– Nie mogę się wypowiadać na ten temat. Jeszcze na tyle cię nie zdążyłam poznać.

Uśmiechnął się leniwie, na pozór niedbale, by ukryć dojmujące pożądanie, które rodziło się w bliskości Samanthy.

– Powiedz kiedy i gdzie – wyszeptał.

– Teraz. W twoim pokoju.

– Przed lunchem? – usiłował zażartować.

– Jadałam lunch przez dwadzieścia jeden lat. A są rzeczy, których nigdy nie robiłam.

Pogłaskał Samanthę po policzku. Skórę miała tak jedwabistą i delikatną jak płatki kwiatów, których jeszcze jej nie dał. Wodził kciukiem wokół jej ust i obserwował wyraz oczu. Zastanawiał się, czy czuje drżenie jego ręki, czy domyśla się, jak bardzo chciałby wziąć ją tu i teraz, nie bacząc na nic.

– Nie sędzę – powiedział wreszcie.

– Dlaczego?

Wyprostował się i cofnął nieco, by podać jej bukiet. Był dla niego rodzajem tarczy. Musiał choć przez chwilę się osłonić.

– Jestem dobrym katolikiem – oświadczył. – Piję, ale nie za dużo. Nie palę papierosów i nie biorę narkotyków. Nie chcę popaść w nałóg, którego stanę się niewolnikiem. A wiem, że już po pierwszym razie, gdy będziemy się kochać, uzależnię się od ciebie. Ty staniesz się moim nałogiem.

Wpatrywała się w niego nieporuszona.

– Nałogiem? – spytała wreszcie.

– Spójrz na nas, Samantho – usiłował tłumaczyć, choć ogarnęła go namiętność, nad którą z trudem panował; przebijała nawet w jego głosie. – Mój staruszek sprzedawał salami i

kiełbaski na targu w Brooklynie. Twój działa na światowych rynkach finansowych. Należymy do dwóch różnych światów. Uważasz, że się we mnie zakochałaś, ale pewnego dnia rano możesz obudzić się i stwierdzić, że masz dość włoskiego pieczywa i czarnej kawy na śniadanie. A tylko na to mnie stać. I nic nie zapowiada, żeby sytuacja miała się zmienić. Z wykształcenia jestem nauczycielem, może kiedyś zostanę dyrektorem jakiejś szkoły na prowincji, teraz dorabiam w restauracji i barze. Z największą chęcią złożyłbym u twych stóp największe bogactwa świata, ale nie jest to realne. Niewiele mogę ci dać, o wiele mniej niż potrzebujesz.

Uderzyła go w piersi i mocno popchnęła. Zachwiał się, ponieważ nie spodziewał się takiej reakcji. Stało się to tak szybko, że nie wyrzekł ani słowa. Samantha odwróciła się i ruszyła przed siebie szybkim krokiem.

Wiedział, że powinien pozwolić jej odejść, ale pobiegł za nią i chwycił ją za rękę.

– Dobrze wiesz, że mam rację! – krzyknął. Wyrwała mu się gwałtownie.

– A co mówiłeś pierwszego wieczoru? – zaperzyła się. – Powiedziałeś, że spędzimy razem następne dwadzieścia jeden lat.

– Byłem tak samo pijany jak ty. To wszystko przez tę twoją śliczną buzię i przez ten uśmiech małej dziewczynki.

– A teraz jesteś już mną zmęczony?

– Nie. – Zamknął oczy. – Jestem zauroczony. – Nie wiedział, dlaczego użył akurat tego słowa, ale idealnie oddawało jego nastrój. – Do diabła, kocham cię. I jeśli będziemy się kochać, a ty mnie potem zostawisz, nie przeżyję tego. Rozumiesz? Co mam jeszcze powiedzieć? Kocham cię. Nie mogę iść z tobą do łóżka, ponieważ cię kocham!

Samantha stała bez ruchu, nie mówiąc słowa. W pewnym momencie zaczęła się serdecznie śmiać. Rzuciła się w jego ramiona, a on, zupełnie zdezorientowany, przytulił ją mocno, kłując w plecy łodygami kwiatów.

– Nie możesz iść ze mną do łóżka, bo mnie kochasz. Coś niesamowitego! Ja też cię kocham, Joe. Kocham cię! Nic mnie nie obchodzi włoskie pieczywo i kawa. Kocham cię również dlatego, że jesteś nauczycielem, a nie bankierem, biznesmenem czy inną grubą rybą. Miałam z nimi do czynienia i wystarczy mi na całe życie. Joe, skoro się kochamy, możemy zamieszkać razem, a teraz zaproś mnie do siebie, pragnę znaleźć się w twoich ramionach..

Mocne postanowienie Joe zaczęło słabnąć. Kobieta, którą kochał i której z całych sił pożądał, ofiarowywała mu siebie z własnej woli. Chyba wie, co robi. W każdym razie on ją wyraźnie ostrzegął.

– Nie, dopóki się nie pobierzemy – powiedział.

– Pobierzemy? – powtórzyła.

Sam nie wiedział, jak wymknęły mu się te słowa, ale miał przeświadczenie, że były właściwe.

– Tak, Samantho. Małżeństwo albo nic. Jeśli chcesz, bym był twój, najpierw musisz za mnie wyjść za mąż.

– Czyżbyś zapomniał, że to koniec dwudziestego wieku? Chwycił ją gwałtownie za ramiona. Kwiaty potoczyły się do ich stóp.

– Wyjdiesz za mnie. I koniec.

– Zamierzasz wyrzec się seksu, dopóki ksiądz nie udzieli nam błogosławieństwa?

– Dobrze, pójdę na kompromis. Nie będę czekać, aż się nawrócisz.

– Nawrócisz?

– Chcę, żebyśmy byli prawdziwym małżeństwem, żeby nasze dzieci widziały nas razem na niedzielnej mszy, żebyś trzymała mnie za rękę, kiedy będą przystępowały do pierwszej komunii.

– Dzieci? – zdziwiła się.

– Małe dziewczynki z jasnymi włosami, chłopców z czarnymi. Śmiejące się, dokazujące, rozkrzyczane dzieci. Nie chcę mieć w domu samotnej małej księżniczki.

– Sama nie wiem. To sprawa genetyki. W każdym razie na pewno możemy mieć jedno z brązowymi włosami – powiedziała Samantha, obrzucając go radosnym spojrzeniem.

– Nie mogę być tym, kim nie jestem. – Musiał jej to teraz wszystko wyłożyć. Wiedział, że to jedyna okazja, ponieważ nigdy więcej się na to nie zdobędzie. – Nie będę bogaty, nie mogę przejść na protestantyzm. Nie potrafię prowadzić takiego życia, jakie jest mi obce. Wiem, że proszę cię o wszystko, nie dając nic w zamian. I wcale nie oczekuję, że powiesz „tak”. Po prostu mówię ci to, żeby łatwiej ci było powiedzieć „nie”.

– Usta ci się nie zamykają i nie dopuszczasz mnie do głosu. Weź głęboki oddech i zamilcz! Wszystko mi jedno, do jakiego kościoła będziemy chodzić – ciągnęła, przesuwając palcem po jego policzku – dopóki będziemy razem. Jest mi obojętne, ile będziemy mieli dzieci, skoro to będą twoje dzieci. Nie obchodzi mnie, ile będziesz zarabiał, jeśli i ja będę decydować, na co wydawać te pieniądze. Ale martwię się, że nie wierzysz w moją miłość do ciebie. Nie widzisz, że chcę właśnie tego, co możesz mi dać? Niczego więcej. Nie traktuję cię jak kogoś, kto ma mi tylko służyć do zademonstrowania rodzicom, że jestem dorosła. Związek z tobą to nie chwilowy kaprys czy zachcianka. Jesteś mężczyzną mego życia, Joe, ja to wiem. Kocham cię i chcę kochać przez resztę życia, jeśli tylko przestaniesz stawiać mi warunki.

Nie był pewien, czy dobrze słyszy i rozumie jej słowa. Po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że Samantha mówiła prosto z serca, co czuje do niego.

– A więc – spytała łagodnie – czy teraz pójdziemy do ciebie? Joe zajmował jeden skromny pokój nad sklepem spożywczym wuja mieszczącym się przy jednej z hałaśliwych ulic w odległej północnozachodniej dzielnicy. Tak się spieszyli, że wzięli taksówkę. Wbiegli na górę, trzymając się za ręce i przeskakując po dwa stopnie. Z dołu dochodził zapach spalin, ale pokój jeszcze nigdy nie wydał się Joe tak przytulny.

– Nieszczerólnie tutaj – rzucił w progu, dając jej jeszcze jedną szansę odwrotu.

– Mnie się podoba.

– Czy właśnie takie miejsce miałaś na myśli, mówiąc, że są rzeczy, których jeszcze nigdy nie robiłaś?

– Czekałam na ciebie – odparła Samantha z niezwykłą prostotą, która ujęła Joe.

Przyciągnął ją do siebie i zanurzył twarz w jej jedwabiste włosy. Zdobył już wystarczające doświadczenie, by wiedzieć, jak działa na kobiety, i jak może wykorzystać

swoją męskość, ale w tym momencie okazało się, że miał go za mało. Sam czuł się jak ktoś, kto ma nikłe pojęcie o seksie i nie bardzo wie, jak się do niego zabrać. Wątpił, czy zdoła okazać dość wprawy i zręczności, aby ułatwić Samancie sytuację, nie mówiąc o tym, żeby dać jej rozkosz.

– Powinnaś najpierw wyjść za mnie – powtórzył.

– Dlaczego?

– Wtedy byłabyś mniej zakłopotana.

Miała więcej odwagi niż on. Roześmiała się i przejechała dłońmi wzdłuż jego bioder.

– Nie martw się o mnie, Joe. Chodzę do kina. Czytam książki.

Czując reakcję swego ciała, przestraszył się, że jednak ją zaskoczy. Wyszarpnął jej bluzkę ze spodni i dotknął nagiej skóry. Już nieraz ją pieścił, ale nigdy z taką pasją jak teraz. Zawsze się kontrolował. Teraz nie musiał już nad sobą panować. Rozkoszował się widokiem jej pięknego ciała, gładkiej, aksamitnej skóry, drobnych piersi, lekko wzniesionych ku górze, których kształt rysował się pod jedwabiem bluzki.

Pomogła mu rozpiąć bluzkę i rzuciła ją na podłogę. Stała przed nim wyprężona, drżąca z pożądania. Ogarnęła go fala namiętności. Nie mógł jednocześnie patrzeć na nią, dotykać jej, rozkoszować się smakiem jej ciała. Wsunął ręce za pasek jej spodni i jednym ruchem ściągnął je razem z majteczkami. Krew nabiegła mu do głowy, skronie pulsowały, w oczach robiło się ciemno.

Nawet nie wiedział, jak dotarli do łóżka. Chyba Samantha go zaprowadziła, bo on nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Rozpięła mu koszulę i ściągnęła z niego spodnie, nie zrażona widokiem jego podnieconego ciała.

Spleceni uściskiem upadli na łóżko. Miał jeszcze na tyle rozwagi, by nie posiąść jej od razu. Napawał się jej zapachem, delektował dotykiem jej ciała, pieścił piersi i kuszące, pięknie uformowane biodra.

Wreszcie połączył się z nią z westchnieniem ulgi.

Z początku była spięta, po chwili jednak, gdy trwał w niej bez ruchu, rozluźniła się. Była delikatnej, drobnej budowy, on – wręcz przeciwnie. Zaczął się poruszać bardzo powoli, wreszcie uniósł się, by spojrzeć w jej twarz i niemal całkowicie stracił resztki samokontroli.

Płakała.

Też chciało mu się płakać. Co gorsza, rozpaczliwie pragnął skończyć to, co zaczęli. Chciał zagłębiać się w nią coraz bardziej i bardziej, i tylko widok jej łez i poczucie przyzwoitości kazały mu zachować spokój.

– Och, Joe. Tak bardzo cię kocham.

W tym momencie stracił resztę opanowania. Ogarnął ją ramionami tak, jak nie robił tego jeszcze z żadną kobietą. Przytulił do siebie tak mocno, że niemal nie mógł się poruszać. Czuł jej ciało poddające się jego ruchom. Wypełnił ją miłością, którą zachował tylko dla niej.

Kiedy skończył, odwrócił się na plecy pełen lęku, czy aby jej nie rozczarował.

– Za pierwszym razem nie zawsze jest wspaniale – powiedział wreszcie, nie mogąc dłużej czekać na jej reakcję. – Przykro mi. Zagubiłem się w tym wszystkim.

– Nie było wspaniale?

Wzdrygnął się i zamknął oczy. Nagle uświadomił sobie, że wypowiedziała te słowa w formie pytania.

– Chodziło mi o to, że czasem tak się zdarza – wyjaśnił. Zaśmiała się.

– Pytasz, czy miałam orgazm?

– Nie chciałem używać aż tak medycznych terminów.

– A więc i ja ich nie użyję. Widziałam gwiazdy. Czy to wystarczy?

– Cztery czy pięć?

– A ile powinnam była zobaczyć?

– Cały gwiazdozbiór. – Odwrócił jej twarz ku sobie. – Widziałas gwiazdozbiór?

– Widziałam nieskończoność. – Jej policzki wciąż były mokre. – Joe, proszę, nie mów mi, że może być lepiej.

– Myślę, że mógłbym być trochę bardziej zręczny, a ty trochę mniej delikatna.

– Było fantastycznie. – Przebiegła wzrokiem jego ciało. – Ty byłeś fantastyczny.

– Jestem zakochany. – Ujął w dłonie jej twarz. – Będę cię zawsze kochał, Samantha Whitehurst. I zrobię wszystko, co może zrobić mężczyzna, by twoje życie było łatwe i szczęśliwe.

– Szczęśliwe? Wiem, co to znaczy. Myślę, że wiem. Teraz lepiej niż przed chwilą.

Kiedy tak leżeli wtuleni w siebie, opuścił go lęk o ich wspólną przyszłość.

Samantha wyszła z łazienki sąsiadującej z sypialnią i zamiast po wygodny, domowy dres sięgnęła po sukienkę. Miała cichą nadzieję, że Joe, który wciąż jeszcze był nad wodą, mimo że zaczynało się już ściemniać, przypomni sobie o ich rocznicy. Wątpiła, co prawda, by wrócił przed zmrokiem. A nawet jeśli tak się zdarzy, z pewnością znajdzie sposób, żeby jej unikać. Okaze się, że, na przykład, czeka na niego pilna robota, wizyta u przyjaciela, której nie można odłożyć, lub jakaś sprawa w szkole, o której sobie nagle przypomniał.

Była zmęczona udawaniem, że ich małżeństwo to prawdziwa idylla. Miała dość bezsennych nocy u boku Joe, który leżał obok niej jak kłoda, seksu, który zdarzał się bardzo rzadko i nie dawał zadowolenia, milczenia, które coraz częściej między nimi zalegało, i uczucia pustki, które wyparło miłość.

Odkryła, że dzieli życie z niemal obcym człowiekiem.

Tak jak przewidywała, wrócił późno. Samantha przygotowała właśnie w kuchni lekką kolację – sałatkę oraz kanapki z resztą indyka przywiezionego przez Rosę. Gdy Joe wszedł do kuchni, bez słowa wręczyła mu talerz z jego porcją.

– Napijesz się czegoś? – spytał.

– Soku, jeśli jesteś tak dobry.

Napełnił dwie szklanki i zajął miejsce przy stole. Kiedyś siadali obok siebie, w przerwie między jedzeniem całowali się i obejmowali. Teraz Joe wybrał krzesło naprzeciwko, tak jakby chciał się od niej odgradzić.

Jedli w milczeniu. Samantha skończyła pierwsza, wstała i zebrała naczynia.

– Mało zjadłaś zauważył.

– Bo przedtem zjadłam za dużo. Nie jestem głodna.

– Może byśmy gdzieś poszli? Grają niezłe filmy.

Zaskoczyła ją ta propozycja. Przez chwilę poczuła się jak bezdomny pies, któremu ktoś podsunął smaczny kąsek. Oto jej mąż proponuje wspólne spędzenie wieczoru! Czyżby pamiętał, że dziś wypada rocznica ich ślubu, i chciał to uczcić? Na końcu języka miała słowa podziękowania, ale zamiast tego spytała z przekąsem:

– Tylko tyle możesz mi zaproponować? Joe nie odpowiedział na zaczepkę.

– Zadałam ci pytanie. – Usiłowała się opanować, ale w jej głosie coraz wyraźniej było słychać rozdrażnienie.

– Nie, to było stwierdzenie. – Joe podniósł się z za stołu i jednocześnie pchnął po blacie talerz w jej stronę, po czym odwrócił się, zamierzając wyjść z kuchni.

Samantha pomyślała, że szczególnie tego wieczoru nie powinni rozstawać się we wrogim nastroju, pełni ukrytych żalów i nie wypowiedzianych pretensji.

– W porządku, stwierdziłam. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko tyle, że nie chcę siedzieć obok ciebie w kinie, gapiąc się w ekran. Równie dobrze mogę to robić sama lub z koleżanką. W rocznicę ślubu wolałabym ten czas spędzić ze świadomością, że naprawdę z tobą jestem, rozmawiam, Kocham się, jak w udanym, szczęśliwym małżeństwie.

– A może to już nie jest możliwe?

– Dlaczego? – Zirytowana, popchnęła talerz z powrotem do miejsca, które Joe zajmował przy stole. Zrobiła to zbyt energicznie: talerz spadł z trzaskiem na podłogę.

– W naszym małżeństwie nic się nie układa! Moja żona stale demonstruje niezadowolenie, wiecznie narzeka, a ja mam tego powyżej uszu! Jeszcze jeden wieczór zmarnowany.

– Nie masz ochoty spędzić wieczoru ze mną, bo jesteś tak zajęty roztkliwianiem się nad sobą, że możesz już skupić się wyłącznie na sobie!

Przez chwilę Samantha obawiała się, że tym razem posunęła się za daleko. Twarz Joe wykrzywił grymas wściekłości. Po raz pierwszy widziała męża aż tak zdenerowanego. Na ogół podczas ich kłótni trzymał nerwy na wodzy. Musiała mu dopiec do żywego. Po paru minutach uspokoił się, ale jego słowa raniły.

– Nikt cię tu nie trzyma. Jeśli chcesz odejść, droga wolna – wycedził, po czym niemal wybiegł z kuchni.

Samantha opadła na krzesło. Zdruzgotana, ukryła twarz w dłoniach. Chociaż zamknęła oczy, wciąż miała przed nimi zawziętą, rozgniewaną twarz męża. Kontrast między tą rocznicą ślubu a poprzednimi był zbyt duży, by nie napawał jej goryczą. Gdzie się podział Joe, który z zakłopotanym, a jednocześnie zadowolonym uśmiechem wręcza jej notarialny akt nabycia domu? Joe, trzymający w jednej ręce bilety do znanego nowojorskiego teatru i butelkę najlepszego francuskiego szampana w drugiej? Joe moszczący im przed płonącym kominkiem gniazdko miłości w górskiej chacie?

Ostatnie wspomnienie było bolesne, lecz nie mogła odsunąć go w niepamięć. Był to wieczór, który zapoczątkował ich małżeńskie kłopoty, który sprawił, że zaczęli się od siebie oddalać, choć początkowo byli pewni, że ich miłość przetrwa największe burze.

Minął już rok od ich ślubu. Kochali się namiętnie, uczyli wspólnego życia i, niestety,

klepali biedę. Pobrali się zaraz po tym, gdy zostali kochankami. Żadne z nich nawet nie pomyślało o zabezpieczeniu przed ewentualną ciążą i Joe, który wziął taką możliwość pod uwagę, zdecydował o pospiesznym zawarciu małżeństwa.

Gdy wkrótce okazało się, że nie zostaną rodzicami, żadne z nich nie poczuło się oszukane. Pobrali się, ponieważ nie byli w stanie żyć z dala od siebie, wiedzieli, że nikogo innego tak bardzo nie będą kochać, i chcieli spędzić razem resztę życia.

Tego lata próbowali ułagodzić rodziców Samantha, którzy zupełnie inaczej wyobrażali sobie przyszłość swej jedynaczki i uważali, że popełniła megalomanię, wiążąc się z młodym człowiekiem nie /e swojej sfery, w dodatku bez perspektyw. Odwiedzili też rodzinę Joe mieszkającą w Karolinie Północnej. Na początku Samantha, przywykła do samotności i chłodu uczuciowego w domu rodzinnym, była przytłoczona licznym i hałaśliwym klanem Giovanellich. Nie mieli nad nią litości. Zdominowali ją, starając się w ekspresowym tempie uczynić z Samantha jedną z nich. Po pewnym czasie jednak pokochała ich wszystkich.

Jesienią zapisała się do college'u, który mieścił się w pobliżu miejsca pracy męża. Rodzice, przekonani, że trudności życiowe szybko sprowadzą ich córkę do domu, odmówili finansowania jej nauki, by więc opłacić czesne, zaczęła pracować w bibliotece miejskiej. Mimo niedostatku, licznych zajęć, które wypełniały cały dzień i nie pozostawiały dużo wolnego czasu, byli niezwykle szczęśliwi. W maju, po praktyce w szkole podstawowej, Samantha zdała z wyróżnieniem egzaminy i otrzymała prawo nauczania w Karolinie Północnej.

Po południu, w pierwszą rocznicę ślubu, Joe bez słowa wyjaśnienia zapakował potrzebne rzeczy do używanego samochodu, który kupił na raty, i nie wyjawiając celu, zaprosił Samanthę na przejażdżkę. Po trzech godzinach jazdy wysłużona mazda wspinała się już na pierwsze wzgórze. Po następnej godzinie zatrzymała się przed starą chatą z drewnianych bali.

– Jak tu pięknie! – Zachwycona Samantha rzuciła się mężowi w ramiona. – Ale czy stać nas na to?

– W zamian za dokonanie paru napraw, można tu w lecie mieszkać za darmo.

– Ale co z twoją pracą? Mówiłeś, że chcesz znaleźć na lato dodatkowe zajęcie, żeby zaoszczędzić trochę pieniędzy.

– I znalazłem.

Nie mogła uwierzyć w to, że będą mieli wakacje, i to w tak malowniczej okolicy. Jak okiem sięgnąć, rozciągały się porośnięte gęstymi lasami zielone wzgórza, łąki były niczym kolorowe kobierce. W sąsiedztwie nie było żadnych domostw. Wokół panowała błoga cisza przerywana jedynie głosami zwierząt, szumem górskich potoków czy szelestem liści.

– A co ja będę tu robić, Joe? Nie potrafię majsterkować. Nie umiem niczego naprawić.

– Będziesz cieszyć się latem.

– A ty?

– Trochę czasu zajmie mi naprawa dachu, ale przez większą część dnia będę wolny. – Nie zwracał uwagi na jej protesty. – Posłuchaj, Samantho, zasłużyliśmy na urlop. Przez cały ten rok ciężko pracowaliśmy. Tutaj nie będziemy mieć żadnych wydatków, a po wakacjach i tak wszystko się zmieni.

– Jak to? – przeraziła się.

Joe zastępował nauczyciela, który wziął urlop na napisanie pracy magisterskiej, i w związku z tym miał tymczasową umowę o pracę. Młodemu człowiekowi z niewielkim doświadczeniem trudno było zdobyć stałe zatrudnienie. Był to już trzeci roczny kontrakt Joe.

– To znaczy, że nauczyciel, którego zastępowałeś, jednak wraca? – spytała.

– Owszem, wraca, ale to już nas nie będzie obchodzić, ponieważ się przenosimy. Do Foxcove. To około dwóch godzin jazdy od wybrzeża i godzina od miejsca zamieszkania większości członków mojej rodziny. Zaproponowano mi stanowisko wicedyrektora w szkole średniej.

– Wicedyrektora? – Nie mogła wprost uwierzyć.

– Francis współpracuje z radą szkolną. Kiedy usłyszał, że mają wakat, od razu pomyślał o mnie. Szukali kogoś z zewnątrz, kto byłby zdecydowany na przeprowadzkę, a jednocześnie umiał nawiązać kontakt z dziećmi. Spełniam te warunki i mam odpowiednie wykształcenie. No i trochę doświadczenia.

– Tylko trzy lata uczyłeś w szkole.

– Widocznie ich oczarowałem.

– Nic mi nie powiedziałaś.

– Wybrałem się do Foxcove, kiedy ty pojechałaś do rodziców. Nie chciałem cię rozczarować. Musiałem najpierw wszystko załatwić.

Wreszcie będą mieli prawdziwy dom, pomyślała. Nie będą już żyć od kontraktu do kontraktu, licząc na to, że Joe dostanie stałą pracę. A teraz nie dość, że Joe otrzymał etat, to na dodatek stanowisko i wyższe zarobki.

– A co ze mną? – Popatrzyła mu w oczy. Od początku uzgodnili, że najważniejsza jest praca Joe. Dla niej mieli szukać zajęcia w drugiej kolejności.

– Tam są różne możliwości. Ale ja mam inny pomysł.

– Jaki?

– Wejdźmy do środka, to ci powiem.

W chacie były dwa pomieszczenia na dole i mała sypialnia na poddaszu.

Joe skierował się na poddasze.

– Właściciel powiedział, że zostawi nam trochę jedzenia. Ja rozpakuję rzeczy, a ty przygotuj kolację.

Jej ciekawość rosła. Weszła do kuchni. Kątem oka obserwowała Joe, który najpierw wnosił bagaże, a potem drewno do kominka. Gdy skończyła, na kominku trzaskał już ogień, a Joe rozciągnął się wygodnie na dywaniku i obserwował płonące polana.

Samantha usiadła obok męża. Podała mu talerz z serem, sałatą, krakersami i owocami. Postawił go na podłodze.

– Czuję się jak w raju. Jak znalazłeś to miejsce?

– Po prostu z ogłoszenia. Dzięki Bogu...

– Jesteś nadzwyczajny.

– Opowiedz mi dlaczego. Zastanawiała się przez chwilę.

– Jesteś energiczny i zdecydowany. – Roześmiała się, gdy pocałował ją w czubek nosa. –

I jesteś cholernie seksowny.

– Wystarczy.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że znalazłeś taką świetną pracę. – Odwróciła się, żeby móc zobaczyć jego twarz. – Co za szczęście.

– Cóż, trzeba mieć trochę wiary w siebie.

– Och, Joe, nie bądź zarozumiały. Uśmiech znikł z jego twarzy.

– Bardzo tam ładnie, to są tereny rolnicze, czyste powietrze, ale położone z dala od centrów kulturalnych. To małe miasto, niezbyt nowoczesne.

– Takie Mayberry?

– Coś w tym rodzaju.

– Uwielbiam takie miejsca.

– Naprawdę?

– Ale dlaczego się mnie nie poradziłeś?

– To ja mam ciebie utrzymywać, a więc uznałem, że to jedyna słuszna decyzja.

W ciągu roku trwania ich małżeństwa słyszała różne interpretacje tego stwierdzenia. Czasami Joe mył naczynia i robił ravioli, i wiedziała, że jeśli będą mieli dzieci, przejmie na równi z nią obowiązki ich wychowania. Jednak w głębi serca uważał, że to na nim, jako głowie rodziny, spoczywa większa odpowiedzialność za nich oboje.

– Nie masz obowiązku mnie utrzymywać – sprzeciwiła się łagodnie. – Masz obowiązek mnie kochać.

– Uwielbiam cię. – Wziął ją w ramiona. – Jeśli nie polubisz Foxcove, zrezygnuję z tej pracy natychmiast i wyjedziemy. Wiesz, że tak będzie.

– A co to za pomysł, o którym wspomniałeś? W związku z moimi planami na przyszły rok?

– Już za późno na znalezienie dla ciebie posady nauczycielki w nowym roku szkolnym. Może zamiast tego zostałabyś mamusią?

– Joe... – zaczęła, ale nie była w stanie dokończyć zdania.

– Jesteśmy od roku małżeństwem. Mam dwadzieścia sześć lat. Teraz już zdołam utrzymać rodzinę. Będziemy mieć ubezpieczenie i na pewno znajdziemy niedrogie mieszkanie. Jeśli od razu zajdziesz w ciążę – a czemu nie miałabyś zajść? – pod koniec zimy dziecko przyjdzie na świat. A kiedy zaczniesz uczyć... jeśli zaczniesz... będzie miało prawie pół roku.

– Jeśli?

– Może będziesz wolała zostać w domu i mieć drugie.

– Joe...

– Czy to takie dziwne? Zdaję sobie sprawę, że chcesz pracować w szkole, i nie mam nic przeciwko temu, przeciwnie. Ale musimy przecież założyć rodzinę.

Jej myśli też coraz częściej krążyły wokół dziecka, chociaż nie rozmawiała z nim na ten temat.

– Dziecko...

– Nasze dziecko. – Ujął w dłonie jej twarz. – Kocham cię. Mamy wszystko, czego

moglibyśmy pragnąć oprócz tego jednego. Naszego dziecka, Samantha. Symbolu naszej miłości.

Wyobraziła sobie, że nosi w sobie dziecko Joe. Częstkę Joe. Małego chłopczyka z jego ciemnymi oczami lub małą dziewczynkę z jego zniewalającym uśmiechem.

– Wzięłaś swoje pigułki? Uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała.

– Bo ja ich nie wziąłem dodał.

– Sam podejmij decyzję.

– Ho, ho, skąd ja to znam. Możemy po nie wrócić. Albo zapomnijmy tego lata o kochaniu.

– To dopiero pomysł. – Uniosła się, by go pocałować. – Zostaniesz ze mną, kiedy będę rodzic?

– Nikt mnie od ciebie nie oderwie.

– W czasie porodu?

– Będę obok.

– Chcesz chłopca czy dziewczynkę?

– Teraz chcę tylko ciebie.

– Jestem twoja. Joe. Urodzę ci tuzin dzieci, jeśli mi obiecasz, że zawsze będziesz patrzył na mnie w ten sposób.

– A więc zaczynajmy.

Joe wrócił do domu dobrze po północy. Samantha, która nie zmrużyła oka, usłyszała warkot silnika. Leżała nieruchomo w łóżku, zastanawiając się, czy przyjdzie na górę, czy będzie spał na kanapie w salonie.

Parę minut później otworzyły się drzwi ich małżeńskiej sypialni. Joe rozebrał się, poszedł do łazienki, wrócił. Położył się obok niej, ale udawała, że śpi. Kiedy już prawie straciła nadzieję, poczuła jego kolano rozchylające jej nogi i ręce szukające piersi.

Nic nie powiedziała. I on nie odezwał się ani słowem. Przysunęła się do niego, a on przycisnął ją mocniej do siebie. Na tym poprzestali. Po jakimś czasie, wtulona w ramiona męża, Samantha wreszcie zasnęła.

ROZDZIAŁ 5

Corey Haskins tylko dwa razy zatrzymała się w czasie długiej wędrówki w dół Old Scoggins. Za pierwszym razem uskoczyła na bok, ponieważ drogą pędziła kawalkada samochodów. Gdy zniknęły na horyzoncie, cała była pokryta drobnym czerwonym pyłem, który drażnił jej nos i utrudniał oddychanie.

Za drugim razem stanęła, żeby odpocząć pod dużym drzewem rzucającym cień na dróżkę biegnącą wzdłuż szosy. Znalazła ocienione miejsce na pudełko po mleku, które niosła z miasta, położyła I się na trawie i zamknęła oczy.

Wiedziała, że ptak, któremu wymościła gniazdo w pudełku, nie I wygląda za dobrze. Nie wyglądał dobrze już wtedy, gdy go tam I wkładała. Mimo że wyłożyła pudełko trawą, żeby mu było wygodnie.

I dała mu robaka, na wypadek gdyby był głodny.

Pan Czerwony, bo tak go nazwała, może też zechcieć pić. Jak trochę odpocznie, nabierze mu wody z rowu.

Sama odczuwała pragnienie. Uprzymomniła sobie, że od rana nic nie piła. Na śniadanie zjadła płatki, ale nie było do nich mleka. A mama krzyczała na nią i kazała jej się wynosić, zanim zdążyła napić się wody prosto z kranu. Miały już tylko jedną, może dwie szklanki i mama chowała je wysoko w szafce, ponieważ niedawno Corey jedną stłukła.

Chciałaby, żeby było tutaj takie specjalne ujęcie wody jak przy szkole. Kiedyś pani Sammy podniosła ją, żeby mogła się napić z wysoko umieszczonego kranu, bo ten, z którego korzystali uczniowie, nie działał. Pamiętała dotyk ramion pani Sammy, jak nazwała ulubioną nauczycielkę. Czuła się jak małe dziecko, było jej tak dobrze. Pani zawsze tak ładnie pachnie i ma takie delikatne ręce.

Nikogo by nigdy nie uderzyła tymi rękami.

Corey miała nadzieję, że odnajdzie dom pani Sammy. Wiedziała, że stoi gdzieś przy tej drodze. Kiedy nikt nie widział, przerzuciła w szkole cały kosz na śmieci. Znalazła tam list zaadresowany do pani i na kopercie było napisane Old Scoggins. Wtedy była naprawdę zadowolona, że umie czytać.

Miała nadzieję, że pani Sammy będzie w domu. Może da jej coś do picia. I może poradzi, co zrobić z Panem Czerwonym.

Pani Sammy na wszystko potrafi znaleźć radę.

To wprost niemożliwe. Niemożliwe, by siedmioletnia dziewczynka mogła być aż tak brudna, spocona i tak całkowicie pozbawiona dziecięcego wdzięku, pomyślała Samantha, spoglądając ze zdumieniem i zaniepokojeniem na bosą Corey Haskins. Dziewczynka, prawdopodobnie nie zdając sobie sprawy, jak opłakanie wygląda, stała butnie przed nauczycielką, trzymając przed sobą pudełko po mleku.

– Całą drogę szłam piechotą, proszę pani. To bardzo daleko. Czy ma pani coś do jedzenia dla ptaszka?

– Corey, na Boga, jak mnie znalazłaś?

– Nieważne – mruknęła pod nosem dziewczynka, pochylając się z widoczną troską nad pudełkiem.

– Owszem, ważne, i to bardzo. Zupełnie sama, bez opieki osoby dorosłej, musiałas przebyć z dziesięć kilometrów albo i więcej, jeżeli idziesz prosto z miasta. Jak mnie znalazłaś?

Corey wzruszyła ramionami, nie odpowiadając na pytanie.

– I co mi tutaj przyniosłaś?

Dziewczynka ostrożnie podała jej pudełko, mówiąc:

– To tylko stary ptak.

Był to kardynał ze złamanym skrzydłem.

– Och, biedny – bąknęła Samantha.

– Dałam mu trochę wody, ale nie chciał pić.

– Bardzo słusznie zrobiłaś. Dobrze się stało, że zaopiekowałaś się chorym ptakiem, ze złamanym skrzydłem był zupełnie bezradny. Obawiam się jednak, że jest już za późno, by mu pomóc. Myślę, że najlepiej będzie położyć go w cieniu.

– On wyzdrowieje. Niech mu pani pomoże. Tak jak mnie, gdy się potłukłam.

– A gdzie go znalazłaś? – Samantha popatrzyła na zatroskaną buzię dziewczynki.

Corey znowu wzruszyła ramionami. W jej oczach pojawiły się łzy.

– A może rzuciłaś w niego kamieniem i przypadkowo go zraniłaś?

– Tylko ruszyłam go patykiem, a on spadł z gałęzi. I tyle.

– Nie wolno ci robić takich rzeczy, Corey. Nigdy. Zresztą on już musiał być chory, inaczej uciekłby przed tobą, po prostu by odfrunął. To nie twoja wina, kochanie.

– To ja go zabiłam.

– Ale nie umyślnie. Poza tym, jak tylko zorientowałaś się, co się stało, od razu się nim zaopiekowałaś i przeszłaś kawał drogi, ponieważ sądziłaś, że ja znajdę sposób, żeby ozdrowiał. – Samantha rzuciła okiem na ptaka i stwierdziła, że mogły zrobić dla niego już tylko jedno. – Mam dla niego miejsce. Pochowamy go.

Corey rozplakała się. Łzy płynęły po jej brudnej twarzy. Nawet nie starała się ich otrzeć.

Samantha odłożyła pudełko i objęła małą. Corey najwyraźniej nie była przyzwyczajona do takich gestów. Zesztywniała, jakby nie wiedziała, czego się od niej oczekuje. Jednak się nie odsunęła.

– Biedactwo – szepnęła. – Wypłacz się.

– Wcale nie płaczę.

– Oczywiście, że płaczesz. To dobrze.

– Nie płaczę.

Samantha trzymała Corey w ramionach dopóty, dopóki dziewczynka się nie uspokoiła. Wreszcie, gdy jej ramiona przestały drżeć, a łzy spływać po policzkach, odgarnęła jej włosy z twarzy.

– Musisz być zmęczona i głodna – powiedziała. – Wejźmy do środka. Zadzwońię do twojej mamy – myślę, że się o ciebie martwi – a później przygotuję ci coś do zjedzenia.

– Najpierw go zakopiemy. – Corey wskazała na ptaka. – Zakopiemy go – powtórzyła z naciskiem.

– Może poczekać, aż zjemy.

– Donikąd nie pójde, dopóki go nie zakopiemy.

– Nigdzie nie pójdziesz – poprawiła ją Samantha.

– Przecież powiedziałam.

– Dobrze, a więc zaczekaj tutaj, w cieniu. Przyniosę łopatę. – Zostawiła nieoczekiwanego gościa pod drzewem. Zastanowiła się, co powie Joe, gdy wróci do domu i zobaczy obszarpaną małą dziewczynkę o krok od wypielegnowanych grządek z kwiatami, które posadził na wiosnę.

Teraz była już połowa lipca. Rocznica ich ślubu minęła półtora miesiąca temu. Ani ona, ani on nie wracali do tamtego dramatycznego wieczoru. Ktoś z zewnątrz mógłby pomyśleć, że ich małżeństwu niczego nie brakuje. Tymczasem było zupełnie inaczej, prawdę mówiąc, coraz gorzej.

Widomą oznaką tego, że sytuacja pozostawiała wiele do życzenia, była dzisiejsza nieobecność Joe. Wyjechał z domu bardzo wcześnie, tak jak zwykł to robić prawie każdego ranka, ale tym razem nawet nie zadał sobie trudu, by poinformować ją, dokąd się wybiera. Mimo wakacji prawdopodobnie był w szkole, gdzie, jak się domyślała, miał jeszcze dużo do zrobienia.

Znalazła łopatę wśród porządnie poukładanych narzędzi ogrodniczych Joe. To też jedno z jego letnich zajęć – porządkowanie. Większą część czasu spędzał jednak poza domem. Nie informował jej, co robi. Podejrzewała, że gdyby i ona znalazła sobie jakieś zajęcie poza domem, wreszcie zdecydowałby się zakończyć prace elektryczne i zainstalować klimatyzację.

Gdy wróciła, dziewczynka nadal stała bez ruchu. Grządkom Joe nic nie groziło.

– Chodźmy nad staw. Wezmę pudełko.

– Nie, Pan Czerwony to mój ptak.

– Pan Czerwony?

– Tak. Tak go nazwałam.

– Ładnie. – Samantha poszła pierwsza, odwracając się od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy Corey idzie za nią. Zatrzymała się w pobliżu brzegu przy wzgórku miękkiej ziemi, skąd Joe usunął stary pień. – Myślę, że tu będzie dobrze.

– To pani jezioro?

– Staw – poprawiła Samantha, zastanawiając się, czy Joe mimo wszystko mógłby polubić Corey.

– Ma pani dzieci?

– Nie.

– To po co pani ten domek do zabawy?

– Mamy siostrzeńców i bratanków.

– Mieszkają tutaj?

– Nie. – Samantha zaczęła kopać, ale po kilku ruchach przestała. – Jak myślisz, Corey? Wystarczy?

– Głębiej – orzekła dziewczynka.

– Teraz wystarczy? – spytała po chwili.

– Chyba tak. – Corey uklękła obok jamy w ziemi i ostrożnie włożyła do niej pudełko z ptakiem. – Do widzenia, Panie Czerwony.

Samantha nie wiedziała, czy powinna coś dodać od siebie. Corey jednak patrzyła na nią wyczekująco, więc powiedziała:

– Powierzamy duszę tego ptaka opiece niebios. – Wyobraziła sobie dużego czerwonego ptaka w niebie i przez chwilę bała się, że się roześmieje. W porę się powstrzymała.

Corey złożyła dłonie jak do modlitwy i przymknęła oczy. Samantha mogłaby się założyć, że dziewczynka nigdy w życiu nie była w kościele, ale intuicja podpowiedziała jej, jak się powinna zachować. To jeszcze jeden dowód inteligencji tego wyjątkowego dziecka.

– Amen – powiedziała Samantha.

– Amen. – Corey otworzyła oczy. – Mogę już nasypać ziemi?

– Oczywiście.

Podaała dziewczynce łopatę, która była większa od niej. Corey po prostu zsunęła całą ziemię do dołu. Uznała, że tak będzie najprościej. Gdy skończyła, wyrównała wzgórek bosą stopą.

– A jeśli on nie zdechł? – przestraszyła się nagle.

Samantha już widziała oczami wyobraźni siebie, wykopującą ptaka, żeby sprawdzić, czy nie żyje.

– Zdechł, na pewno – uspokoiła dziewczynkę. – Jestem o tym przekonana.

– Myślałam, że go oswoję i będę się z nim bawić.

– Musisz poszukać czegoś innego. – Samantha wyciągnęła rękę. – Wracajmy do domu. Naprawdę powinnam zadzwonić do twojej mamy. Pewnie umiera ze strachu. Przecież wysłaś z domu kilka godzin temu.

– Och, nic jej to nie obchodzi.

Samantha doskonale orientowała się, że jej ulubiona uczennica nie jest otoczona przez matkę należytą opieką, ale musiała spełnić swój obowiązek. W domu kazała dziewczynce umyć ręce i twarz, a potem przygotowała jej kanapki z masłem czekoladowym i ogromną szklankę lemoniady. Poszukała numeru Verny Haskins. Corey, która z ogromną łatwością zapamiętywała szkolny materiał, przysięgała, że nie potrafi go podać.

Po drugiej stronie linii telefonicznej podniesiono słuchawkę dopiero po licznych sygnałach, w momencie gdy Samantha była już gotowa przerwać połączenie.

– Twoja mama bardzo się o ciebie niepokoiła i ucieszyła się, że zadzwoniłam – powiedziała do Corey, całkowicie mijając się z prawdą. Uśmiechnęła się do dziewczynki, choć w środku trzęsła się ze złości. Nie mogła przecież powiedzieć małej, że, w gruncie rzeczy, matce jest wszystko jedno, co robi jej córka i gdzie przebywa. „Corey? Gdzieś tu się kręci. Co? Jest u pani? Do diabła, nie wiedziałam, że wysła. Nie, proszę jej nie przywozić. Niech wraca na piechotę. Dobrze jej to zrobi, nie będzie wieczorem rozrabiać”.

Dziewczynka milczała. Jadła tak łapczywie, że Samantha bała się, żeby się nie udławiła.

– Wolniej, kochanie. Rozchorujesz się, jak będziesz jeść tak szybko.

Corey pochłaniała jedzenie, jakby w obawie, że ktoś zechce jej odebrać poczęstunek.

– Na co masz jeszcze ochotę? Owoce, ciasteczka, herbatniki – co wolisz?

– Wolę wszystko!

Do tej pory Samantha nie widziała, żeby Corey jadła tak żarłocznie. Miała okazję zaobserwować, ponieważ w szkole dzieci dostawały za darmo śniadanie i lunch. Na czas wakacji szkoła zamknęła podwoje i stołówka nie wydawała posiłków. A więc w tym kryła się tajemnica ogromnego apetytu dziewczynki? Odpowiedź była aż nazbyt oczywista.

Corey podrapała się w głowę.

– Musisz się wykapać i umyć włosy – zdecydowała Samantha.

– Nie chcę! – Owszem, zechcesz. I wiesz co? Mam coś do ubrania, co na pewno ci się spodoba.

Dziewczynka popatrzyła podejrzliwie, ale dała się zaprowadzić do pokoju gościnnego. Samantha otworzyła szafę i wskazała na dziecięce ubrania najrozmaitszych rozmiarów, pozostawione przez krewnych Joe, którzy często zatrzymywali się u nich przejazdem.

– Spójrz. – Samantha wyjęła niebieski podkoszulek i szorty. – Myślę, że będą na ciebie w sam raz. A kolor świetnie pasuje do twoich włosów. Masz piękne włosy.

– Nieprawda. Mama mi je obcięła, kiedy posmarowałam się żywicą.

Samantha pamiętała tamten dzień. Były tak splątane i zlepione, że nie było innego wyjścia.

– Umyję ci je, dobrze? Trocheje też wyrównam. Na pewno będą wyglądać lepiej. Myślę, że twoja mama nie będzie zła. – Podejrzała, że Vema nawet tego nie zauważy.

Corey wzruszyła ramionami, ale wyglądała na zainteresowaną.

Godzinę później była nie do poznania. Samantha wyszorowała ją od stóp do głów i ku swej radości nie znalazła w jej włosach niczego oprócz brudu. Teraz czupryna Corey była niemal tak krótka jak u chłopca, ale przynajmniej miała kształt i była porządnie ułożona. Dziewczynka była chuda, miała cienkie ramiona i nogi jak patyki, ale umyta, uczesana i ładnie ubrana nie przypominała już stracha na wróble.

Samantha wskazała jej lustro w sypialni.

– Przejrzyj się. No i jak? – spytała.

– Nie jestem ładna.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Dziewczynka, mimo wysiłków Samanthy, wciąż wyglądała nieszczerólnie, choć dużo lepiej niż poprzednio.

– Mnie się podobasz.

– Ale sobie nie.

– Masz śliczny kolor włosów, kochanie, a twoje oczy są tak ciemne, że włosy wydają się przy nich jeszcze jaśniejsze. To bardzo ładne połączenie.

– Chciałabym wyglądać tak jak pani.

– Gdybym miała córkę, mogłaby wyglądać tak jak ty – mówiąc to, Samantha usłyszała jakiś ruch. Odwróciła się i w drzwiach spostrzegła męża.

– Joe...

– Kto to jest, u diabła?! – zawołała Corey i gwałtownie odwróciła się od lustra.

– Corey! – upomniała ją Samantha.

Trudno było wyobrazić sobie bardziej niefortunny początek. Joe wpatrywał się w dziewczynkę z kamiennym wyrazem twarzy.

– To Corey Haskins. Była moją uczennicą w tym roku. Corey, to pan Joe, mój mąż.

– Dlaczego Corey jest tutaj? – spytał Joe, nie spuszczać wzroku z dziewczynki.

– To długa historia – odparła Samantha. – Właśnie miałam ją odwiedzić do domu.

– Dobry pomysł – stwierdził krótko Joe i, zachowując nieodgadnioną minę, wyszedł z pokoju.

– Dlaczego on się nie uśmiecha? – spytała Corey.

– A dlaczego ty się nie uśmiechnęłaś? – Samantha zaczynała mieć już dość tej sytuacji.

Nagle poczuła się zmęczona.

– Bo nie chcę.

Joe był w salonie, gdy wychodziły.

– Nie pojedziesz z nami? – zagadnęła Samantha.

– Przykro mi, ale nie mam czasu.

Oczywiście, że nie ma. Zawsze wyszuka sobie jakieś zajęcie, chociaż trwają wakacje, pomyślała zirytowana.

– Cóż, niedługo będę z powrotem.

– Do widzenia, Corey – rzucił.

Dziewczynka popatrzyła na niego bez zbytniego entuzjazmu, ale powiedziała:

– Pani Sammy jest dobrą nauczycielką. A pan jest dobrym nauczycielem?

– Jestem dyrektorem.

– Wszystko jedno. Na pewno bije pan dzieci.

– Nikogo nie biję – odparł Joe, zły na siebie, że wdał się w dyskusję z dzieckiem. – W każdym razie dotychczas nikogo nie uderzyłem – dodał tonem, w którym kryła się groźba.

– Pewno pan to zrobi.

– Idziemy. – Samantha wzięła Corey za rękę. W progu zatrzymała się i obejrzała na męża.

Siedział w fotelu ze wzrokiem wbitym w ścianę.

Kiedy dotarły po wskazany przez dziewczynkę adres, Samantha rzuciła okiem na licznik i stwierdziła, że mała przeszła prawie dziesięć kilometrów, żeby przynieść jej Pana Czerwonego. Dziesięć kilometrów w lipcowe popołudnie wzdłuż ruchliwej szosy bez pobocza dla pieszych! Dom, pod którym się zatrzymały, wyglądał wręcz ponuro. Drzwi mieszkania zajmowanego przez Haskinsów były zamknięte na klucz.

– Nic nie szkodzi – uspokoiła ją dziewczynka. – Często wchodzę przez okno.

– Nie ma mowy. Zaczekamy.

Trzy razy obeszły małe przedmieście Foxcove. Zjadły hamburgera, frytki, wypiły koktajl mleczny, wybrały się do sklepu, a także do parku. Było już ciemno, gdy wreszcie zobaczyły światło w mieszkaniu Haskinsów.

– Chyba już jest twoja mama – powiedziała Samantha.

– Na to wygląda.

Drzwi otworzyła tęga, przedwcześnie postarzała kobieta o niechlujnym wyglądem.

Złapała Corey za ramię, wciągnęła ją do środka i od razu zaczęła na nią krzyczeć. Samantha wsunęła nogę w drzwi, żeby Verna Haskins nie mogła ich zamknąć.

– A teraz proszę mnie posłuchać – powiedziała podniesionym głosem, by Verna ją usłyszała. – Powiadomię odpowiednie władze o pani zachowaniu i poproszę, żeby jutro sprawdzili, czy nie bila pani Corey. Wyrażam się jasno?

– Co pani sobie, u diabła, myśli, że kim pani jest? – zaskrzeczała kobieta.

– Jestem matką, jaką powinna mieć Corey.

„Gdybym miała córkę”.

Joe nalał sobie whisky i wypił ją jednym haustem. Samantha wyszła już parę godzin temu, ale wciąż brzmiały mu w uszach jej słowa.

„Gdybym miała córkę”.

Ale oczywiście nigdy jej nie będzie miała. I to z jego winy.

Trzasnęły drzwi. Nalał sobie kolejnego drinka.

– Joe? – Samantha weszła i zapaliła światło, ponieważ pokój zalegały ciemności. – Zjadłeś kolację? Dzwoniłam, żeby ci powiedzieć, że później wrócę, ale chyba cię nie było. Dostałeś moją wiadomość?

– Nie.

– Mam nadzieję, że się nie martwiłeś. Następnym razem odsłuchaj sekretarkę.

– Gdzie, u diabła, się podziewałaś?

– Matki Corey nie było w domu, nie mogłam małej zostawić samej, chociaż pewno obie uważały, że powinnam tak zrobić. Czekałam, aż wróci.

– To nie twój problem.

– Słucham?

– Rozumiem, że nie mogłaś jej zostawić, ale nie powinnaś sobie nią zawracać głowy. Nie powinnaś jej tu dzisiaj przywozić.

– Nie przywiozłam jej. Sama tu przyszła, na piechotę, niosąc dziesięć kilometrów umierającego ptaka, ponieważ wierzyła, że ja mu pomogę.

Joe w milczeniu wypił jeszcze jednego drinka.

– Czy uważasz, że należało ją odprawić? – spytała Samantha. – o to ci chodzi? Kazać jej iść z powrotem dziesięć kilometrów wzdłuż ruchliwej szosy, narażając tym samym na liczne niebezpieczeństwa? Wziąć na swoje barki taką odpowiedzialność? A gdyby Corey coś się stało?

– Nie to miałem na myśli.

– A więc co, twoim zdaniem, powinnam zrobić?

– Powinnaś powiadomić matkę i zadzwonić do pogotowia opiekuńczego. Oni by się tym zajęli, od tego są.

– Jeśli chcesz wiedzieć, to wpadłam na ten pomysł i zadzwoniłam do pogotowia opiekuńczego. Tyle że wiem, czym to się skończy. Zbadają sprawę, stwierdzą, że Verna nie jest pozbawiona praw rodzicielskich, sprawdzą, co się dzieje w domu, może nawet zorganizują małą naradę i to wszystko.

– Twoja wiara w system jest doprawdy imponująca.

– Verna nie zasługuje na to dziecko! Nigdy nie będzie dobrą matką dla Corey, dla żadnego dziecka! A przecież są tacy ludzie jak ty i ja... – Urwała nagle.

– Mów dalej. Ludzie jak ty i ja...

– Są ludzie tacy jak my, którzy byliby cudownymi rodzicami, ale nie mogą mieć dzieci.

– Ty możesz mieć dzieci, jeśli idzie o ścisłość. Lekarze potwierdzili, że możesz zająć w ciążę i rodzić. To ja jestem wybrakowany, to ja nie mogę mieć dzieci.

– Po prostu jesteś bezpłodny. To się zdarza.

Chciała do niego podejść, ale demonstracyjnie się odwróciła.

– Joe, jakbyś się czuł, gdybym to była ja? Milczał.

– Joe?

– Dajmy spokój, Samantho.

– Nie, to uzasadnione pytanie. Co by było, gdybym to ja była bezpłodna? Czy mniej byś mnie kochał? Czy uważałbyś, że nie jestem kobietą?

– To co innego.

– Wcale nie.

Poczuł jej dłoń na ramieniu. Wszystko, co mógł zrobić, to nie odepchnąć jej.

– Nie chcę o tym rozmawiać. Mamy to już za sobą. Życie toczy się dalej – powiedział.

– Nieprawda. Jesteś tak pochłonięty swoją bezpłodnością, tak wściekły i rozżalony, że zupełnie się ode mnie odsunąłeś. Wykluczyłeś mnie ze swego życia. A przecież ja cię kocham! Potrzebuję cię!

– Potrzebujesz dzieci! – Popatrzył jej prosto w twarz. – Do diabła, myślisz, że tego nie dostrzegam i nie rozumiem?! Jesteś stworzona na matkę, a ja nie mogę ci ich dać! Czy nie widzisz, jak bardzo to mnie dręczy?

– Możesz mi dać dzieci.

– Nie!

– Możemy adoptować dziecko. Nieprzypadkowo wybraliśmy zawód nauczyciela, lubimy dzieci, potrafimy się z nimi dogadać. Dlaczego jednego z nich nie moglibyśmy pokochać, zająć się jego wychowaniem, pomóc mu dorosnąć?

– Nie chcę cudzego dziecka!

– Koniecznie musi mieć twoje geny?

– Tak!

– Tu nie chodzi o to, że nie akceptujesz adopcji. – Samantha ścisnęła mocniej jego ramię. Poczuł wpijające się w ciało paznokcie. – Tu chodzi o Josepha Giovanello, o jego źle rozumianą męską dumę, a nawet o jego próżność.

– Nie potrzebuję twoich wywodów psychologicznych! Nie dam ci dzieci, nie jestem w stanie, w żaden sposób. Jeśli nie możesz się z tym pogodzić, to nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

– Doprawdy? I co to zmieni? Kiedy to ostatni raz mieliśmy sobie coś do powiedzenia? – Samantha przysunęła się do męża. – Nie mam już siły walczyć z tym demonem, który zakradł się między nas, Joe. W każdym razie nie sama. Daj mi jakieś oparcie, coś, czego mogłabym się uchwycić. Mogę żyć bez dzieci, ale nie mogę żyć tak jak teraz. Kocham cię i potrzebuję,

ale nie zamierzam bez przerwy tego powtarzać. Też mam swoją dumę.

Miał ochotę chwycić ją w ramiona i zatrzymać na zawsze, ale nie był w stanie tego zrobić. Po prostu nie był w stanie.

Stała jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła się i wyszła. Obserwował ją i wiedział, że pewnego dnia wyjdzie, zamknie za sobą drzwi i nigdy nie wróci.

Zastanawiał się, dlaczego nie zrobiła tego w dniu, gdy lekarz oznajmił im, że nie mogą zostać rodzicami.

ROZDZIAŁ 6

Po przedwczesnej śmierci męża Rosę zlikwidowała dom w Brooklynie i wraz z potomstwem przeniosła się do Karoliny Północnej, do Goldsboro, gdzie osiedlił się jej brat. Obiecał trzydziestotrzyletniej wdowie, obarczonej liczną gromadką i przerażonej odpowiedzialnością, która na nią spadła, że pomoże jej w znalezieniu mieszkania i pracy oraz opiece nad dziećmi.

Z czasem wszyscy młodzi Giovanelli porozjeżdżali się – choć nie za daleko od domu – i osiedlili w różnych miastach stanu, który uważali za swój dom. Tylko Johnny wraz z żoną Teddy zamieszkali w Goldsboro, gdzie Johnny był przedstawicielem handlowym fabryki mebli na całą Karolinę Północną. Kiedy Rosę w żartach narzekała, że zrobił to, żeby mieć starą matkę na oku, uśmiechał się tylko owym charakterystycznym uśmiechem Giovanellich i nie odpowiadał na zaczepki.

Następnego dnia po kłótni z Samantha, dla której pretekstem stała się sprawa Corey, Joe wybrał się do Goldsboro, do Johnny'ego. Solidny, murowany dom brata, położony z dala od sąsiadów, wyróżniał się pięknym otoczeniem. Teddy studiowała architekturę krajobrazu i wyżywała się na własnym podwórku i ogrodzie, próbując nowych kompozycji z roślin.

Gdy Joe wysiadł z samochodu, spostrzegł przez podniesione drzwi garażu brata pochylonego nad otwartą maskę samochodu. Johnny podniósł głowę i obrzucił brata uważnym spojrzeniem.

- Co się stało? – spytał Joe.
- Gdybym wiedział, to bym naprawił. Na razie staram się znaleźć usterkę.
- Pomóc ci?
- Ty? Od kiedy to znasz się na samochodach lepiej niż ja?
- Od zawsze. – Joe zdjął zegarek, schował go do kieszeni i pochylił się nad silnikiem.
- A swoją drogą, co tutaj robisz? – zainteresował się Johnny.
- Chciałem się trochę przejechać.
- Ładne mi trochę. Gdzie Samantha?
- W domu.
- Szkoda. Pogadałyby sobie z Teddy.
- Nie jest w nastroju do pogawędek.
- Ty też ostatnio nie jesteś zbyt rozmowny. Joe zignorował słowa brata.
- Co właściwie dolega temu gruchotowi? – spytał.
- Nierówno chodzi.
- Kiedy? Na niskich obrotach? Na wysokich?
- Raczej na wysokich.
- Przyczyny mogą być różne.
- Myślisz, że tego nie wiem?
- Sprawdziłeś pompę paliwową?
- Jeszcze nie.

– A świece?

– Dopiero zacząłem? Sprawdź sam!

Joe pochylił się i przez chwilę majstrował przy silniku. Wreszcie się wyprostował.

– Spójrz na to.

Trzymał w ręku dwie świece zapłonowe. Pokazał je bratu.

– Są przegrzane. Albo są zużyte, albo były źle wkręczone. Poradzisz sobie?

– Tak, dobrze wkręciłem. Na ogół używałem innych. Wymienię je.

– A masz zapasowe?

– Tak, kupiłem te, co zwykle.

Johnny pochylił się nad samochodem i wkręcił nowe świece.

– Spróbuj teraz zapalić – powiedział. – Powinno być dobrze.

– Zostawię włączony silnik, niech trochę popracuje.

– Dobra, a tymczasem napijmy się kawy – zaproponował Johnny.

Joe pomyślał o miłej, rodzinnej atmosferze domu brata. Kiedyś stawiał ją sobie za wzór.

– Jeszcze nie – powiedział.

– A więc co chcesz robić?

– Zamknij te cholerne drzwi i wsadź mój łeb pod maskę.

– Chcesz o tym pogadać?

Joe nie lubił rozmawiać o swoich osobistych sprawach i nie zwykł tego czynić. Winien był jednak bratu wyjaśnienie i przeprosiny. Właściwie powinien przeprosić cały świat, ale odpowiednie słowa nie chciały mu przejść przez gardło.

– Może napijemy się kawy w patiu – zaproponował Johnny i zniknął, zanim Joe zdołał cokolwiek odpowiedzieć.

Patio było kolejnym przykładem talentu Teddy. Otaczały je miniaturowe, pięknie przyszyty sosny, wśród których w sposób niezwykle przemyślany umieszczono najrozmaitsze rośliny ozdobne. Był to doprawdy uroczy zakątek, znakomite miejsce do odpoczynku.

– A więc w czym rzecz? – zaczął Johnny.

Postawił na stole tacę z kawą i herbatnikami. Joe poznał rękę Teddy po kolorowych serwetkach i eleganckich filiżankach. Musiała sama przygotować im poczęstunek. Wiedział, że dopilnuje, by dzieci im nie przeszkadzały. Pod wieloma względami przypominała Samanthę.

Joe wciąż nie miał ochoty rozmawiać o swoich problemach.

– Sprawdziłeś, co z samochodem? – spytał brata.

– Tak, cały czas chodzi. Na razie wszystko w porządku. Jeśli to rzeczywiście były świece, to sprawa załatwiona.

Joe drobnymi łykami popijał kawę i rozglądał się wokół. Ogród został zaprojektowany z myślą o dzieciach – był i plac zabaw, i domek na drzewie, i piaskownica, w której mogły się zmieścić wszystkie latorośle rodu Giovanellich naraz.

– Czy macie jakieś kłopoty? – zagadnął Johnny. – Zdaję sobie sprawę, że wtedy za dużo wypłem. To były tylko żarty, nie wiedziałem, że dotknąłem czulej struny. Przecież zawsze

byliście tacy szczęśliwi.

– Nie możemy mieć dzieci – oznajmił krótko Joe. Wreszcie wypowiedział te słowa. Dokładnie cztery, ani jednego więcej. Nie poczuł się jednak przez to lepiej. Ani na jotę.

– Co to znaczy nie możecie? – Johnny był szczerze zdumiony. Joe nie potrafił rozżłościć się na brata. Na miejscu Johnny'ego zareagowałby z podobnym niedowierzaniem. Dobrze pamiętał dzień, kiedy lekarz ich o tym poinformował, i swoje ówczesne zachowanie.

Gdy w czasie letniego pobytu w górach Samantha nie zaszła w ciążę, nie przejęli się tym zbyt. Przeprowadzili się do Foxcove, gdzie Joe zaoferowano posadę wicedyrektora. Na początek znaleźli niewielkie mieszkanie, w przyszłości zamierzali kupić albo wynająć dom. Na tydzień przed rozpoczęciem roku szkolnego jedna z nauczycielek szkoły podstawowej poważnie zachorowała i musiała zrezygnować z dalszej pracy. Samantha była jedyną wykwalifikowaną nauczycielką bez stałego zatrudnienia, a więc jej zaproponowano zastępstwo.

Ponieważ władze zapewniały urlop macierzyński, nie rezygnowali ze swoich planów rodzicielskich. Nawet gdyby Samantha od razu zaszła w ciążę, mogłaby jeszcze pracować prawie do końca roku szkolnego. Scenariusz bardziej prawdopodobny przewidywał narodziny dziecka w lecie. Ale i ten plan się nie powiódł.

Po roku bezowocnych wysiłków Samantha wybrała się do Raleigh do specjalisty od leczenia bezpłodności. Lekarz zrobił wstępne badania, po czym polecił jej zgłosić się za pół roku, gdyby nadal nie zachodziła w ciążę. Zanim odwiedziła lekarza po raz drugi, sześć miesięcy zmieniło się w dwanaście. Joe był przeciwny jakimkolwiek badaniom, przytaczał przykłady znajomych par, które też długo czekały na dziecko. Interwencja lekarza w tę sferę ich pożycia wydawała mu się naruszeniem prywatności małżeństwa.

Samantha wybrała się do lekarza sama, ponieważ Joe nie chciał jej towarzyszyć. Podała się kolejnej serii badań. W końcu jednak, kiedy wyczerpano już wszystkie możliwości i nie wykryto żadnej przyczyny medycznej, dla której nie mogłaby mieć dziecka, Joe, choć niechętnie, pojechał do Raleigh razem z nią.

Badania, szczególnie tak specyficzne, budziły w nim odrazę, ale się na nie w końcu zgodził.

W dniu, w którym pojechali odebrać ostateczne wyniki, było zimno i dżdżysto. Podróż trwała dość długo. Oboje byli podenerwowani, nie wiedzieli, co usłyszą w tak istotnej kwestii; ponadto on był zły na nią, że wybrała lekarza w tak odległym mieście, ona – że wcześniej nie zdecydował się na badania.

Gdy wreszcie stanęli przed drzwiami gabinetu, tworzyli znowu zgodną parę.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszał żonę Joe, ściskając za rękę. – Przebrniemy przez to. Jeśli wynikną jakieś problemy, oni na pewno potrafią nam pomóc. Tak czy inaczej będziemy już coś wiedzieć.

Samantha była blada i niespokojna. Martwiła się o to, że jest obciążona dziedzicznie: jej matka zdążyła urodzić tylko jedno dziecko, zanim usunięto jej macicę z powodu guza. Mimo zapewnień lekarza, że u niej wszystko jest w porządku, była przekonana, że historia matki

może się powtórzyć.

Pielęgniarka zaprosiła ich do gabinetu. Lekarz wstał, żeby się z nimi przywitać, a następnie zwrócił się do Joe.

– Problem jest ze mną, nie z Samantha. – Joe powrócił do rzeczywistości. – To zdarza się niezmiernie rzadko: jestem uczulony na własną spermę. Jak ci się to podoba? Nie mogłem być uczulony na sierść albo na kurz? Nie! To musiała być moja sperma.

– O czym ty mówisz?

– Ten lekarz z Raleigh przeprowadził testy. Mam za mało plemników. Zaledwie zdołam je wyprodukować, już są atakowane przez przeciwciała. Nie zdążą nigdzie dotrzeć. Mam taką szansę, żeby zapłodnić żonę, jak żeby polecieć na Księżyc.

– Boże, Joey, a ja mówiłem takie rzeczy...

– Jak to ty, kiedy sobie wypijesz.

– I nic nie da się zrobić?

– Próbowałem brać leki. Nie toleruję ich. Niewiele można pomóc, nawet gdyby liczba plemników wzrosła. Nic już nie możemy poradzić.

– Sam nie wiem, co powiedzieć.

– Ja też.

– Od kiedy o tym wiecie?

– Dowiedziałem się pod koniec zimy.

– I nic mi nie powiedziałaś?

– Nie.

– Co z ciebie za brat?! Jak można to w sobie dusić?

– Ja mogę. – Joe dokończył kawę.

– Przecież to nie twoja wina. Chyba rozumiesz? – pocieszał go Johnny.

– A jak ty byś się czuł na moim miejscu? – Joe spojrzał bratu prosto w oczy. – Co by było, gdybyś to ty nie mógł dać swojej żonie dziecka? Co by było, gdyby to po twoim ogrodzie, pełnym drzew i krzewów, nigdy nie miało biegać twoje dziecko?

Johnny opuścił bezradnie ramiona.

– Chciałem, żebyś się dowiedział – dodał Joe, odstawiając ostrożnie filiżankę, choć najchętniej cisnąłby nią o ziemię. – Nie życzę sobie wałkować tej sprawy z nikim z rodziny, nie chcę, żebyście nas zagadywali o to, kiedy nasza rodzina się powiększy, i proszę, żeby mama nie przymawiała się o wnuka. Bo wnuka nie będzie. Nigdy.

– Chcesz, żebym im o tym powiedział? Joe skinął głową.

– A czy rozważyłeś inne możliwości? Inne sposoby, by mieć rodzinę?

– Owszem.

– I co?

– I nic.

Johnny nie usiłował go przekonywać. Może był czasem zbyt szczerzy i impulsywny, ale tylko on mógł naprawdę wczuć się w sytuację brata. Doskonale się rozumieli. Powiedział tylko jedno zdanie:

– Nie jesteś przez to gorszy, Joey, pamiętaj o tym.

Joe nie odpowiedział. Wolał milczeć, niż zarzucić bratu kłamstwo.

Zatrzymała się, by odpocząć pod tym samym drzewem, pod którym zrobiła sobie przerwę w czasie swej pierwszej wędrówki wzdłuż Old Scoggins. Tu było spokojnie, nie tak jak koło jej domu. Sąsiedzi często się kłócili i nawet późno w nocy słyszała ich podniesione głosy i łomot rzucanych przedmiotów.

Nie rozumiała, dlaczego wciąż muszą się tak głośno zachowywać. Jej matka też kiedyś cisnęła w nią garnkiem, ale nie miała dobrego celu i nie trafiła. Corey i tak bardzo się przestraszyła. Przez większość czasu była w domu sama; czasem matka przychodziła taka wściekła, że chowała się przed nią, czekając, żeby jak najprędzej znowu wyszła z domu.

Dzisiaj też musiała już gdzieś pójść. Gdy Corey się obudziła, mieszkanie było puste. Nawet się ucieszyła. Zjadła trochę masła orzechowego prosto ze słoika i napiła się dowolnej wody z kranu. Początkowo chciała zostać w domu i oglądać całe przedpołudnie filmy rysunkowe w telewizji, ale szybko ją to znudziło.

I wtedy pomyślała o pani Sammy.

Matka nie pozwoliła jej więcej tam chodzić. Narzekała, że przez nauczycielkę, która wtyka nos w nie swoje sprawy, ma same kłopoty. Corey jej nie uwierzyła. Pani Sammy zawsze potrafiła na wszystko coś poradzić, była taka łagodna i miła.

Gdyby jednak mama zorientowała się, że znowu poszła ją odwiedzić, rozżłościłaby się na dobre. Rzucalaby w Corey różnymi przedmiotami, a może nawet zrobiłaby coś gorszego. Kiedy już biła, biła mocno.

Dlatego postanowiła nie odwiedzać pani Sammy po raz drugi. To znaczy nie spotkała się z nią. Kręciła się natomiast koło jej domu. Pewnego razu, ukryta wśród krzewów i drzew, zobaczyła ją w ogrodzie, jak krząta się przy grządkach. Była ubrana na jasnożółto, jej włosy miały podobny odcień.

Chciała ją zawołać, ale się bała. Nie tylko z powodu mamy. Również z powodu pana Joe. Był taki duży. Nigdy nie widziała takiego dużego mężczyzny. I miał takie złe oczy. Wydawało się, że jest wściekły na wszystkich i na wszystko. Zorientowała się, że, w przeciwieństwie do pani Sammy, nie lubi małych dziewczynek. Wyglądało na to, że i swoją żonę niezbyt lubi.

Nie zdradziła swojej obecności tamtego dnia i dziś też tego nie robi, nawet gdyby pani Sammy pojawiła się koło domu. Nie chciała, żeby wyniknęły jakieś komplikacje. Po prostu chciała tylko zobaczyć panią Sammy. Nie wiedziała właściwie dlaczego. Po prostu chciała.

Joe został u Johnny'ego na lunchu, dzielnie odpierając szturm jego dzieci. Bardzo je lubił i chętnie się z nimi przekomarzał, ale gdy wreszcie wsiadł do samochodu, poczuł się zmęczony.

Musiał się przygotować psychicznie na spotkanie z Samanthą. Nie rozmawiali ze sobą od czasu ostatniej kłótni, podczas której każde z nich powiedziało za dużo. W miarę upływu dni atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Nie wiedział, jak zmienić tę sytuację, i nie wiedział nawet, czy chciałby ją zmienić.

Burza nadciągnęła i przeszła, ale było jeszcze jasno, gdy skręcił w Old Scoggins Road. Zbliżając się do domu, uświadomił sobie, że jedzie znacznie szybciej niż powinien. Czyżby w ten sposób dawał upust swoim frustracjom? Dziesiątki razy prowadził pogadanki na temat niebezpieczeństw wynikających z przekraczania rozsądnej prędkości, a teraz sam tak właśnie postępował. Gdy licznik wskazał ponad sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, zdjął nogę z gazu.

O sekundę za późno.

Zobaczył dziecko przebiegające szosę na wprost niego. Gdyby jechał tak jak powinien, z prędkością siedemdziesięciu kilometrów, miałby dość czasu, by zwolnić i spokojnie zjechać na pobocze. W tej sytuacji jednak zahamował gwałtownie, samochód zawirował na gładkim asfalcie i wylądował w rowie, uderzając maską w korzeń potężnego dębu. Joe poleciał do przodu, ale pas uchronił go przed uderzeniem w kierownicę. Silnik warknął jeszcze dwa razy i zgasł.

Przez chwilę się nie ruszał. Był oszołomiony – wszystko stało się tak szybko. A później ogarnęła go furia.

Drzwi zaskrzypiały podejrzenie, gdy je otworzył i ostrożnie wygramolił się z fotela kierowcy. Wystarczył mu jeden rzut oka, by stwierdzić, że samochód będzie wymagał poważnej naprawy. Zaklął, wściekły zarówno na siebie, jak i na nie urny sinego, co prawda, sprawcę wypadku.

Wydobył się z rowu, przebiegł parę kroków i zorientował się, że to Corey Haskins tak nagle wtargnęła na jezdnię.

– Co, u licha, tutaj robisz? – Chwycił ją za ramię i rozejrzał się dokoła, zastanawiając się, czy jest pod czyjąś opieką. W zasięgu wzroku nie było nikogo.

Chciała się wyrwać, ale trzymał ją mocno. Był rozgniewany, jednak nie na tyle, by nie zauważyć, że dziewczynka jest śmiertelnie przerażona.

– Pytałem cię o coś.

– To nie pana interes! – Znowu się szarpnęła.

– Szłaś do pani Samantha?

– No to co?

Mógł się zabić. Gorzej, dużo gorzej, mógł ją zabić. Miała siedem lat, była żalonym, zaniedbanym, niekochanym dzieckiem, a on chciał zmusić ją do uległości.

– Wpuszczę cię – powiedział przez zaciśnięte zęby – pod warunkiem, że nie uciekniesz, dopóki nie porozmawiamy. Zrozumiałaś?

– Nie muszę pana słuchać!

– Czyżby? Na twoim miejscu bym się tak nie stawiał.

Zastanawiała się przez chwilę, potem odeszła parę kroków, kuśtykając, ale nie oddaliła się za bardzo. Oparła ręce na biodrach, podniosła głowę i popatrzyła na niego wyzywająco.

– No? – zaczęła.

– Przez ciebie rozbiłem samochód.

– Był niezły huk.

– Cieszę się, że to cię rozbawiło.

– To było lepsze niż w telewizji.

Postanowił nie reagować na bezczelność dziewczynki. Rozumiał, że w ten sposób się broni.

– Szłaś do pani Samantha? – powtórzył.

– Czasami tam chodzę.

Wiedział, że była raz. Czyżby Samantha celowo mu nie wspominała, że dziewczynka ją odwiedza?

– Często?

– Dość, ale jej nie przeszkadzam – podkreśliła z dumą. – Po prostu chodzę popatrzeć.

– To za długi spacer jak na taką dziewczynkę. I jak się dziś okazało, naprawdę niebezpieczny. Mogło się skończyć inaczej, dużo gorzej. Samochód jest rozbity, ale tobie, na szczęście, nic się nie stało. Możesz wpaść pod samochód, jeśli będziesz tak przebiegać szosę.

– Ale nie wpadłam.

– Aleja rozbiłam auto.

– Za szybko pan jeździ.

Nie mógł temu zaprzeczyć, ale tym większą poczuł do niej niechęć, że mu o tym przypomniała.

– Czy twoja matka wie, gdzie jesteś? – zmienił temat.

– Nie wie. – Jej twarz sposepniała jeszcze bardziej. – Nie obchodzi ją, gdzie chodzę.

Po tym, co Samantha opowiadała mu o dziewczynce i jej rodzinie, wierzył, że mówi prawdę.

– Pójdziemy do mnie do domu. Wezwę pomoc drogową, a później odwiozę cię do domu autem mojej żony.

– Nie chcę iść z panem. Nie lubię pana.

– Nie musisz mnie lubić.

– To dobrze, bo nie lubię!

Ręka aż go świerzbiła, żeby przywołać tą nieznośną, wygadaną, bezczelną Corey Haskins do porządku. Opanował się jednak i bez słowa ruszył w kierunku domu. Po chwili zorientował się, że dziewczynka jednak za nim idzie. Zmusił się, by zwolnić kroku i dostosować się do jej tempa.

– Jak często tutaj przychodzisz? – spytał w końcu. Mieli przed sobą jeszcze co najmniej kilometr. Trudno przez cały czas milczeć.

– Jak mama wychodzi.

– A często wychodzi?

– Jak tylko może.

Podejrzewał, że ta siedmiolatka się z nim drażni, i bardzo mu się to nie podobało.

– Ile razy? Raz? Dziesięć? Dwadzieścia?

– Może sześć.

– I pani Samantha nie wie o tym?

– Już panu mówiłam.

Po namyśle uznał, że mała nie kłamie.

– Ma pan domek do zabawy dla dzieci, a nie ma pan dzieci – zagadnęła po chwili. – Dlaczego?

– Bo nie.

– Pani Sammy lubi dzieci, ale pan chyba nie.

– Lubię dzieci, które wiedzą, jak się zachowywać.

– Jak Alice Lambert.

– A kto to jest?

– Ma takie lśniące czarne włosy jak pan i umie pisać kursywą.

– Kursywą?

– Nie wie pan, co to jest kursywa?

– Wiem. – Marzyłam, żeby już byli w domu. – Co ma z tym wspólnego charakter pisma?

– My się jeszcze nie uczymy pisać kursywą, ale pani Sammy to lubi. Mówi, że Alice jest zręczna. Ze wszystkim sobie radzi.

– A ty? Ty sobie nie radzisz?

– Z pisaniem nie za bardzo.

Cóż go właściwie obchodzi, czy ta dziewczynka potrafi ładnie pisać, czy nie. Powiedział jednak coś całkiem innego.

– Do czwartej klasy miałem problemy z pisaniem. Pisałem drukowanymi literami.

– To musiało być okropne.

– Ale jakoś mi to uchodziło na sucho.

– Dlaczego pan tutaj mieszka? Tu nie ma co robić.

– Bo lubimy spokój. To znaczy nie lubimy ludzi, którzy przychodzą nieproszeni.

– Pani Sammy mnie lubi.

– To nie znaczy, że masz tu przychodzić. Kiedy odwiozę cię do domu, powiem twojej mamie, żeby cię lepiej pilnowała. I nie chcę cię tu znowu widzieć. Zrozumiałaś?

Odwróciła się. Nie widział jej twarzy.

– Nie jestem głupia.

– Ale jesteś bezczelna.

– W końcu to nie ja pędzę samochodem wprost na małe dziewczynki i przerażam je na śmierć!

– Nie wyglądasz na śmiertelnie przerażoną.

– Pani Sammy jest miła. Jak ona mogła wyjść za pana za męża? Skręcił w aleję prowadzącą do domu. Przyspieszył kroku. Corey została w tyle.

– Mógłbym stąd przepłoszyć każdego, kto się zjawia nieproszony.

Nie słyszał odpowiedzi. Zagłuszyło ją oszalale szczekanie owczarka collie, który wypadł z domu. Joe poznał psa. Laddie należała do Turnera Insleya. Suka była łagodna, tyle że kochała biegać, a wypuszczona, w pierwszym odruchu pędziła przed siebie, ujadając z radości. Corey jednak o tym nie wiedziała, bo niby skąd? Gdy Laddie rzuciła się w jej kierunku, dziewczynka zaczęła krzyczeć /e strachu.

Joe błyskawicznie ku niej skoczył, odepchnął psa i chwycił ją na ręce.

Pachniała tak jak wyglądała – okropnie. Była lekka jak piórko.

Odpędził Laddie. Postawił dziewczynkę z powrotem na ziemi i popatrzył na nią.

– Oto jedna z przyczyn, dla których nie powinnaś sama oddalać się od domu – powiedział.

– Nie jestem sama. Jestem z panem.

– Oddaję ją w twoje ręce – oznajmił, gdy podeszła do nich Samantha.

– Co tu się dzieje?

– Twoja mała przyjaciółka ci wyjaśni. – Spojrzał na dziewczynkę. – Pamiętaj, co powiedziałem. Nie chcę cię tu więcej widzieć.

– A po co mam przychodzić, jak pan tu jest – nie omieszkała odpowiedzieć, ponieważ odpędzony pies już jej nie zagrażał.

Stała wyprężona jak żołnierz. Joe nigdy nie widział tak brudnego dziecka. Brudnego, nieładnego i wychudzonego. A jednak patrzyła na niego z wyrazem inteligencji w oczach. Inteligencji, a także tęsknoty. Mimo swej arogancji tęskniła za czymś, co nie było w jej zasięgu. Joe nie mógłby jej tego dać. On nie mógł dać nikomu niczego.

Odwrócił się. Był pewien, że ten wzrok będzie go prześladować.

Nikt lepiej niż on nie wiedział, co to znaczy pragnąć czegoś, czego nigdy, ale to nigdy, nie będzie się mieć.

ROZDZIAŁ 7

Przez trzy tygodnie samochód dyrektora szkoły średniej stanowił ulubiony temat rozmów w warsztacie w Foxcove. Chodziło o to, co zrobić, by przywrócić mu dawny wygląd. Zdania były podzielone. Gdyby samochód wyprodukowano w Japonii albo w Niemczech, a nie w Detroit, nikt by sobie nim głowy nie zawracał. Ale dobry amerykański ford miał przed sobą jeszcze ładne parę lat życia. Z warsztatu wyszedł jak nowy. Tym razem Joe jechał w dół Old Scoggins powoli i ostrożnie.

Sosny przed domem szumiały cicho. Zaparkował obok wozu Samantha. Przez większość dnia był zajęty. Choć trwały jeszcze wakacje, pracował znowu w pełnym wymiarze godzin, przygotowując się do nowego roku szkolnego. Nie miał pojęcia, jak żona spędza czas. Dom aż lśnił, wieczorem zawsze czekał na niego gorący posiłek z warzywami, które własnoręcznie sadziła i pielęgnowała. Wątpił jednak, czy zajmowanie się domem i ogrodem absorbowało ją do tego stopnia, by zapomniała o wszystkim innym.

Otworzył drzwi, spodziewając się i tym razem smakowitych zapachów. Tymczasem dom był pusty, a wokół rozchodziła się tylko słodka woń świeżo ściętych róż. Zawołał Samentę, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Pomyślał, że skoro samochód stoi przed domem i ona musi być gdzieś w pobliżu. Zawołał jeszcze raz, po czym zaczął jej szukać.

W dziesięć minut później odnalazł ją nad jeziorem. Karmiła kaczki, które były tak oswojone, że musiała je zapędzać z powrotem do wody za każdym razem, gdy wracała do domu. Miała na sobie letnią sukienkę bez ramiączek. W blasku zachodzącego słońca jasne włosy lśniły, a skóra nabrała odcienia kości słoniowej. Głęboko wciągnął powietrze na ten widok. Jego ciało zareagowało natychmiast.

Odwróciła się, uświadamiając sobie, że za nią stoi.

– Och, to ty. Nie wiedziałam, że już jesteś.

– Szukałem cię. – Postarał się, by zabrzmiało to jak najbardziej naturalnie.

– Naprawdę? – Wydawało się, że wątpi w jego słowa.

– Spóźniłem się. Przepraszam.

– Nigdy nie wiem, kiedy wrócisz. Pomyślałam, że zaczekam i przygotuję świeżą kolację.

– Wybierzmy się gdzieś. – Podeszedł bliżej, ale zatrzymał się o krok od niej. – Jest piątek, w Plantation House dają dobrą rybę. Możemy też pojechać wzdłuż wybrzeża i tam poszukać jakiejś restauracji. Od dawna nigdzie razem nie wychodziliśmy.

– Posiedzieć przy drinku i kolacji i pogadać? – Uśmiechnęła się smutno. – Chyba już zapomniałam, jak to się robi.

Przyciągnął ją do siebie i objął, zanim jeszcze zdążył o tym pomyśleć.

– Drań ze mnie – powiedział – Nie jesteś draniem. Stałeś się kimś obcym – odparła łagodnie. – Co się stało z mężczyzną, którego poślubiłam?

Nie wiedział, ale w tej chwili czuł się właśnie tak jak tamten mężczyzna. Pożądanie i skrucha przytłumiły całą jego złość na los i zdradziecką męskość. Skupił się na żonie, a nie na

sobie. Myślał o tym wszystkim, czego jej pozbawił, pochłonięty wyłącznie sobą i swoją zgrzyzotą.

– Kocham cię – wyszeptał. – Nic a nic się nie zmieniło.

– Nie? Udowodnij.

Od dawna się nie kochali, nie pamiętał już, kiedy zdarzyło się to ostatni raz. Nie chodziło o to, że Samantha przestała go pociągać. Za każdym razem jednak, kiedy się do niej zbliżał, przypominał sobie, że, na dobrą sprawę, jest niepełnowartościowym mężczyzną, a w związku z tym ich miłość – jałowa.

Tym razem te złe myśli go opuściły. Samantha pachniała cudownie, jak gorące letnie noce. Równie cudownie wyglądała – była piękną kobietą, jego kobietą. Przeciągnął dłońmi po jej nagich ramionach, dotknął piersi, sięgnął do zamka błyskawicznego.

– Co masz pod sukienką? – spytał.

– Niewiele. – Odrzuciła do tyłu głowę. Miała senne, rozmarzone oczy. Nieważne, jak się między nimi układało. Teraz było dobrze, tak jak kiedyś. Pragnęła go tak bardzo jak on jej.

– A więc będziesz miała to. – Rozsunął zamek. Drugą ręką dotknął jej włosów. Były miękkie i jedwabiste. Odrzucił je do tyłu i pochylił się nad jej szyją. Zadrżała pod dotykiem jego ust. Gdy opadła z niej suknia, zadrżała po raz drugi.

– Tylko nie mów, że ci zimno.

– Nie powiem. – Objęła go za szyję. – Ale powiem ci wszystko, co chciałbyś usłyszeć.

– Że mnie potrzebujesz?

– Rozpaczliwie.

– I pragniesz?

– Bardziej niż kiedykolwiek.

– I będziesz to robić ze mną tutaj, pod gołym niebem?

– Będę.

Dotknął jej piersi tak delikatnie, jakby musnął je wieczorny powiew wiatru. Westchnęła, pochylił się na jej rozchylonymi wargami. Pocałowali się namiętnie i zachłannie – tak dawno tego nie robili! Oddychał ciężko, gdy oderwał usta od jej ust, a ona uśmiechnęła się tajemniczo i zachęcająco.

Rozbierała go. Nie mógł stać spokojnie. Pieścił jej piersi, zanurzał twarz w jej włosy. Myślał tylko o niej, o tym, jak będą się kochać, a ona będzie krzyczeć ze szczęścia. O tym, jak wypełni ją całkowicie i oboje doznają rozkoszy. Uczynił to, gdy byli już nadzy i leżeli na łóżku z koniczyny i sosnowych igieł, zapominając o tym, że daje jej tylko namiętność.

Później, kiedy wyczerpani tulili się do siebie, ta natrętna myśl wróciła.

Przygarnął ją do siebie, ponieważ tego oczekiwała, a on nie chciał jej po raz kolejny zranić.

– Dobrze ci? – spytała, dotykając jego twarzy.

– Pewnie. – Przymknął oczy. – Było cudownie. Odwróciła się na bok, by widzieć jego twarz.

– Jesteś wspaniałym kochankiem. Będziesz wspaniała, nawet mając osiemdziesiąt lat. Nic tego nie zmieni.

Uśmiechnął się, bo tego też oczekiwała.

– Zawsze cię pragnąłem.

– Pragnąłeś?

– Pragnę. – Musnął jej włosy, choć niczego bardziej nie chciał, niż zostać teraz sam.

– Czy mam wziąć prysznic i przebrać się do kolacji? – spytała.

– Sukienka zniszczona?

– Wątpię. Wyładowała w trawie. Chcesz, żebym ją włożyła?

– Jeśli się nadaje do włożenia.

– A więc dobrze. – Wstała. Wyglądała niczym nimfa prężąca się z gracją na tle ciemniejącego nieba. Obserwował ją, gdy zbierała rzeczy, po czym wolno odchodziła w kierunku domu.

Leżał z rękami pod głową, świadom, że powinien być w pełni szczęśliwy. Powinien, a nie był. Gdzieś w oddali słychać było samotny gwizd przejeżdżającego pociągu.

Samantha ubrała się i suszyła włosy. Była głodna, ale nie chciała pospieszać Joe ani też sobie skracać tego beztroskiego, niespodziewanie darowanego czasu. Na krótko, miała tego świadomość, odzyskała czułego, namiętnego mężczyznę, którego poślubiła. Znowu stał się tym Joe, dla którego straciła głowę i porzuciła wygodne życie. Może to oznacza nowy początek ich małżeństwa? Oby. Jeżeli tylko Joe okaże odrobinę dobrej woli i chęci, ona jest gotowa dać mu szansę i sama dołożyć starań, aby ich związek obojgu przynosił satysfakcję i radość. Joe musi uwierzyć, że jest najważniejszą osobą w jej życiu i że fakt, iż nie może mieć dzieci, nie wpływa na jej uczucie dla niego.

Włosy miała już prawie suche, gdy stanął w drzwiach sypialni.

– Pospiesz się, idź pod prysznic – powiedziała. – Zaraz będę gotowa.

– Mogę poczekać.

– Nie, jestem głodna.

Obserwowała go w lustrze, gdy ściągał ubranie. W ciągu paru lat ich małżeństwa nic a nic nie przytył, mimo że karmiła go tak dobrze jak jego matka. Będzie wybitnie przystojnym starszym panem, ze srebrzystymi włosami i oliwkową cerą, mężczyzną, za którym jeszcze niejedna kobieta się obejrzy.

Nakładając delikatny makijaż, słuchała szumu leżącej wody. Kiedyś Joe śpiewał pod prysznicem fragmenty arii z „Czarodziejskiego fletu” Mozarta i przeboje Micka Jaggera. Miał świetny głos. Chętnie znowu by go posłuchała.

Była już prawie gotowa, gdy wyszedł z łazienki. Kątem oka patrzyła, jak się ubiera. Miał zwyczaj sięgać po pierwszą z brzegu koszulę, dbała więc o to, by zawsze wisiały w szafie wyprasowane.

Właśnie wkładała kolczyki, gdy zadzwonił telefon.

– Odbiorę – powiedziała.

– Odbierz na dole. Zauważyłem wczoraj, że to gniazdko się obluźowało, możesz więc mieć problemy.

Samantha zeszła do kuchni i podniosła słuchawkę. Usłyszała nieznamy głos.

– Pani Giovanelli?

– Tak, to ja.

Zapadła cisza, po czym słychać było tylko jakieś szумы i trzaski. Samantha nie odłożyła słuchawki, ponieważ doszła do wniosku, że połączenie nie zostało przerwane. W pewnym momencie dobiegły do jej uszu dwa słowa, które, jak się domyśliła, kończyły zdanie.

– ... pani siostrzenica.

– Przepraszam, czy może pani powtórzyć?

– Zdarzył się wypadek. Pani siostrzenica jest ranna.

Joe miał kilka siostrzenic. Kochała je wszystkie. Strach ścisnął Samanthę za gardło. Bała się poprosić o ściślejsze informacje.

– Dzwonię z Karoliny Południowej – poinformował kobiecie głos.

– Z Karoliny Południowej? – Samantha kurczowo ścisnęła słuchawkę. – Źle panią słyszę. Powiedziała pani, Karolina Południowa?

– Tak. Spartanburg.

Nikt z rodziny nie wyjechał na wakacje poza Karolinę Północną, tego była pewna. W rodzinie Giovanellich wszyscy wszystko o sobie wiedzieli. Rosę powiedziała im, gdyby ktoś wybierał się gdzieś dalej. Ale może któreś z rodzeństwa Joe w ostatniej chwili wysłało córkę na obóz czy kolonie? Może na wszelki wypadek podali ich numer telefonu.

– Czy jest poważnie ranna? – spytała. – 1, przepraszam, jak się nazywa ta siostrzenica?

Na linii znów były zakłócenia i nie usłyszała odpowiedzi.

– Ale wszystko będzie dobrze – zapewniono ją. – Ma trochę zadrapań, zwichniętą kostkę i złamaną rękę. Wypadła z samochodu w czasie wypadku.

– O mój Boże!

– Nie, proszę się nie martwić. Została opatrzona i jest pod dobrą opieką. – Nastąpiła chwila przerwy. – Obawiam się, że jej matka nie miała tyle szczęścia. Przykro mi, że to ja muszę pani przekazać tę wiadomość, ale zginęła na miejscu... – Kobieta po drugiej stronie linii telefonicznej taktownie zamilkła, zdając sobie sprawę z tego, że dla osoby, której zakomunikowała tę tragiczną wiadomość, musiał to być szok.

Samantha była załamana. Nikt tak jak Joe nie kochał swojej rodziny, siostry i bracia byli jego najbliższymi przyjaciółmi. To będzie dla Joe prawdziwy dramat. Nie wiedziała, jak on to przeżyje. W pewnym momencie dotarło do niej, że kobieta, z którą rozmawia, powiedziała:

– ... pani Haskins.

– Chwileczkę, czy to pani Haskins zginęła?

– Tak.

W chwilę później usłyszała na schodach kroki męża.

– Oto jestem. Co o tym myślisz? – Miał na sobie ciemne spodnie i szarą jedwabną marynarkę.

– Joe... – zaczęła. Zmartwił.

– Co się stało?

– Corey miała wypadek. W Karolinie Południowej.

– W Karolinie Południowej?

– Tak. Samochodowy. Zauważyła, że się zaniepokoił.

- Jest potłuczona, ale wyjdzie z tego – dodała.
- Biedne dziecko. – Wydawał się szczerze zmartwiony.
- Jej matka zginęła na miejscu.
- Nikt nie po winien tak ginąć...
- Nawet Vema Haskins – dokończyła.
- Nawet Verna. – Dotknął jej policzka. Przytrzymała jego dłoń. – Przykro mi, kochanie.

Wiem, jak ci zależy na Corey.

- To musi być dla niej straszne.
- Cóż, nawet najgorsza matka jest jednak matką. – Popatrzył na nią. – Chcesz mimo to wyjść?

- Chyba tak, ale gdzieś niedaleko.
- Do Plantation House?
- Świetnie. Wezmę tylko żakiet.

W drodze do miasta Joe opowiedział żonie o tym, jak mu minął dzień. Jeszcze wczoraj marzyła o tym, by dane jej było właśnie tak spędzać czas z mężem – kochać się, rozmawiać, wybrać się razem do miasta. Teraz słuchała go jednym uchem, przejęta wypadkiem i sytuacją, w jakiej nagle znalazła się Corey, której i tak do tej pory życie nie rozpieszczało. Zaparkowali na ulicy prowadzącej do centrum handlowego Foxcove. Dalej przeszli pieszo.

Właściciel Plantation House, z zawodu architekt, przejął się swoją rolą i przyozdobił skromny dwukondygnacyjny budynek kolumnami korynckimi, co wyglądało dość pretensjonalnie. Jedzenie zawsze podawano dobre, zgodnie z regułami tradycyjnej południowej kuchni bogatej w kalorie. Usiedli przy jednym ze środkowych stolików i zamówili smażoną rybę.

– Nie lubią, jak przychodzisz w piątek – zażartowała Samantha. Nic im nie zostaje dla innych gości.

- Ale za to zyskują na tobie.
- A zatem bilans się wyrównuje.

Gawędzili jak za dawnych lat, od czasu do czasu pozdrawiając znajomych. Wreszcie podano sałatę i pierwsze danie rybne.

– Nie oglądaj się, ale jest tutaj Bobby Ferguson – powiedział w pewnym momencie Joe. – Pamiętasz? Wspominałem ci o nim.

Dopóki w ich małżeństwie nie zaczęło się źle dziać, Joe, przejęty swoimi obowiązkami, opowiadał żonie o wszystkich swoich uczniach, radząc się za każdym razem, jak powinien z nimi postępować. Był najmłodszym dyrektorem w historii Sadler County, wybranym na to stanowisko zaledwie po dwóch latach pełnienia funkcji zastępcy dyrektora. Ale to nie wiek sprawiał, że cieszył się wśród uczniów taką popularnością. Joe umiał nawiązać kontakt z młodzieżą, nazbyt się z nią nie spoufalając ani jej nie pochlebiając.

- Zamierzałeś go wziąć do domu. – Samantha podniosła wzrok znad talerza.
- Tylko na tydzień lub dwa.
- Nie mogę sobie przypomnieć dlaczego.
- Miał problemy alkoholowe. Chciałem, żeby się z tego o trzasnął.

– I dlaczego go nie wzięłaś?

– Jego rodzice w końcu przyznali, że chłopak potrzebuje pomocy. Wysłali go na leczenie. W tym roku zacznie trzeci rok w college[^] Przygotowuje się do studiów medycznych.

– Masz dobrą rękę do takich chłopców – zauważyła.

– Cóż, czasem mi się udaje.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby Bobby zamieszkał u nas. Lubię pomagać dzieciom.

– I dlatego jesteś taką dobrą nauczycielką.

– Nie zapominaj, że jestem życzliwa i pełna miłości. Podniósł wzrok, z lekka zaskoczony tym oświadczeniem.

– I wykształcona. – Odłożyła widelec. – Nie zapominajmy, że oboje jesteśmy wykształceni. I że troszczymy się o dzieci. Interesujemy nimi.

Joe również odłożył widelec.

– Nie rozmawiamy już o Bobbym, prawda? – spytał.

– Nie.

– Co ty zrobiłaś, Samantha?

– Powiedziałam pracownicy opieki społecznej w Spartanburgu, że w środę rano przyjedziemy po Corey i że zabierzemy ją do siebie – odparła, prosząc męża wzrokiem o zgodę i wybaczenie.

– Nie mogę w to uwierzyć! – Joe rzucił marynarkę na stół w holu i poszedł do kuchni.

– A więc nie dość dobrze mnie znasz – odparła Samantha, idąc tuż za mężem. Nie chciała kontynuować kłótni, która wybuchła w drodze do domu. W Plantation House wyjaśniała mu spokojnie swoje racje, mając pewność, że nawet Joe, ze swoim porywczym temperamentem, nie zacznie awantury w obecności licznych restauracyjnych gości.

– Och, znam cię – odparł. – Ale być może nie znam kobiety, która podejmuje tak poważne decyzje, nie konsultując ich z mężem.

– A jak byś zareagował, gdybym cię zapytała?

– Nie zgodziłbym się!

– Wiedziałam.

Joe trzasnął drzwiczkami lodówki, po czym cisnął na stół pojemnik z mrożoną herbatą, który, na szczęście, był z plastyku.

– Wiem, że ci żal Corey – powiedział, zbyt głośno zamykając szafki kuchenne, zanim znalazł szklanki. – Doskonale to rozumiem. Ale współczuć jej, a wziąć ją do nas to zupełnie inna sprawa.

– Zamilcz i posłuchaj. Powtórzę ci raz jeszcze. – Samantha starała się nie stracić opanowania. – Corey powiedziała im, że jestem jej ciotką. Dlatego do mnie zadzwonili.

– Zatem na dodatek kłamie.

– Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz, czy tylko nie chcesz zrozumieć? Jestem jedyną osobą na świecie, o której pewna mała dziewczynka może myśleć, że zechce ją wziąć do siebie. Nie ma nikogo oprócz mnie. Dowiedziałam się, że Verna zabrała córkę do Spartanburga, żeby szukać jej ojca. Chciała zostawić ją u niego, chociaż Corey nawet go nie

znała. A wiesz dlaczego? Myślę, że miała dość ludzi z opieki. Łatwiej było pozbyć się Corey, niż stać się lepszą matką.

– Skąd to wszystko wiesz? Czy nagle zostałaś jasnowidzem? Zignorowała jego sarkazm.

– Corey im powiedziała. Verna poinformowała córkę, że ma już jej dość i że najwyższy czas, żeby ojciec się nią zajął.

– Mogła kłamać. Skłamała, że jesteś jej ciotką.

– Opowiadałam ci o Vernie. Czy to wygląda na kłamstwo?

– Verny już nie ma na tym świecie. W Karolinie Południowej na pewno są domy dziecka. Wyjaśnij, że nie jesteśmy jej krewnymi i że gdzieś ma ojca, który może jej szuka.

– Niezupełnie. Corey mówiła, że ojciec prawdopodobnie też nie zechce się nią zająć.

– Skąd mogła wiedzieć, skoro nawet go nie zna?

– Matka jej mówiła. Corey całe życie mieszkała w Foxcove. Czy naprawdę uważasz, że powinna czekać w obcym stanie, wśród obcych ludzi, aż znajdą jej ojca? Jeśli w ogóle znajdą?

– Wiesz co? Nie wierzę, że pozwolą ci ją zabrać. Ot. tak sobie. Mają przecież jakieś przepisy.

– A my mamy rekomendacje. Zresztą nie omieszkają nas sprawdzić. Podałam im nazwisko psychologa, który nas zna, matki małego Jeffa Hartleya. Zadzwoń do niej. Do księdza Watkinsa również. Pracownicy tutejszej opieki społecznej wiedzą, jak bardzo zależało mi na Corey. Na pewno nie odmówią mi pomocy, nie naruszając przy tym prawa. Nie będą nam robili trudności, jeśli zechcemy ją zatrzymać.

– Ale nie zechcemy.

– Lepiej się zgódź, i to szybko – powiedziała Samantha, której cierpliwość się wyczerpała. Za późno zorientowała się, że zabrzmiało to jak groźba. Słowa jednak już padły i nie mogła ich cofnąć.

– Co to znaczy? – Joe odstawił szklanę do zlewu.

– To znaczy, że jeśli teraz powiesz nie, być może nigdy ci tego nie wybaczę – brnęła dalej Samantha, gotowa walczyć z mężem o Corey.

Jego ciemne oczy pociemniały jeszcze bardziej, ale nie odezwał się ani słowem.

– Przez ostatnie pół roku przeżyłam piekło, Joe. Obserwowałam, jak zamykasz się w sobie, czułam, jak stopniowo oddalasz się ode mnie, by w końcu niemal mnie odtrącić, z bólem w sercu dostrzegałam, jak z dnia na dzień tracimy ze sobą kontakt, jak urywa się więź, która nas kiedyś tak silnie łączyła. W końcu prawie straciłam nadzieję, że nasze małżeństwo ma jeszcze szansę przetrwania. Nie chciałeś zasięgnąć porady psychologa, nie chcesz słyszeć o sztucznym zapłodnieniu, nie bierzesz pod uwagę możliwości adopcji. Na wszystko masz tylko jedną odpowiedź: „Nie”. Myślisz wyłącznie o sobie.

Samantha zamilkła, żeby zapanować nad gonitwą myśli. Po chwili ciągnęła dalej:

– Tym razem chcę zrobić coś, co pomoże mi ukoić ból. Zamierzam wziąć dziecko, które pokochałam, i pomóc mu przeżyć te straszne chwile. Pragnę zatrzymać tę biedną, wystraszoną dziewczynkę, dopóki stan Karoliny Północnej nie załatwi jej sprawy. Ale nie na chybcika i byle jak, tylko solidnie, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności. Jestem jedynym

ogniwem łączącym Corey z tym, co w niej dobre. Nikt inny nie mógłby pomóc jej lepiej niż ja. Jeśli to zrobię, jeśli pozwolę mi to zrobić, może nie będę tak bardzo przeżywać tego, że nie jest mi dane wychowywanie dziecka od urodzenia.

– Znokautowałaś mnie, Samantha.

– Cieszę się, jeśli to w ogóle możliwe.

– Corey jest inteligentną dziewczynką. Zorientuje się, że jej tu nie chcę. Już zdecydowała, że mnie nie lubi.

– Jesteście podobni do siebie jak dwie krople wody. – Samantha z trudem utrzymywała się na nogach. Oparła się o kredens. – Daj jej szansę, Joe. Nikt nie ma lepszego kontaktu z dziećmi niż ty. Nie musisz jej kochać. Musisz ją tylko tolerować przez jakiś czas.

– Nie lubię, jak mi ktoś stawia warunki.

– Ja też nie. Do tej pory ty dyktowałeś warunki. Myślę, że teraz moja kolej.

Widziała, że zamierzał zaprzeczyć, ale nie zrobił tego.

– Mam tylko jedno zastrzeżenie – powiedział wreszcie.

– Jakie?

– Niech ci nawet przez myśl nie przejdzie, żeby ją zatrzymać na stałe.

Twarz Samantha pozostała niewzruszona.

– Ma ojca – powiedziała.

– Który być może nawet palcem nie kiwnie. Obiecuj mi, że jeśli nie zechce zająć się Corey albo z jakiegoś powodu władze nie powierzą mu opieki nad nią, nie będziesz się starać o adopcję.

– Obiecuję. Zostanie u nas tylko przez jakiś czas.

– Bardzo krótki. Nie byłoby w porządku wobec Corey, gdybyśmy jej robili fałszywe nadzieje.

– Nie chcę, żeby ta sprawa nas rozdzieliła. – Podeszła do niego. Powoli, z lękiem. – Tego wieczoru zaczęliśmy od nowa.

– Zaczęliśmy?

– Kochaliśmy się. I to było coś nowego. Nie wziął jej w ramiona.

– Zapewne.

Zatrzymała się też przed nim.

– Kocham cię.

– Kochasz mnie, bo robię to, co chcesz.

– Kocham cię, bo choć wciąż tkwisz we własnym bólu, chcesz pomóc mi uporać się z moim.

Podszedł ku niej i zamknął ją w ramionach. Stali tak przez dłuższą chwilę, a kiedy weszli do sypialni i położyli się, żadne z nich nie było w stanie powiedzieć ani słowa więcej.

ROZDZIAŁ 8

Szpital, do którego przewieziono Corey, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Mieścił się w nieefektywnym, nie rzucającym się w oczy budynku. W recepcji bezustannie dzwonił telefon, na korytarzach kręcił się personel, udzielający możliwie jak najmniej informacji, a w holu na ławkach i w fotelach czekali krewni i przyjaciele chorych.

Samantha i Joe mieli spotkać się z pracownicą opieki społecznej. Po piętnastu minutach oczekiwania Samantha postanowiła przynieść kawę z automatu. Gdy wróciła, zastała Joe rozmawiającego z jakąś młodą kobietą. W pierwszej chwili ogarnął ją niepokój, że się rozmyślił i właśnie wyjaśnia swoje stanowisko pracownicy opieki. Nagle uświadomiła sobie, jak mało ma zaufania do własnego męża. Przecież Joe nigdy nie wycofywał się z raz podjętej decyzji.

Podawała mu papierowy kubek i wyciągnęła rękę do kobiety.

– Domyślam się, że panna Davis? Kobieta wstała i uściśnęła jej dłoń.

– Pani Samantha, prawda? Właśnie opowiadałam pani mężowi że Corey to, mówiąc delikatnie, dość trudne dziecko. Nie będzie wam z nią łatwo.

– Corey zawsze taka była. – Samantha omijała wzrokiem męża. – Jesteśmy na to przygotowani. Wie już, że ją zabieramy?

– Powiedziałam jej to wczoraj wieczorem. Przepraszam, że tak późno, ale musiałam się upewnić, że wszystkie formalności zostały załatwione. Chciałam oszczędzić jej rozczarowań.

– Jak przyjęła tę wiadomość? Panna Davis zawahała się.

– Podejrzewam, że mi nie uwierzyła. Myślała, że tylko tak mówię, żeby się lepiej zachowywała.

– Do tej pory nie było jej lekko. Ma powody, żeby nie wierzyć we wszystko, co mówią dorośli.

– Ale wydaje się, że panu wierzy. – Panna Davis zwróciła się do Joe. – Swoją drogą zastanawia mnie to. Często miał pan z nią kontakt?

– Dostatecznie często, by mieć świadomość, co nas czeka.

– Ona, hm, ona powiedziała, że pan niezbyt ją lubi.

– Nie jest typem dziecka, które lubi się od pierwszej chwili. Panna Davis wydawała się usatysfakcjonowana. Samantha podziwiała takt Joe. Była mu coś winna.

– Widzi pani – zwróciła się do pracownicy opieki zdajemy sobie sprawę, jakie miała życie. Ale ona reaguje na miłość. Jest bardzo inteligentna i chce być grzeczna. Tylko że nie zawsze jej się to udaje.

– Cóż, mogę tylko państwu wyrazić uznanie, że chcecie wziąć ją pod swój dach. Myślę, że mielibyśmy duże problemy ze znalezieniem dla niej rodziny zastępczej. Bardzo niewiele małżeństw chce się zająć dzieckiem, które sprawia kłopoty. I nawet mimo najlepszych chęci nie zawsze potrafią.

Samantha nie miała odwagi spojrzeć na Joe. Po raz pierwszy 'garnęły ją wątpliwości. Czy podjęła słuszną decyzję? Przecież ich małżeństwo się chwiało. Czy Corey nie przyczyni się

do jego ostatecznego rozpadu?

– Możemy ją zobaczyć? – spytała?

– Za chwilę. Lekarz już ją zbadał. Zaraz będzie gotowa.

Gdy weszli do pokoju znajdującego się na końcu korytarza, ujrzeli niecodzienny widok – dwie pielęgniarki siłowały się z Corey. Okazało się, że próbowały ją uczesać, a ona na to nie pozwalała.

– Corey! – Samantha rzuciła się do dziewczynki. – Co ty, na Boga, wyprawiasz?

Corey spojrzała na nią i wybuchnęła płaczem. Samantha usiadła na brzegu łóżka i pogłaskała po głowie.

– Już dobrze, pojedziesz do domu ze mną i z panem Joe.

– Moja mama nie żyje, pani Sammy. Nie mam już nikogo. Samantha, tuląc Corey w ramionach, nie widziała wyrazu jej twarzy, ale Joe widział. Malowało się na niej autentyczne cierpienie i nieklamane przerażenie.

Samantha położyła ręce na ramionach dziewczynki i popatrzyła jej w oczy.

– Zrozum, Corey. Wrócisz ze mną i z panem Joe do domu. Zostaniesz u nas, dopóki panna Davis nie odnajdzie twego ojca albo kogoś z twojej rodziny.

– Nikogo nie mam. Podobno tata tutaj mieszka, ale mama nie mogła go znaleźć.

– Cóż, panna Davis wie, jak go odszukać. Zrobi wszystko, co będzie mogła.

– Będę u was spać?

– Oczywiście.

– On też będzie? – Wskazała głową na Joe.

– Nie wyprowadzę się na tę okazję – odparł sucho Joe.

– Przygotowaliśmy już dla ciebie pokój – wyjaśniła Samantha.

– Będę musiała chodzić do szkoły ?

– Nie wiem, jak długo u nas będziesz. Jeśli w tym czasie rozpocznie się rok szkolny, to będziesz chodzić do szkoły tak jak wszystkie dzieci. – Wstała. – Przede wszystkim pozwól, że cię uczeszę, bo inaczej stąd nie wyjdiesz.

– Mam ranę na głowie. To boli!

– Będę uważać. – Samantha wyciągnęła rękę do pielęgniarki, która z ulgą oddała jej grzebień.

Joe obserwował, jak jego żona delikatnie rozczesuje splecione włosy dziewczynki, która siedziała bez ruchu. Nagle usłyszał obok cichy głos panny Davis.

– Przepraszam, co pani mówiła? – spytał. W jej oczach zobaczył współczucie.

– Nie chciałabym być tą, która je rozdzieli – powiedziała łagodnie. – Jeśli znajdę ojca Corey, pan powie o tym żonie.

Corey trochę kulała – miała zwichniętą kostkę, na którą założono opatrunek – ale nie przeszkadzało jej to w dokładnym poznawaniu całego domu.

– Co to jest? – spytała Joe, rozglądając się po gabinecie. Stał w drzwiach, czekając, kiedy coś zniszczy.

– Encyklopedia.

– Do czego?

- Można się z niej dowiedzieć różnych rzeczy.
- Wszystkiego, co chcesz?
- Prawie.
- A to? – Wskazała na ścianę za biurkiem.
- Mandolina.
- Co to jest mandolina?
- To instrument muzyczny, trochę podobny do gitary. Wiesz, jak wygląda gitara?
- Nie jestem głupia.
- Już mi to mówiłaś. – Wszedł do gabinetu, żeby mieć ją na oku.
- Dlaczego wisi tak wysoko?
- Nie gram zbyt dobrze, ale lubię na nią patrzeć. Należała do mego dziadka.
- E, to stary gruchot.
- Jak mój dziadek.

Ku jego zdziwieniu zachichotała.

- To nie bardzo miłe, co pan mówi.

– Gdyby mój dziadek żył, sam by to powiedział. Miał dziewięćdziesiąt lat, kiedy umarł, i naprawdę umiał grać.

- Niech pan coś zagra.
- Mówiłem ci już, że nie gram zbyt dobrze.
- No to ja zagram.
- Nie.

Podszedł do ściany i zdjął mandolinę. Oparł się o biurko i potracił parę strun.

- Tylko tyle pan potrafi?
- Obawiam się, że tak.
- Nie jest pan za dobry. Joe odłożył mandolinę.

– Myślę, że zobaczyłaś już wszystko. Od tej chwili nie wolno ci wchodzić do tego pokoju. Nie ma tu nic do zabawy. Nie chcę, żeby ktoś porozrzucił moje papiery. Zrozumiałaś?

- Jakie papiery? – Zesztywniała.

– Nudne. Pani Samantha dała ci papier do rysowania. Jeśli będziesz chciała, dostaniesz więcej. Nie potrzebujesz niczego stąd brać.

- Mój pokój jest strasznie duży. – Rozejrzała się niepewnie.

Samantha całą sobotę i niedzielę sprzątała pokój na górze, przygotowując go dla Corey. Kiedyś chcieli tu urządzić pokój dziecienny, ale te czasy minęły bezpowrotnie. Samantha wykonywała tam różne prace domowe i sprawdzała zeszyty uczniów, ale chętnie oddała go Corey. Kupiła zasłony i pościel w kotki, a także zabawki za całe sto dolarów. Następnego dnia chciała zabrać Corey do miasta. Dziewczynka nie miała nic do ubrania. Szpital dał jej tylko ubranie na przejazd do domu, i to o parę rozmiarów za duże.

Joe poczuł cię sympatii do dziewczynki. Zastariawiał się w jakich warunkach mieszkała dotychczas.

- Twój pokój nie jest wcale taki duży. A w nocy możesz zostawić drzwi otwarte.

– Nie potrzebuje. Nie boję się.

– To dobrze. – Delikatnie wypchnął ją z gabinetu i skierował do kuchni. Samantha właśnie nakrywała do stołu.

– Mam nadzieję, że lubisz kurczaki? – uśmiechnęła się lekko do Corey.

– Czy moglibyśmy jutro wykopać Pana Czerwonego i zobaczyć, co z niego zostało?

– Och! – Samantha rzuciła kurczaka na stół.

– No i co, moglibyśmy? – powtórzył bezlitośnie Joe.

– Nie rozmawiajmy o ptakach, dopóki nie zjemy – roześmiała się Samantha.

– Chcę nogę. – Corey sięgnęła lewą ręką przez stół. Prawą nosiła na temblaku.

– Sam ci nałożę. – Joe odsunął od niej półmisek. – Poprosisz, a ja ci podam.

– Sama sobie wezmę!

– Nie, nie weźmiesz, bo ja ci nie pozwolę – zignorował nieme błaganie Samantha. – Tutaj tak się przy stole nie zachowujemy.

– Chcę nogę. – Cofnęła rękę, ale nie była zachwycona.

– Czy mogę prosić nóżkę? – podpowiedział Joe.

Zmrużyła oczy i nie odezwała się. Joe zwrócił się do Samantha.

– Na co miałabyś ochotę?

– Czy mógłbyś mi podać sałatę?

– Proszę bardzo. To sama przyjemność dla mnie obsłużyć tak piękną i dobrze wychowaną kobietę. A czy ja mógłbym prosić ziemniaki? Corey, masz też ochotę?

Machnęła ręką.

– Tym więcej zostanie dla mnie – ucieszył się. – To dobrze, bo uwielbiam piure w wykonaniu Samantha.

– Ja też chcę – powiedziała Corey. – Teraz!

– Czy mogłabym też prosić? – skorygował.

– Już masz! Całą cholerną miskę!

Samantha chrząknęła. Joe nawet nie spojrzał w jej kierunku.

– Jeśli będziesz się tak zachowywać, Corey, będziesz jeść sama. Musisz nauczyć się innego zachowania.

– Jestem głodna! Prawie nic dzisiaj nie jadłam.

Nie zrobiło to na nim wrażenia. Widział, ile pochłonęła w barze szybkiej obsługi, w którym zatrzymali się po południu w drodze do domu. Odchylił się do tyłu.

– Czy mogę prosić nóżkę? – powtórzył.

– Pani Sammy, on mi dokucza.

– Joe...

Odwrócił się ku niej, robiąc ostrzegawczą minę.

– Dziękuję, że próbujesz uczyć Corey dobrych manier – dokończyła.

– Ależ nie ma za co. – Zwrócił się z powrotem do dziewczynki: – Kurczak stygnie, dziecko.

Spojrzała na niego z nie skrywaną wrogością, po czym powiedziała:

– Czy mogę prosić kawałek kurczaka i trochę ziemniaków, i to wszystko, o co jeszcze

mogłabyś poprosić?

– Ależ oczywiście. – Pomórz jej napełnić talerz, po czym sam zabrał się do jedzenia. Kolacja upłynęła im w całkowitym milczeniu.

Otworzyła oczy. Jeszcze nigdy nie spała w tak miękkim łóżku. Gdy pani Sammy kładła ją spać, starała się jak najdłużej mieć oczy otwarte, ponieważ chciała, aby pani Sammy z nią została. Zasnęła nie wiedząc kiedy, a teraz się obudziła i stwierdziła, że w pokoju zalega mrok mimo, że pali się mała lampka.

Na ścianach i suficie kładły się długie cienie, niczym kościste palce wycelowane w jej kierunku. Coś się poruszyło. Mimo poprzednich buńczucznych zapewnień ogarnął ją strach. Pani Sammy dała jej pluszowego misia, żeby mogła się do niego przytulić. Był brązowy, taki jak niedźwiedzie grizzly. W zeszłym roku dostała od pani Sammy książkę o niedźwiedziu grizzly, na zawsze. Pani powiedziała, że daje go, bo Corey już tak dobrze czyta. Mama gdzieś położyła książkę i już się nie znalazła. Ale teraz mamy nie ma. Nie zabierze jej misia, tak jak zabrała książkę.

Mocno przytuliła zabawkę. Dużo myślała o śmierci mamy. Mama była taka cicha, gdy wyciągali ją z samochodu. Ale jej twarz nie była smutna, malowało się na niej raczej zaskoczenie.

Mama szybko jechała. Corey to dobrze pamięta. Auto wyleciało z szosy, drzwi od jej strony otworzyły się i wypadła, zanim samochód się rozbił. Jeden z policjantów powiedział, że też by zginęła, gdyby nie wylądowała na bagnistym gruncie. Słyszała, jak to mówił, i ktoś wtedy powiedział mu, żeby przestał, bo dziewczynka słucha.

Było jej żal, że mama zginęła, ale nie odczuwała jej braku. To pewnie oznacza, że jest złą dziewczynką. Nie czuła się opuszczona, bo mamy i tak prawie nigdy nie było w domu, a ostatnio chciała jej się pozbyć, ponieważ stwierdziła, że z powodu Corey ma same kłopoty.

Starała się nie myśleć o tym, co mama powiedziała tamtego wieczoru – że jej ojciec prawdopodobnie też jej nie zechce. Może arna się myliła. Pan Joe jej nie lubił. Strasznie na nią patrzył, tak jak dzisiaj przy kolacji. Ale pani Sammy cieszyła się, że ona tutaj jest.

Cienie wciąż tu były. Przymknęła powieki. Łóżko jest takie miękkie, takie miękkie jak nic na świecie...

– Zasnęła.

– Ja też. – Joe przewrócił się na wznak i popatrzył na księżyc zaglądający w okna. Było już dobrze po północy.

– Nieprawda. Nigdy nie mówisz przez sen.

Poczuł, że łóżko się ugięło. Wkoło unosił się prowokacyjny zapach kobiety, który niezmiennie działał na niego podniecająco. Poczuł dotyk długiej smukłej nogi i miękkich piersi. Objął Samanthę i przytulił do siebie.

– Piękna noc – powiedziała. – Powietrze jest takie czyste i łagodne, a kwiaty pachną końcem lata. Nawet tutaj czuję zapach róż.

– Nic dziwnego, że wiesz o tej nocy wszystko. Właściwie w ogóle się nie kładłaś.

– Masz rację, ale Corey się bała. Nigdy nie miała pokoju tylko dla siebie. Mówiła, że zawsze spała w dużym pokoju na kanapie przed telewizorem.

– Podczas gdy jej mama zabawiała się w sypialni.

– Co?

– Tak mówią.

– Nigdy o tym nie słyszałam.

– Jeśli to prawda, jest wielce prawdopodobne, że ojciec Corey wcale nie byłby zachwycony, widząc ją na progu swego domu.

– Zobaczmy. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Czy już się przekonałeś, że to nie jest zwyczajne dziecko?

– Czyżby? Pod jakim względem?

– Musiałeś zauważyć, jaka jest bystra, zabawna i...

– I przymilna.

– W czasie roku szkolnego widzę wokół siebie każdego dnia trzystu nastolatków. Trzysta dzieci ze złymi nawykami, problemami z nauką i nienawistnym uśmiechem na twarzy. Zamieniłbym ją na każde z nich.

– Joe!

– Cóż, może na żadną z dziewcząt Symondów. Jedna podrywa każdego nauczyciela, a druga co sobotę jeździ do Raleigh po narkotyki.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że Corey jest nic niewarta?

– Nie zamieniłbym jej chyba też na większość z naszej drużyny sportowej. Któregoś dnia zaczają się w holu i założą mi jeden z tych swoich chwytów. Ot, co.

– Wiesz, co mi powiedziała?

– Domyślałam się. Że byłam dziś dla niej okropny.

– Powiedziała, że boi się na ciebie patrzeć, bo jesteś taki duży.

– A więc mam nadzieję, że dopóki tu będzie, nie zmaleję. Trochę strachu nie zaszkodzi.

– Czy ty naprawdę chcesz, żeby się ciebie bała?

– Chcę, żeby wiedziała, że jedno z nas nie pozwoli sobie wejść na głowę. Poczuł, że zeszywniała. Przytulił ją, aż się uspokoiła.

– No dobrze – stwierdziła po chwili. – Zasłużyłam na to.

– Ona potrafi manipulować ludźmi. Wejdzie między nas, jeśli jej na to pozwolimy.

– Jest tylko małym biednym dzieckiem, które nigdy nie zaznało miłości.

– I wie o tym. – Poglądził ją po ramieniu. – Wykorzystuje to, co ma, by znaleźć sobie miejsce w świecie. Gdyby tego nie robiła, laby jeszcze bardziej nieszczęśliwa.

– Wreszcie powiedziałaś o niej coś miłego.

– O, nie.

– Słyszałam!

Poczuł na swoich wargach jej włosy. Dotknął ustami policzka.

– Nie można o niej powiedzieć nic miłego.

– Joe, kocham cię za to.

– Za co? Że trzymam cię w ramionach?

– Za to, że jesteś mężczyzną, którego poślubiłam.

Tamten mężczyzna żył gdzie indziej, gdzieś w świecie fantazji zamieszkanym przez

szczęśliwe małżeństwo z gromadką dzieci z pewnym siebie uśmiechem Giovanellich. Nie odpowiedział, ale zdawała się tego nie zauważać.

– Potrzebuję teraz twojej miłości i cierpliwości. – Pocałowała go w szyję. – Jeśli nie będę jej miała, nie będę mogła ofiarować miłości ani cierpliwości temu dziecku. Wiesz, że to test na prawdziwą męskość?

Wiedział o tym.

– Zastanawiam się, dlaczego ojcowie nie uczą tego synów. Ten świat pełen jest mężczyzn, którzy uważają, że jedynym sprawdzianem ich mękości jest zapłodnienie kobiety.

Tyle razy w ciągu roku krążyła wokół tematu bezpłodności Joe jak kot koło gorącego mleka. Teraz mówiła wprost.

– Znam twój punkt widzenia, Samantho. – Nie lubił tego napięcia w swoim głosie. Nie lubił się przed nią odkrywać.

– Nie za dobrze. Pozwól, że ci pokażę, jakim jesteś mężczyzną. Miała chłodne ręce. Chciał je odepchnąć, ale nie był w stanie się ruszyć. Impotencja nie była jego problemem. Wystarczyło, by Samantha na niego spojrzała, a już wzbierało w nim pożądanie. Zakrawało to na makabryczny żart.

– Jesteś mężczyzną, który wie, co zrobić, by kobieta czuła się piękna.

– Ty jesteś piękna.

– Niezupełnie. Może ładna. Będę kiedyś elegancką starszą panią, ale daleko mi do piękności.

– Nieprawda. – Pochylił się nad nią. Pieścił wargami jej ramiona i szyję.

– Nie. I to nie ma znaczenia. Zawsze przy tobie czułam się piękna. Gdy trzymałeś mnie w ramionach i kochałeś się ze mną, czułam się jak Michelle Pfeiffer i Madonna w jednej osobie.

– Madonna? – roześmiał się.

– Żebyś wiedział. Mogłabym nawet pozować nago do zdjęć, gdybyś ty je robił. Ale byłyby zbyt śmiałe, by je publikować.

– Nie wiem, jak bym zdołał utrzymać aparat.

– I jesteś mężczyzną, który wie, co robić, gdy zaczynają się kłopoty. – Pogłaskała go po piersi. Lekko, delikatnie, raz i drugi. – Pamiętasz, jak powiedziałam rodzicom, że się pobierzemy, a ojciec oświadczył, że wydziedziczy mnie, jeśli to zrobię? A ty wtedy stwierdziłeś, że to wspaniale, bo chcesz mnie sam utrzymywać? On wciąż jeszcze nie może tego strawić. Wtedy po raz pierwszy w życiu zabrakło mu słów.

– Fischer nie jest taki zły.

– A ty jesteś mężczyzną, który wybacz. – Musnęła dłonią jego biodro, a potem powoli zbliżyła rękę do tego miejsca, które na jej dotyk reagowało najsilniej.

– Najchętniej opuściłabym ich dom w Chevy Chase raz na zawsze, nie oglądając się za siebie – ciągnęła dalej. – Ale to mogłoby mi zrujnować życie. Ty wiedziałeś, jak postępować z rodzicami, żeby te drzwi nie zatrzasnęły się bezpowrotnie. I nigdy nie byłeś wobec nich nieuprzejmy. Oni wciąż jeszcze głowią się nad tym, dlaczego nie czują do ciebie niechęci. Bóg jeden wie, jak bardzo próbowali cię nie lubić.

– Dprowadzasz mnie do szaleństwa.

– To ja jestem szalona. Szalona na twoim punkcie, Joe. Jesteś jedynym mężczyzną, jakiego pragnę. I zawsze tak będzie. Niekiedy jesteś jak dla mnie aż za bardzo męski. Nie wiem, co mam robić.

– Myślę, że potrafisz to sobie wyobrazić. – Przycisnął wargi do jej ust. Pachniała nocą, ciepłym wiatrem, różami. Jej ciało było tak miękkie jak żyzna ziemia Karoliny Północnej. Wciągnął ją na siebie, by lepiej ją poczuć, by całe jej ciało przywarło do jego ciała.

– Nie! Nie!

Przez sekundę nie wiedział, kto to krzyczy. Samantha znieruchomiała.

– To Corey!

– O, nie. – Tego już było za wiele. Na wszystko był przygotowany, tylko nie na to.

– Musiała się czegoś przestraszyć!

– Akurat teraz.

– Chyba nie przypuszczasz, że zrobiła to naumyślnie? – Samantha wstała i szukała szlafroka.

Nie, wcale tak nie myślał, choć chciałby. Joe wiedział, co to przerażenie. Po śmierci ojca też miał nocne koszmary i zawsze wtedy była przy nim matka, żeby go pocieszyć. i – Muszę do niej pójść. – Samantha miała już na sobie szlafrok. I Joe wbił wzrok w sufit, przyglądając się blaskom rzucanym przez światło księżyca. Wreszcie z głębokim westchnieniem też wstał i włożył szlafrok.

– Zaglądałam do grobu mamy – usłyszał, gdy stanął w drzwiach pokoju zajmowanego przez Corey.

Dziewczynka siedziała na łóżku z twarzą zalaną łzami, mocno przyciskając misia.

– Zaglądałam i zobaczyłam Pana Czerwonego. Zostały z niego same kości. I z mamy też.

– Kiedy ludzie umrą, niczego już nie czują – tłumaczyła jej Samantha, obejmując Corey ramieniem. – Tak samo ptaki i zwierzęta. W Biblii jest powiedziane, że powstaliśmy z prochu i w proch się obrócimy. Tak to jest. Ale ta część nas, dzięki której jesteśmy tym, kim jesteśmy, ta prawdziwa część nas przechodzi w inne, lepsze miejsce. I tam jest teraz twoja mama.

Joe miał co do tego poważne wątpliwości, ale nie zamierzał dzielić się nimi z Corey. Z czasem wspomnienie matki zblednie, czas uleczy rany, a dziewczynka jakoś upora się z tą sytuacją.

– Ona tak szybko umarła. Może to była pomyłka. Może to ja miałam umrzeć.

– Nie. Los tak chciał. Ty dorośniesz, będziesz wspaniałą kobietą i będziesz miała dobre i szczęśliwe życie – pocieszała ją Samantha.

– Tak jak pani?

– Nie wiem. Wiem tylko, że powinnaś być szczęśliwa. Twoja matka na pewno by tego chciała.

Corey nie wydawała się przekonana. Podniosła wzrok i zobaczyła stojącego w progu Joe. Wyraz jej twarzy świadczył, że nie bardzo wierzyła w słowa Samantha, ale postanowiła milczeć.

Joe był lekko poruszony. Corey najwyraźniej nie chciała, żeby Samancie było przykro.

Chroniła ją. To, co wie na temat matki, zachowa dla siebie.

– Dlaczego nie weźmiesz poduszki i koca i nie zejdiesz dzisiaj spać do nas? – powiedział. Sam nie wiedział, jak te słowa wydostały się z jego ust. – Rozłożymy ci materac obok naszego łóżka.

– To pan na mnie nadeptnie – skrzywiła się dziewczynka.

– Jeśli nawet, to na pewno nie dwiema nogami.

Samantha roześmiała się. Popatrzyła na Joe z niekłamaną wdzięcznością.

– A więc jak, Corey? Byłoby ci różniej.

– Ale chcę spać od pani strony.

– Jestem pewna, że pan Joe nie będzie miał nic przeciwko temu. Prawda, panie Joe?

Co też on zrobił najlepszego! Miał całkiem inne plany na dzisiejszą noc. Nie zamierzał bawić się w niańkę. Wszystko wskazywało na to, że jedna mała dziewczynka zawładnie jego życiem... i jego żoną.

– Mam nadzieję, że nie chrapiasz – mruknął.

– Nie.

– Zbudzę cię, jak będziesz chrapać. – Skierował się do sypialni, żeby przygotować pościel dla Corey.

W holu poczuł na ramieniu czyjaś dłoń. Odwrócił głowę.

– Jesteś mężczyzną, który robi zawsze to, co należy, nawet jeśli nie najbardziej mu to odpowiada – powiedziała Samantha. Wspięła się na palce, by go pocałować. Był to długi, obiecujący pocałunek.

– Jestem mężczyzną, który nie potrafi powiedzieć „nie” wtedy, kiedy powinien.

– Mam nadzieję, że tak jest, bo jutrzejszej nocy chcę usłyszeć „tak” na każdą moją propozycję.

ROZDZIAŁ 9

Następnego dnia Joe wyszedł z domu akurat w chwili, gdy zjawiała się pracownica opieki społecznej. Nie mógł przełożyć ważnego spotkania, ale obiecał, że po południu wstąpi do jej biura, na wypadek gdyby miała jeszcze jakieś pytania do niego. Na razie Samantha i Corey musiały sobie radzić same.

Dinah Ryan była bezpretensjonalną starą panną ubraną w nieco sfatygowany kostium, na nogach miała wygodne półbuty. Zajechała natomiast czerwonym sportowym samochodem, przy którym auto Joe prezentowało się aż nazbyt statecznie.

– No i co powiesz, Corey? Jak ci się tu podoba? – Popatrzyła na dziewczynkę z grubych szkielec.

– Podoba mi się.

– Urządziłaś się?

– Chciałaby pani zobaczyć jej pokój? – odpowiedziała Samantha za dziewczynkę.

– Ma pani na myśli pokój, w którym Corey przebywa?

– Tak – odparła, udając, że nie zauważyła drobnej różnicy w określeniu. Poszły na górę.

– Bardzo ładny – pochwaliła panna Ryan. – A to twój nowy przyjaciel? – Podniosła z łóżka misia.

– On jest mój. – Corey wyrwała jej zabawkę z rąk.

– Przepraszam, kochanie. Powinnam była spytać, czy mogę go obejrzeć.

Samantha odetchnęła. Przynajmniej panna Ryan rozumie dzieci.

– To bardzo wygodny pokój – przyznała pracownica opieki społecznej. – Dobrze spałaś?

– Spałam z panią Sammy.

– Ach, tak. – Panna Ryan uniosła brwi.

– Bała się – pospieszyła z odpowiedzią Samantha. – Pościeliliśmy jej obok nas, na podłodze.

– Dobry pomysł. Ale nie na długo.

– Może chciałaby pani obejrzeć resztę domu. Możemy pójść nad staw, jeśli ma pani czas.

– To nie staw, to jezioro – zaproponowała Corey.

Samantha z uśmiechem odgarnęła dziewczynce niesforne kosmyki z czoła.

– Powiedz to kiedyś panu Joe.

Po paru minutach było jasne, że panna Ryan bardziej interesuje się antykami, które Samantha i Joe odnowili, oraz historią domu niż tym, czy nadaje się on dla Corey.

Gdy wyszły na zewnątrz, dziewczynka, mimo skrzywanej kostki, która nadal była obandażowana, szybko je wyprzedziła.

– Oddałabym swój samochód i biżuterię matki, żeby więcej naszych dzieci mogło się znaleźć w takich domach. – Dinah rozłożyła szeroko ręce. – Cała ta przestrzeń. Wszędzie tak czysto, wszystko tak pięknie utrzymane. Mają państwo tyle pokoi, że mogłoby tu zamieszkać z pół tuzina takich Corey.

– Jedna wystarczy.

– Od lat prowadzę jej sprawę. Nie wyobraża pani sobie, ile było skarg na Vernę Haskins. Nie powinnam nawet tego pani mówić.

– To dlaczego niczego nie uczyniono? – Samantha zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to dość zaczepnie. – Przepraszam – wycofała się. – Pewnie pani próbowała.

– I to ile razy. Sprawa byłaby prostsza, gdyby ona biła dziecko, ale nie robiła tego, w każdym razie nie tak często czy brutalnie, by można było zrobić z tego użytek. Znacznie trudniej jest działać, gdy chodzi o zaniedbywanie dziecka. Nie możemy stosować takich samych kryteriów wobec wszystkich rodzin. Rodzice w różny sposób wychowują swoje dzieci. Niekiedy różnice wynikają ze stopnia świadomości i wiedzy czy poziomu materialnego, innym razem po prostu z charakteru lub lenistwa Verna pochodziła z nieciekawego środowiska, sama była dzieckiem zaniedbanym. Gdy urodziła Corey, nie było w niej uczuć, którymi mogłaby obdarować dziewczynkę.

– My nie możemy mieć dzieci. – Samantha nie wiedziała, dlaczego wyrwała się jej ta informacja. Po prostu uznała, że powinna to powiedzieć.

– I patrzycie na takich ludzi jak Verna Haskins, dziwiąc się wyrokom losu?

– Czasami.

– Ja też nie mam dzieci, bo nigdy nie spotkałam mężczyzny, którego chciałabym poślubić. Przez wszystkie lata pracy obserwowałam, jak ludzie niszczą życie własnych dzieci, i byłam coraz bardziej zła.

– A teraz już nie?

– Nie, bo tak sobie myślę, że miałam już kilkoro dzieci, gdyby policzyć te wszystkie, którymi się do dziś opiekowałam, które kochałam i które Kocham wciąż.

– To piękne słowa.

– Wie pani, dla chcącego nic trudnego.

Albo dla tego, kto chce założyć rodzinę. Samantha usłyszała w słowach Dinah zachętę. Panna Ryan aprobowała ją. Prawdopodobnie zaakceptuje i Joe. Gdyby Samantha i Joe chcieli zostać rodzicami zastępczymi lub byli zainteresowani adopcją...

– Czy dużo dzieci, pozostających pod opieką waszego ośrodka, szuka rodzin zastępczych? – spytała.

– Większość dzieci jest mniej więcej w wieku Corey. Zadajemy sobie masę trudu, żeby znaleźć dla nich dobry dom, ale nie jest to łatwe. Nasze dzieci mają problemy emocjonalne, za sobą złe doświadczenia, przykre przeżycia. Niekiedy musimy szukać poza granicami naszego hrabstwa, a przecież wolelibyśmy, żeby zostały w pobliżu nas.

– Co się stanie z Corey, jeśli odnajdzie się jej ojciec?

– Nie jestem pewna. A jak pani sądzi? – Dinah obrzuciła Samanthę uważnym spojrzeniem.

Samantha nie potrafiła odpowiedzieć. Pamiętała, co obiecała Joe, ale te słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

Wielobranżowy sklep Sadlersa w Foxcove cieszył się niezmienną popularnością wśród mieszkańców, którzy mieli sentyment do tego miejsca i zdecydowanie bardziej woleli robić zakupy tu niż w dużych supermarketach przy autostradzie.

Choć Corey była jeszcze cała posiniaczona, wciąż miała obwiązaną kostkę i rękę na temblaku, Samantha postanowiła jednak wybrać się z dziewczynką po zakupy. Przymierzenie czegokolwiek było jednak nie lada wyczynem. Corey siedziała na krześle z szeroko otwartymi oczyma, oszołomiona, wpatrując się z zachwytem w rzeczy, które przynosiła Samantha. Wyprawa po ubrania była dla niej zupełnie nowym przeżyciem.

Okazało się, że lubi jasne kolory. Opalona, wyglądała w nich najlepiej. Nosiła chętnie szorty i dżinsy, ale w głębi serca była jednak małą kobietką. Ogromnie spodobała się jej czerwona sukienka, spódnica w kratę i kolorowa bluzka. Samantha przypomniła sobie swoje zakupy z matką. Kathryn nigdy nie akceptowała jej wyboru i bardzo rzadko wracały do domu z czymś, co Samantha naprawdę chciała mieć, choć jej rodzice nie musieli liczyć się z pieniędzmi.

Dlatego też zgadzała się na każdą rzecz, którą wybrała dziewczynka, choć głos wewnętrzny mówił jej, że nie powinna tego robić. Z drugiej strony wiedziała, że ani ojciec, gdyby zechciał zająć się Corey, ani dom dziecka, w którym by się ewentualnie znalazła, nie stać byłoby na takie wydatki.

Gdy wychodziły ze sklepu, obie ugiwały się pod torbami. Kupiły jeszcze buty i skarpetki do szkoły i do zabawy, plecak, a do tego zeszyty i piórniki, sweter na wypadek, gdyby się wcześniej ochłodziło, czapkę oraz z tuzin podkoszulków i bawełnianych szortów na resztę lata. Kupiły też bieliznę, nową szczotkę i grzebień, i różne świece. Rachunek był niemały.

Samantha właśnie wrzuciła torby do bagażnika i zatrzasnęła pokrywę, gdy nadeszła Polly ze swoją najmłodszą córką, Mary Neli, starszą od Corey o dwa lata. Przywitały się.

– Jak się masz, Corey – powiedziała serdecznie Polly. – Cóż, nieszczególnie wyglądasz w tych bandażach. Przydałoby się trochę przyozdobić!

– Wydaje mi się, że pani Polly chętnie podpisałaby się na twoim gipsie – wyjaśniła dziewczynce Samantha.

– Ja też – zawołała Mary Neli. – Mogłabym nawet coś narysować.

Corey spodobał się ten pomysł. Wszystkie cztery weszły do pobliskiej drogerii, gdzie obok leków, kosmetyków, zabawek i gazet znajdowały się artykuły piśmienne. Jak w każdej typowej amerykańskiej drogerii, tak i w tej można było kupić napoje bezalkoholowe i wypić je na miejscu. Zajęły niewielki stolik.

– Chodź, obejrzymy sobie zabawki. – Mary Neli, pełna życia i energii, zerwała się od stolika i chwyciła Corey za rękę. Dziewczynka popatrzyła na Samanthę pytającym wzrokiem.

– Idź, kochanie. My zaczekamy tutaj.

– Nie mogę uwierzyć, że ją wzięłaś – powiedziała Polly, odprowadzając dziewczynki wzrokiem.

– Uwierzyłabyś, gdybyś zobaczyła, ile nakupowałam.

– Trochę przesadziłaś?

– Trochę.

– A co Joe o tym wszystkim myśli?

Polly знаła ich problemy małżeńskie. Była jedyną osobą, której Samantha mogła się

zwierzyć.

– Toleruje ją. Właściwie jest cudowny, jeśli wziąć pod uwagę, że go do tego zmusiłam.

– Nie ma nic złego w zmuszeniu mężczyzny do czegoś dobrego.

– Uważasz, że dobrze postąpiłam?

– Myślę, że tak.

– Zeszłej nocy Corey dręczyły koszmary. Obudził nas jej krzyk. Joe zabrał ją do naszej sypialni i pościelił jej na materacu.

– Cały Joe.

– Dzisiaj rano wyszedł prawie bez słowa. – Samantha wciąż miała przed oczami milczącego mężczyznę, który ogolił się, ubrał i wypił w biegu filiżankę kawy.

– Nigdy tak naprawdę nie rozumiałaś, co on czuje? – Polly bacznie na nią patrzyła.

Samantha zaczęła z odpowiedzią, dopóki kelnerka nie postawiła przed nimi szklanek. Dziewczynki jeszcze nie wróciły.

– Staram się zrozumieć.

– Oczywiście, że się starasz. W każdym razie tak ci się wydaje. Jemu nie.

– To nie fair.

– Nie. Nie pamiętasz, że wyszłaś za Joe, bo jest silny i pewny siebie? Lubi się o ciebie troszczyć i o wszystkich innych też. Nic go przed tym nie powstrzyma, w każdym razie dotychczas nic go nie powstrzymało.

– Wyszłam za niego, bo go kocham.

– Ale za co go kochałaś?

– Przestań.

– Możesz to wyrazić dosadniej. Zasluguje przynajmniej na „zamknij się”.

– Ależ ja nie oczekuję od niego, że będzie silny przez cały czas – usprawiedliwiała się Samantha. – Naprawdę, wierz mi.

– A więc daj mu jeszcze trochę czasu. Joe przywykł do tego, że to on jest silny, on stanowi oparcie. Teraz to się zmieniło. Jeśli wciąż będziesz wracać do tego tematu, stanie się jeszcze słabszy. Rozumiesz, do czego zmierzam?

– Powinnaś zostać psychologiem.

W dziale z zabawkami półki aż się uginały.

– Spójrz na to! – Corey pokazała puzzle z obrazkiem misia na pudełku bardzo podobnym do tego, którego podarowała jej Samantha. – Albo to! – Wskazywała kolejno zabawki.

– Byłaś kiedyś w sklepie z zabawkami przy autostradzie? Czego tam nie ma! Lepsze puzzle niż te. Mama mi kupiła, ale nie układam ich często – powiedziała Mary Neli.

Corey przepadała za układankami. Było coś magicznego w tworzeniu obrazka z niezliczonych kawałków, dopasowywania ich, by powstało coś ciekawego lub pięknego. W szkole, gdy kładła ostatni kawałek, zawsze czuła się lepsza. Nie wiedziała tylko dlaczego.

– Mogę ci je dać – zaproponowała Mary Neli. – To znaczy te moje.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Ja już mam ich naprawdę dość, a ty będziesz je sobie układać.

Dla Corey było wprost niewyobrażalne, że ktoś może oddać takie zabawki. Mary Neli, ze swoim długim ciemnym końskim ogonem i różowymi policzkami, bardzo przypominała koleżanki ze szkoły, które wciąż jej dokuczały. Spodziewała się, że za chwilę usłyszy, że to był tylko żart. Ale Mary Neli nic takiego nie powiedziała. Skierowała się do stoiska z książkami.

– Umiesz czytać? – spytała.

– Oczywiście!

Spojrzała na Corey z powątpiewaniem. Corey wybrała książkę z koniem na okładce i zaczęła głośno czytać.

– Kiedy mały źrebak Heban przyszedł na świat, nie mógł się utrzymać na chwiejących się nóżkach.

– Heban. – Mary Neli wymówiła właściwie imię źrebaka. – Ale w ogóle to bardzo dobrze. Ja w pierwszej klasie tak dobrze nie czytałam.

– Jestem już w drugiej.

– No tak – westchnęła Mary Neli. – Niedługo zaczyna się buda. Nie chce mi się tam wracać.

Corey niechętnie odłożyła książkę na półkę. Chciałaby się dowiedzieć dalszych losów Hebana. – A ja lubię szkołę – powiedziała. – Naprawdę?

– Pani Samantha jest dla mnie bardzo miła.

– Mama opowiadała, że twoja mama umarła i teraz mieszkasz u pani Samantha. To smutne. – Nagle twarz Mary Neli rozjaśniła się. – Zupełnie zapomniałam, miałyśmy coś narysować na twoim gipsie. – I zanim Corey zdołała się zorientować, pobiegła dalej.

W stoisku z przyborami szkolnymi wybrała pudełko flamastrów.

– Zapłacimy przy wyjściu. I tak potrzebuję kilka do szkoły – powiedziała. Wyjęła czerwony flamaster i zaczęła rysować duże serce. – Patrz, nieźle to wygląda.

Corey wyjęła żółty. Nie mogła zbyt dobrze rysować lewą ręką, ale udało jej się umieścić obok serca żółty kwiat.

– Co wy robicie, dziewczynki?

Obie były tak przejęte swoją twórczością, że nawet nie usłyszały nadchodzącej sprzedawczyni. Corey podniosła głowę i zobaczyła wysoką kobietę ze srogą miną. Zanim którakolwiek zdążyła odpowiedzieć, chwyciła je za ramiona.

– A co wy tu robicie? – spytała groźnym tonem. – Jest z wami ktoś dorosły?

– Moja mama siedzi tam – zdążyła wykrztusić speszona Mary Neli, gdy sprzedawczyni ciągnęła je w tamtym kierunku. – Chciałyśmy kupić te flamastry. Tylko je próbowałyśmy.

– O, tak, na pewno chciałyście je kupić. Zaraz się o tym przekonamy.

Początkowo sprzedawczyni, wraz z przestraszonymi dziewczynkami, skierowała się do niewłaściwego stolika. Mary Neli wyciągnęła rękę, wskazując inny.

– To moja mama. A to pani Samantha. Opiekuje się Corey. Sprzedawczyni puściła dziewczynki i Mary Neli podbiegła do matki. Corey nie wiedziała, co robić. Samantha wstała i skinęła na nią. Dziewczynka nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa. Rzuciła się w ramiona swojej pani Sammy.

– Rysowały flamastrami na jej gipsie. – Ostatnie słowo sprzedawczynie wymówiła z wyraźnym niesmakiem i wskazała na Corey. – Nie zapłaciły.

– Miałyśmy zapłacić, wychodząc – powiedziała Mary Neli. – Potrzebuję flamastry do szkoły. Mama o tym wie, mówiłam jej, prawda?

– Oczywiście, że mi mówiłaś. – Polly zmierzyła kobietę niezadowolonym spojrzeniem. – Następnym razem proszę się zwrócić do mnie, zanim przestraszy pani moją córkę – dodała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

– Przepraszam. Naprawdę bardzo mi przykro – tłumaczyła się kobieta. – Ale zobaczyłam ją – znowu wskazała na Corey – i myślałam, że mogą wyniknąć jakieś kłopoty.

– Następnym razem – wycedziła przez zęby Samantha – proszę się zwrócić do mnie, zanim przestraszy pani moją... małą przyjaciółkę. Mieszka teraz u mnie i życzę sobie, by traktowano ją tak jak inne dziewczynki w tym mieście.

– Cóż, dobrze, ale przedtem kradła.

– Tylko cukierka – szepnęła Corey. – Raz. Jeden jedyny raz.

– Chciała dodać, że była naprawdę głodna tamtego dnia, bo czekała, aż matka wróci do domu, ale uznała, że to i tak nie będzie miało znaczenia.

Samantha sięgnęła do portmonetki. Ręka jej drżała. Wyciągnęła banknot dolarowy i podała sprzedawczynie.

– Uznajemy sprawę za zakończoną – powiedziała. Nie chcę pani pieniędzy, pani Giovanelli. Po prostu nie miałam pojęcia, że....

– Proszę wziąć – powtórzyła z naciskiem Samantha. – Puśćmy tę sprawę w niepamięć. Życzę sobie, aby od tego momentu Corey była dla pani takim samym dzieckiem jak inne.

Kobieta spojrzała bezradnie na Polly. Ta skinęła głową. Sprzedawczynie wzięła banknot.

– To naprawdę nie było konieczne – powiedziała.

– Wręcz przeciwnie. Corey należy teraz do mojej rodziny, a rodzina Giovsnellich zawsze sama załatwia swoje sprawy.

Corey nie zrozumiała wszystkiego, co mówiła pani Sammy, ale jedno było dla niej jasne: od tej chwili nikogo w mieście nie będzie się musiała bać. Czowała się tak jak wtedy, gdy kładła ostatni kawałek puzzli. Nie wiedziała dlaczego. Po prostu tak się czuła.

Joe obserwował Corey wchodzącą do kuchni w nowym stroju, jednym z wielu, które dostała dziś w prezencie.

– Wspaniale wyglądasz! – zawołała Samantha z entuzjazmem.

– Naprawdę.

– Wcale nie. – Dziewczynka była wyraźnie speszona.

– Wyglądasz bardzo ładnie – potwierdził Joe. – Podcięłaś chyba też włosy?

Corey była coraz bardziej zakłopotana zainteresowaniem swoją osobą.

– Wzięłam ją do swojej fryzjerki, żeby trochę skróciła grzywkę, a resztę włosów wyrównała. Corey chce je zapuścić, woli długie.

Dokładnie takie jakie nosi Samantha. Joe wiedział to aż nadto dobrze. Corey nie musiała mu nic mówić. Dziewczynka po prostu uwielbiała jego żonę. Była w nią wpatrzona jak w obraz.

– Jak zdołałaś to wszystko załatwić? – spytał Joe z przekąsem. Wysłuchał już z ust Samantha relacji o wizycie u pediatry, który uznał, że Corey jest ogólnie zdrowa, choć niedożywiona; dowiedział się, że dentystę będzie musiała jeszcze nieraz odwiedzić; kazano mu podziwiać nową fryzurę i strój. Jego żona poświęciła Corey mnóstwo czasu i wydała na nią sporo pieniędzy. Joe nie był skąpy, nie o to chodziło. Sprawy zaczęły przybierać zbyt szybki obrót, co mocno go zaniepokoiło. Ustalili z Samantha określony tryb postępowania, jeśli idzie o Corey, ale obawiał się, że żona ma już teraz inne plany. To go zirytowało.

– Cóż, ciężko pracowałyśmy – odparła Samantha. – To dlatego przywiozłyśmy pizzę z miasta. Nawiasem mówiąc, to ulubiona pizza Corey.

– A czego nie jadasz? – spytał dziewczynkę Joe, nie mogąc odmówić sobie okazji do tego, by jej dokuczyć.

Corey zrozumiała jego intencje i posmutniała. Natychmiast zawstydził się tego pytania.

– Co myślisz o szpinaku? – podpowiedział szybko.

– Nie wiem.

Zastanawiał się, czy w domu kiedykolwiek jadła jarzyny.

– Jutro Corey pomoże mi w ogrodzie, a później ugotujemy to, co zerwiemy – wtrąciła Samantha, jakby odczytując jego myśli, po czym, widząc skwaszoną minę męża, dodała: – Corey, biegnij na górę się umyć. Potem możesz układać puzzle, które dostałaś od Mary Neli. Zawołam cię, jak pizza będzie gotowa.

Pierwsza propozycja niezbyt się dziewczynce spodobała, ale następna wyraźnie przypadła jej do gustu. Wybiegła z kuchni. Joe słyszał stukot jej nowych butów na schodach.

– Nie powiedziałam ci jeszcze o czymś – zaczęła Samantha. – Mary Neli nalegała, żebyśmy wstąpiły do nich w drodze powrotnej. Chciała podarować nowej koleżance kilka pudełek puzzli i całą torbę książek. Żebyś ty widział minę naszej Corey.

– Niebotyczne zdumienie?

– Coś w tym rodzaju. Nawiasem mówiąc, dzięki temu będzie miała zajęcie, a my trochę czasu dla siebie. Powiedz, jak ci minął dzień?

– W porównaniu z tobą spokojnie.

– Och, przestań, w szkole nigdy nie jest spokojnie. Nawet jeśli nie ma jeszcze uczniów.

W paru zdaniach zreferował jej, co robił. Wydawało się, że Samantha nie dostrzega tej zwięzłości wypowiedzi.

– Cóż, wszystko wskazuje na to, że rok szkolny może się zaczynać – podsumowała.

Obserwował ją, gdy pochylała się nad piecykiem, by włożyć pizzę. Poruszała się energicznie i z wdziękiem, policzki zaczerwieńczyły się jej z gorąca.

– Sama się dziwię, jak to się stało, że załatwiłam jednego dnia tyle spraw. Nie przypuszczałam, że będę do tego zdolna. A i teraz wcale nie odczuwam zmęczenia. Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że ty też, bo przecież coś zaplanowaliśmy na dzisiejszy wieczór.

Joe doskonale zdawał sobie sprawę, czemu należy przypisać dobry nastrój Samantha. Nie był na tyle zarozumiały, by sądzić, że to perspektywa wspólnego małżeńskiego wieczoru wyzwoliła z jego żony radość życia. Nie, to nie jego zasługa. Sprawiała to pewna nieznośna mała dziewczynka.

- Odgrywanie roli dobrej wróżki na pewno dodaje energii – zauważył.
- Ja to robiłam?
- Owszem. Wobec Kopciuszka Corey.
- Chyba nie jesteś zły? – Twarz jej spoważniała.
- Nie, skąd, raczej się martwię.
- Dlaczego?
- Czy wiesz, co stanie się z tym dzieckiem, gdy nas opuści?
- Myślałam o tym. – Samantha umknęła wzrokiem w bok.
- Niezbyt intensywnie.
- W takim razie jak powinnam postępować? Traktować ją źle po to tylko, żeby się nie przyzwyczaiła do dobrego? Czy miałam pójść do sklepu z używanymi rzeczami i ograniczyć się do najbardziej niezbędnych zakupów?
- Nie, ale ty naprawdę posunęłaś się za daleko.
- Wiem o tym, ale nie mogłam się powstrzymać. Przypomniałam sobie, jak było ze mną. Nie masz pojęcia, co bym dała, żeby wtedy ktoś choć przez chwilę pomyślał o tym, żeby kupić mi to, czego ja chcę i o czym marzę, żeby uwzględnił moje życzenia i potrzeby.
- Ty? Ty miałaś wszystko! Czego jeszcze mogłaś chcieć? – Słowa te wymknęły mu się mimo woli. Nie mógł ich już cofnąć. Potrzebował sekundy, by sobie uświadomić, jak bardzo były krzywdzące i okrutne.
- Miałam wszystko, co zdaniem rodziców powinnam mieć. Ani jednej rzeczy więcej. Dopóki nie poznałam ciebie, nikt nigdy nie popatrzył mi w oczy i nie zainteresował się, kim naprawdę jestem.
- Poczul się podle. Wstał i wziął ją w ramiona.
- Przepraszam – szepnął. Odsunęła się.
- Wiesz co? Myślę, że masz rację. Jeśli będę dawać Corey z siebie tak dużo w tym krótkim czasie, będzie jej jeszcze trudniej, gdy od nas odejdzie. Ale chcę, żeby w przyszłości mogła wspominać, że był ktoś, kto się o nią troszczył, kto się nią zajmował, kto okazywał jej serce. To uczyni ją szczęśliwszą i doda pewności siebie.
- Nie. Postępując w ten sposób, zrobisz jej krzywdę.
- To ty mi robisz krzywdę! – uniosła się Samantha. – Nie chciałaś, żeby Corey była u nas i nadal nie chcesz. A teraz złościsz się, bo ona tyle dla mnie znaczy. Dzisiejszy dzień był cudowny, a teraz ty chcesz mi go zepsuć. Zapomniałeś, jak patrzeć mi w oczy, by się dowiedzieć, czego naprawdę potrzebuję. Zapomniałeś, co to znaczy interesować się kimś jeszcze oprócz siebie!
- Nie mówię o nas. Mówię o tej małej dziewczynce i o tym, co dla niej najlepsze – tłumaczył Joe, ale wiedział, że to żona ma rację.
- Czy ty w ogóle jeszcze wiesz, jak się kimś opiekować?! – Samantha była bardzo rozżalona. – A może przestałeś dbać o kogokolwiek w dniu, gdy się dowiedziałeś, że nigdy nie będziesz mieć własnych dzieci?

Umyła twarz i ręce, choć nie widziała ku temu najmniejszego powodu. Pani Sammy

miała zabawne pomysły na temat czystości dziewczynek. Trudno było umyć rękę w gipsie, jeszcze trudniej umyć twarz jedną ręką, ale poradziła sobie.

W pokoju ostrożnie się rozejrzała. Cienie jeszcze nie tańczyły na ścianach i suficie. W dzień było tu przytulnie. Na zasłonach były takie same małe kotki jak na pościeli. Wyglądały jak żywe i bardzo przypominały kocięta Belli. Pani Sammy pokazała je latem, gdy przyniosła Pana Czerwonego. Corey żałowała, że już dorosły i gdzieś sobie poszły.

Wzięła misia i posadziła go na gipsowym opatrunku. Teraz ręka stała się znacznie weselsza. Mary Neli naprawdę umiała rysować. Pomyślała, że może Mary Neli zostanie jej przyjaciółką.

Położyła puzzle na półce przeznaczonej na zabawki. Nigdy nie miała własnych zabawek. Było to dla niej coś całkiem nowego. W rogu siedziała lalka i nie spuszczała z niej wzroku. Pani Sammy powiedziała, że to bardzo stara lalka. Dlatego tylko otwiera i zamyka oczy. Ale jutro pójda kupić taką, która mówi.

Corey zastanawiała się, czy naprawdę pójda.

Wzięła pudełko z układanką, największe, i położyła na biurku. Był na nim obrazek farmy, z krowami i końmi, i z małą dziewczynką – blondynką jak ona i pani Sammy – która karmiła koguta i całe stadko kur. Właśnie zabierała się do układania, gdy z dołu dobiegły ją podniesione głosy. Zmartwiła. Podeszła do drzwi i wychyliła się na korytarz.

Nie słyszała, co mówił pan Joe, ale wydawało się, że jest zły. Pani Sammy chyba też była niezadowolona, . prawie tak samo jak w drogerii.

Dobrze zapamiętała, co pani Sammy powiedziała sprzedawczyni. Nawet nie spytała Corey, dlaczego kiedyś ukradła cukierka. Broniła jej. Może teraz też jej broni. Spodobała jej się ta myśl. Bardzo lubiła panią Sammy, ale z panem Joe było inaczej. On jej nie lubi. Podejrzewała, że zrobi wszystko, by się jej pozbyć. A może to on odejdzie, jak będą na siebie źli?

Ta myśl spodobała jej się jeszcze bardziej. Gdyby pan Joe się wyprowadził, może pani Sammy zatrzymałaby ją na zawsze. Przecież potrzebowałaby towarzystwa. A Corey mogłaby jej pomagać w domu. Mogłaby robić różne rzeczy.

Głosy umilkły. Gdy wreszcie pani Sammy ją zawołała, pana Joe już w kuchni nie było. Pani Sammy powiedziała, że musiał na chwilę wyjść. Siedząc obok niej przy stole, Corey miała nadzieję, że już nigdy nie wróci.

ROZDZIAŁ 10

Samantha pocałowała matkę w policzek. Poczwała delikatny, świeży zapach, tak nierozdzielnie związany z osobą Kathryn Whitehurst, jak jej zawsze nienaganna fryzura. Kathryn była ubrana w sposób, który tylko ona mogła uznać za odpowiedni na rodzinne barbecue: białe jedwabne luźne spodnie z idealnie zaprasowanymi kantami, niebieską jedwabną bluzkę z krótkimi rękawami i niebieskie sandały. Do tego nosiła platynową biżuterię. Nie przejmowała się, że kropla sosu może jej popłamić spodnie, a spacer nad staw zniszczyć sandały. Samantha nic już nie dziwiło.

– Wolałabym, żebyś to ty do nas przyjechała – powiedziała Kathryn na powitanie, odsuwając się nieco od córki. – Tego lata i tak za dużo podróżowaliśmy.

– Wiem, ale nie bardzo mogłam się wyrwać, przecież jutro zaczyna się rok szkolny. Miło mi, że zdecydowaliście się przyjechać.

– Twój ojciec zdecydował. – Ton Kathryn świadczył o tym, że była przeciwna temu pomysłowi, ale Samantha jej nie wierzyła. Podejrzewała, że matka znajduje jakąś osobliwą przyjemność w spotkaniach z rodziną Joe, nawet jeśli jest to tylko przewrotna fascynacja faktem, że jej jedyne, dobrze urodzone dziecko mogło wejść do tak pospolitej i hałaśliwej rodziny.

– Wiesz, zamówiłam wszystko, co lubisz, żeby ci jakoś wynagrodzić ten przyjazd.

– Wynagrodzi mi go twój widok. I rzut oka na dziecko, o którym tyle słyszeliśmy – odparła Kathryn z udaną swobodą, – Rzeczywiście chyba tylko rzucisz okiem. Corey bawi się gdzieś koło domu z kuzynami. – Samantha odwróciła się, by przywitać ojca, który rozmawiał z Joe. Jej mąż zawsze był zadziwiająco uprzejmy w stosunku do obojga jej rodziców. Na swój sposób go fascynowali, tak jak ich frapowała rodzina Giovanellich.

Samantha powiedziała już wszystko, co należało powiedzieć przy powitaniu i wysłuchała uprzejmie odpowiedzi ojca, zerkając jednak co chwila ku Joe. Biała koszulka poło podkreślała letnią opaleniznę, a szorty odsłaniały mocne, długie nogi. Joe wyglądał bardzo atrakcyjnie.

Niestety, Samantha prawie wcale go nie widywała. Od czasu gdy Corey z nimi zamieszkała, rzucił się w wir pracy z pasją, jakiej nawet on dotychczas nie przejawiał. Niekiedy Samantha przyłapywała się na tym, że tęskni za okresem, gdy Corey jeszcze u nich nie było, kiedy, choć rzadko, mogli być razem. W dniu, w którym wróciły ze swego maratonu po sklepach, jej mąż zamknął się w swoim świecie.

Joe pochwycił jej spojrzenie w chwili, gdy ojciec wygłaszał kolejną uwagę na temat domu. W oczach miał gniewne błyski. Nie wiedziała dlaczego i pewno będzie ostatnią, która się dowie. Miała ochotę wziąć go pod rękę, zaprowadzić w ustronne miejsce wśród sosen i zażądać, by z nią porozmawiał. Wiedziała jednak, jaki byłby tego skutek. Żaden. A poza tym nie na próżno była córką Kathryn i Fischera Whitehurstów. Znała swoje obowiązki pani domu.

Zaprowadziła rodziców na ganek i podała im drinki. Usiedli przy stoliku obok matki Joe.

Rosę uwielbiała Kathryn, która jak urzeczona słuchała jej opowieści o wnukach. Samantha domyślała się, że jej matka pragnęłaby mieć własne wnuki, choć nigdy o tym nie wspomniała. Jeszcze jej nie poinformowała, że, niestety, nie może się spodziewać wnuków, w których żyłach będzie płynąć krew Whitehurstów i Giovanellich.

Wróciwszy do kuchni, stanęła na chwilę przy stole, by złapać oddech przed następną falą gości. Zaprosili, jak zwykle, całą liczną rodzinę Joe, a dodatkowo także Polly z mężem i Mary Neli, która ku zaskoczeniu Samantha bardzo polubiła Corey.

Zanim jeszcze zorientowała się, że w kuchni jest Joe, poczuła na ramionach ciepłe dłonie.

– Może ci pomóc? – spytał.

Oparła się o niego, a on otoczył ją ramionami. Niemal bała się oddychać, żeby go nie spłoszyć.

– Mogę przygotować następny dzbanek lemoniady, zagotować wodę na herbatę, podgrzać kiełbaski – zaproponował.

– Rób po prostu to, co robisz.

– Dodam jeszcze parę czynności. – Pocałował ją w koniuszek ucha.

– Proszę bardzo – zachęciła go.

– Mama właśnie pokazuje twojej matce moje zdjęcia z dzieciństwa – powiedział.

– Wydaje jej się pewnie, że moja matka kocha cię jak syna.

– Nie wyobraża sobie, by ktoś mógł mnie nie kochać.

– Ja też nie. Uwielbiam cię.

– Nie wiem dlaczego, ale jestem cholernie wdzięczny.

– Joe...

– Ciii... – Położył jej palec na ustach. – To nie czas ani miejsce na wyznania. Chciałem cię jednak przeprosić. W ostatnich tygodniach zachowywałem się okropnie. Wiem, jak ci było ciężko. Nie powinienem był postępować w ten sposób.

Pocałowała go w palec, a potem w usta. Miały smak dymu i kończącego się lata.

– Wiem, że nie jesteś zachwycony pobytem Corey. Czasami bywa uciążliwa.

– Świetnie sobie z nią radzisz.

– Naprawdę? – Samantha rozpromieniła się, słysząc taki komplement. – Myślisz, że postępuję z nią właściwie?

– Myślę, że ją za bardzo rozpieszczasz, ale równocześnie uczysz ją cierpliwości i dobrego zachowania. A nawet samodyscypliny.

– Wciąż ją rozpieszczam?

– Najważniejsza była ostatnia część mojej wypowiedzi.

– Może potrzebuję twego rozsądku, zrównoważenia, twoich wskazówek.

Nie odpowiedział, a ona nie nalegała.

– Mam jeszcze coś do zrobienia, Joe.

– Naprawdę nie chcesz, żebym ci pomógł?

– Wszystko jest już gotowe. Teraz tylko potrzebujemy dodatkowych rąk, żeby zanieść jedzenie na stoły.

– Przyślę ci paru osiłków.

Pocałował ją jeszcze raz i wyszedł z kuchni. Dzień stawał się coraz piękniejszy.

Samantha właśnie nakładała na półmiski sałatki i sery, gdy przez kuchnię przebiegła pędem Corey.

– Corey! – zawołała.

– Co?

– Coś ty robiła, na litość boską? – Rano Samantha osobiście wybrała rzeczy, w które dziewczynka miała się ubrać. Nikt z Giovanellich nie zwróciłby najmniejszej uwagi na to, co Corey ma na sobie, ale dla Kathryn Whitehurst było to bardzo ważne, a Samancie zależało na tym, żeby jej rodzice polubili Corey. Chciała, by dostrzegli w niej cudowną, inteligentną dziewczynkę, którą trzeba było jeszcze paru rzeczy nauczyć. Zachowywała się już coraz lepiej i coraz staranniej się wystawiała. Od czasu do czasu nawet się śmiała i przestały ją dręczyć nocne koszmary. Żadna z tych zmian jednak nie była widoczna na pierwszy rzut oka.

– Corey? – powtórzyła Samantha.

– Kopałam skarb.

– Skarb?

– No. Patrick powiedział, że w lesie jest skarb. Poszłam z nim i Mary Neli go wykopać.

– Znaleźliście coś?

– Całą kupę ziemi i jakiegoś świństwa.

– Na to wygląda.

Corey odwróciła się na pięcie.

– Corey! – Samantha poszła za nią – Dokąd się wybierasz?

– Pływać.

– Chyba tylko trochę się popluskasz przy brzegu. Dziewczynka skrzywiła się. Jezioro kusiło ją przez całe lato.

Z ręką w gipsie mogła jednak najwyżej brodzić przy brzegu. A to wcale nie było zabawne.

– Zanim się przebierzesz w kostium, musisz koniecznie wskoczyć do wanny.

– Przecież będę w wodzie! Umyję się!

– Musisz się wykapać.

– Bo co?

Samantha nie chciała, żeby przed jej rodzicami stanął brudny oberwaniec. Pierwsze wrażenie jest bardzo ważne. Ale nie powiedziała tego głośno.

– Ponieważ cały brud będzie pod kostiumem. I umyją ci się tylko nogi – wyjaśniła. – A teraz zmykaj. Szkoda czasu.

Corey zrobiła obrażoną minę, ale się nie sprzeciwiła. Parę minut później Samantha usłyszała wodę lecącą do wanny.

– Chciałabym ci zorganizować kogoś do pomocy w domu. – W drzwiach kuchni stanęła Kathryn – Kogoś, kto przychodziłby ze dwa, trzy razy w tygodniu posprzątać i ugotować.

– Nie potrzebuję nikogo. Lubię wszystko robić sama.

– Naprawdę? – Kathryn wyglądała na szczerze zainteresowaną.

– Lubię troszczyć się o rodzinę.

- Rodzinę? Ty, Joe i ta mała?
- Corey – przypomniała Samantha.
- Wciąż nie mogę się nadziwić, że wzięliście czyjeś dziecko.
- To tylko na jakiś czas, mamo. Dopóki nie znajdą jej ojca.
- Jeszcze go nie znaleźli?

– Nie. Często zmienia miejsce zamieszkania. – Samantha nie dodała, jak bardzo zmartwiła ją ta wiadomość przekazana przez Dinah Ryan. Ojciec Corey ponad pięć lat temu wyniósł się ze Spartanburga, a Verna Haskins nie miała pojęcia, że się przeprowadził. Zdobyli jego adres w dwóch innych miastach, ale i tam już go nie było. Gdyby w końcu udało się go odnaleźć, a on chciał zaopiekować się córką, Corey wiodłaby niespokojne życie włóczęgi.

- Cóż, w końcu to twoja sprawa...
- Ona jest cudowna, zobaczysz. Zaraz zejdzie.
- Czy to nie jest dość osobliwy sposób powiększenia rodziny? – spytała Kathryn.
- Mówiłam ci już. To tylko na jakiś czas.
- Zawsze chciałaś wziąć przybłędę.

– Corey nie jest przybłędą – podkreśliła mocno Samantha, patrząc matce prosto w oczy. – To dziecko. Jeśli dasz jej szansę, to przekonasz się, że jest nadzwyczajna. Ale jeśli popatrzysz na nią jak na jakiegoś biednego, parszywego psa, który przyszedł za mną ze szkoły, to oczywiście się o tym nie przekonasz.

- Jeśli chodzi o tego biednego, parszywego psa...

Nagle Samantha uświadomiła sobie, że za jej słowami, które miały być tylko przenośnią, kryło się coś więcej. Teraz przypomniała sobie, że rzeczywiście był taki pies. Dawno temu, kiedy była niewiele starsza od Corey, Kathryn odpędziła go spod drzwi domu i Samantha miała o to żal do matki.

– Zapomniałam. – Odwróciła się od matki. – Był kiedyś taki przybłęda, prawda? A ty go wypędziłaś.

– Właściwie to nie, wzięłam go do weterynarza, a raczej poleciłam to zrobić. Chyba Melwinowi.

- Melwin nigdy mi o tym nie wspomniał.

– Nie chcieliśmy, żebyś się dowiedziała. Pies był chory, zbyt chory, by można mu było pomóc. Zdechł po tygodniu leczenia. Uznaliśmy, że dla ciebie będzie lepiej, jeśli będziesz myślała, że go wyrzuciliśmy.

– Co? – Samantha spojrzała na matkę z niedowierzaniem. – Mamo, ty masz miękkie serce.

- W żadnym wypadku – powiedziała Kathryn, ale wyglądała na zadowoloną z siebie.

Rozmawiały o podróży do Europy i o przyjaciołach rodziców, których Samantha знаła od czasów dzieciństwa. Corey wybrała ten właśnie moment, by się pokazać. Włożyła kostium kąpielowy na lewą stronę, nieuczesane mokre włosy sterczały jej na wszystkie strony. Samantha zauważyła, że dziewczynka starała się umyć, ale z jedną ręką w gipsie nie było to takie proste.

– Chodź do nas, kochanie – zachęciła ją. Wzięła czystą ścierkę do naczyń. – Zmyję ci jeszcze parę plam.

– Chcę iść nad jezioro!

– Wiem o tym. Pójdiesz, gdy tylko włożysz kostium na prawą stronę i pozwolisz, żebym umyła ci twarz i szyję.

– Nie chcę!

– Chwileczkę. Jest gorąco i chcesz wejść do wody. W porządku, ale najpierw umyję ci twarz. – Samantha odwróciła się do zlewu. Kiedy się obejrzała, dziewczynki nie było.

Zobaczyła skonsternowaną twarz matki.

– Zgadnij, kto to był? – powiedziała z udaną nonszalancją. Chciała, żeby Kathryn zaakceptowała Corey. Było to dla niej bardzo ważne, choć nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego.

– Samantho, w co ty się wdałaś?

Corey wpadła z powrotem do kuchni. W chwilę potem wszedł Joe.

– Na górę! – rozkazał dziewczynce tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Włóż jak należy kostium, umyj twarz i uczesz się.

Samantha utkwiała w nim wzrok.

– Wydaje mi się, że chciała uciec – powiedział.

– Skąd wiesz?

– Radziła tak, że przewróciła jedno z dzieci Giovanellich i Carterów. Nie mówiąc już o tym, że cały czas się oglądała.

Samantha nigdy nie była mu bardziej wdzięczna.

– Dzięki. Miałam po nią pójść.

– Chyba jesteście zajęte. Stanę na dole koło schodów i poczekam na nią. Dobrze?

– Oczywiście.

– A więc poznałaś Corey. – Joe zwrócił się do Kathryn.

– Niezupełnie. Samantha właśnie próbowała mi wytłumaczyć, dlaczego ją wzięliście. Mówiła coś o cudownej małej dziewczynce.

– Nie jest wcale złym małym potworem – ujął się za Corey Joe. – Daj jej szansę. Może ją jeszcze polubisz.

Wszedł, by zaczekać na Corey. Samantha odprowadziła go wzrokiem.

Popołudnie było bezchmurne, a niebo tak błękitne jak oczy Samanthy. Ale choć pogoda zadbała o to, by dzień udał się jak najlepiej, pewnej małej dziewczynce było to najzupełniej obojętne.

Joe obserwował ją, jak puszczała kaczki na jeziorze. Jeden z kamieni o mało nie trafił syna Magdaleny.

Samantha tego nie zauważyła, ale Kathryn i Fischer wymienili znaczące spojrzenia. Joe zszedł na brzeg i stanął obok Corey. Chciała odejść, ale objął ją ramieniem i przytrzymał.

– Bo pójdiesz na resztę dnia do domu! – ostrzegł.

– Niech mnie pan zostawi!

– Bądź grzeczna i nie szarp się. Jestem większy od ciebie.
– Nic mi pan nie robi – odpowiedziała, ale się uspokoiła.
– A teraz posłuchaj. Wiem, że jest gorąco i chcesz popływać. I wiem, że czujesz się tutaj obco, bo wszyscy się znają, a ty jesteś nowa...

– Nie pana sprawa.

– I wiem, że pani Samantha nie ma teraz czasu, żeby się tobą zajmować.

– Jest pan wstrętny!

– Nie ty pierwsza tak uważasz. Jeśli będziesz się trochę lepiej zachowywać, tylko trochę, na przykład przestaniesz rzucać w ludzi kamykami i pluć do wody, popływam z tobą.

Joe wiedział, że mała o niczym innym nie marzy. Znał dzieci i mimo wszelkich swoich wysiłków, aby odgrodzić się od Corey, ją właśnie zaczynał znać szczególnie dobrze.

– Pani Sammy powiedziała, że mogę tylko brodzić przy brzegu.

Przez chwilę Joe poczuł dla Corey coś w rodzaju podziwu. Tak rozpaczliwie chciała kąpać się z innymi dziećmi, a jednak lojalność wobec Samantha przeważała.

– Uzgodnię to z panią Samantha. Owinę gips plastikową folią i wniosę cię do wody tak, żebyś nie zamoczyła ręki.

– Ale nie puści mnie pan?

– No wiesz, na oczach tych wszystkich ludzi? Wydawało się, że mu uwierzyła.

– Pamiętaj, co powiedziałem – ostrzegł. – Chcę, żebyś się lepiej zachowywała. Inaczej nici z naszej umowy.

– Jak długo?

– Co, jak długo?

– Jak długo mam być grzeczna?

– Dopóki wszyscy tutaj nie przekonają się, że nie jesteś dzieckiem diabła.

Pomyślała, że to bardzo, bardzo długo. Co do tego przynajmniej byli zgodni.

Joe wrócił do stołu, gdzie Rosę rozwodziła się nad czymś, co powiedziała jej Corey. Rosę była przyzwyczajona do uprzykrzonych brzdąców. Sama sporo ich urodziła. Domyślał się, że Johnny już jej powiedział, że Joe nie uczyni jej babką. Nie poruszyła tego tematu, ale wydawało się, że w pełni zaakceptowała Corey jako namiastkę wnuków niezależnie od tego, że dni dziewczynki w ich domu były policzone.

– A więc ona mówi, cóż, jak pani jest mamą pana Joe, to czemu go pani nie weźmie, żeby z panią mieszkał?

Joe mimo woli się roześmiał. Pochwycił spojrzenie żony. I ona się uśmiechała.

– Corey o niczym innym nie marzy – zapewnił. – Miałyby swoją panią Sammy tylko dla siebie.

– Nie sądzisz, że to dziecko potrzebuje więcej... opieki niż wy dwoje możecie mu zapewnić? – spytała Kathryn. – To znaczy myślę, że ona jest... – Urwała, jak gdyby nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa.

– Jaka, mamó? – nalegała Samantha. – Żywa? Pełna werwy? Normalna, jeśli wziąć pod uwagę jej przejścia? Myślę, że potrafimy sobie poradzić.

Joe zawsze z podziwem obserwował, jak Samantha przeciwstawiała się rodzicom. Przez

wszystkie lata ich małżeństwa tak rozgrywała swoje bitwy, by nie rozdrabniać się na potyczki, lecz zaoszczędzić siły na wielkie batalie, które wygrywała. Dotychczas takie batalie zawsze dodawały jej pewności siebie i podkreślały jej niezależność. Wszystko wskazywało na to, że właśnie została wypowiedziana nowa wojna.

– Nie wykręcaj kota ogonem, Samantho – powiedział Fischer.

– To trudne dziecko. Nie rozumiem, dlaczego zadajesz sobie tyle trudu, skoro ona i tak was opuści. Nie mówiąc o tym, że na pewno chcecie mieć własne dzieci, którym poświęćcie swój czas i siły.

– Nie – wtrącił odważnie Joe. – Nie będziemy mieć własnych dzieci. – Zaczekał, aż ojciec Samanthy zwróci głowę w jego kierunku. – Nie możemy mieć dziecka.

Zapanowała kłopotliwa cisza. Przerwała ją Kathryn.

– Ale przecież lekarze na pewno mogą pomóc. – Zwróciła się do córki. – Teraz medycyna tyle potrafi. Choćby dzieci z probówki. Mam przyjaciółkę, której mąż jest jednym z najlepszych specjalistów od leczenia bezpłodności w Maryland. Mogę was umówić...

– To ja stanowią problem – wyjaśnił Joe. – I naprawdę nic się nie da zrobić.

– To nasz wspólny problem – skorygowała Samantha. – Nieważne, dla kogo diagnoza była niepomyślna. Joe i ja nie możemy mieć dzieci i na tym koniec.

– A więc chcecie sobie wziąć na głowę problemy innych? Nie rozumiem takiego stanowiska – zdziwił się Fischer. – Co na tym zyskacie? Ta dziewczynka najwyraźniej nie pochodzi z dobrej rodziny, a o ile zdołałem się zorientować, niewiele tu wskóracie. Jest arogancka, wrogo nastawiona do ludzi i prawdopodobnie niezbyt bystra. Żeby chociaż była ładna – westchnął.

Joe zobaczył niesmak malujący się na twarzy Samanthy. Kathryn była w najwyższym stopniu zażenowana. Nie popatrzył już na swoją matkę, której przypuszczalnie aż dech zaparło.

– To dziecko – powiedział powoli, akcentując każdy wyraz – należy do mojej rodziny. Może nie na zawsze, ale dopóki tu mieszka. Mam nadzieję, że zrewidujesz swoją opinię, Fischer, a jeśli nie, nie wracaj więcej do tego tematu. Nie życzymy sobie tego. Ani Samantha, ani ja.

Fisher Whitehurst nie krył zdumienia postawą zięcia – z taką stanowczością bronił cudzego dziecka... Samantha wstała.

– Chyba czas na deser, prawda? Joe, pomożesz mi? Oboje poszli do domu.

– Przepraszam – powiedział, gdy znaleźli się w kuchni.

– Za co? Że przywołałeś starego Fischera do porządku? To było zrobione po mistrzowsku. Aż ci zazdroszczę.

Położył jej rękę na ramieniu. Oczy jej błyszczały, ale tym razem nie z gniewu.

– Chcę tylko mieć pewność, że rozumiesz.

– Co rozumiem?

– Że to była reakcja na opinię twego ojca. Jakie byłoby twoje życie, gdybyś nie spełniała jego wymogów? Gdybyś nie była dostatecznie inteligentna? I, za przeproszeniem, ładna?

– Pewno nigdy się nie dowiem. Wstawiłeś się za Corey.

– Jestem orędownikiem straconych spraw, to wszystko.
– Jakie byłoby życie Corey, gdyby nikt jej nie zaakceptował?
– Poradziła by sobie. Jest typem osoby, która przetrwa w każdych warunkach. Uparta i wytrzymała.

– I znowu stajesz w jej obronie.

– Ani myślę.

Pocałowała go. Joe przygarnął żonę, oddając jej pocałunek, gdy nagle poczuł, że ktoś ciągnie go za szorty.

– Jestem długo grzeczna – oznajmiła Corey.

Odsunął się od Samantha i spojrział na małego natręta. Dziewczynka znowu była brudna, a policzki miała czerwone od upału. Zmrużone oczy przypominały szparki.

– Nie dość długo – orzekł. Na twarzy dziewczynki odmalowało się głębokie rozczarowanie. – Ale i tak popływamy – dodał.

Nie uśmiechnęła się ani nie podziękowała, ale znał ją już na tyle dobrze, by wiedzieć, jak bardzo jest mu wdzięczna. Bądź co bądź nie kopnęła go ani nie napluła mu na buty.

To była nie lada frajda, kiedy pan Joe niósł ją do wody. Nie miał takich rąk jak pani Sammy, miękkich i delikatnych. Miał duże, szerokie dłonie, które mogłyby ją zgnieść, gdyby chciał. Trzymał ją tak mocno, że nie mogłaby utonąć.

W pierwszym momencie się przestraszyła. Nie umiała pływać, a gdyby pan Joe rzucił ją tam, gdzie jest głęboko, od razu poszłaby na dno. Po chwili jednak nabrała pewności, że on wcale nie ma zamiaru jej puścić. Pani Sammy ją lubi. Jak wytłumaczyłby pani Sammy, że Corey leży gdzieś na dnie jeziora?

To było jezioro, nie żaden staw, jak mówiła pani Sammy. Pan Joe powiedział jej, że najpierw był tu tylko strumień u stóp wzgórza, ale jego brat Francis sprowadził buldożer i maszyny, i zrobił jezioro. Nie mogła sobie tego wyobrazić. Żałowała, że wtedy jej tu nie było, żeby mogła to zobaczyć na własne oczy.

Wcale nie miała ochoty wychodzić z wody. Pan Joe wyniósł ją na brzeg i zawinął w ręcznik. Wtedy poczuła się jak inne dzieci. One też były mokre i całe się trzęsły. Mary Neli spytała, czy chce się pobawić w chowanego, a ona odpowiedziała, że oczywiście. Tylko pan Joe ją napomniął, żeby się znowu za bardzo nie ubrudziła, bo wrzuci ją do jeziora i zostawi.

Uśmiechał się, gdy to mówił. A potem poszedł, żeby pomóc pani Sammy. Corey była ciekawa, czy znowu się całują. Pani Sammy już jej tutaj nie zatrzyma, bo pan Joe nie opuści domu.

Zanim słońce zaszło, większość dzieci rozjechała się do domów. Zostali tylko Erin, Patrick i Shannon. Rodzice pani Sammy i babcia Rosę też odjechali. Corey chciała polubić rodziców pani Sammy, ale nie mogła. Ojciec pani Sammy nigdy się nie uśmiechał, a jej matka wyglądała tak, jakby ciągle coś koło niej brzydko pachniało. Babcia Rose jest inna. Dużo się śmieje i wydaje się, że można by jej usiąść na kolanach. Na pewno jest dobra.

– Hej, Corey, idziesz z nami do fortu?

Oprócz Mary Neli Corey najbardziej ze wszystkich dzieci polubiła Patricka. Miał siedem

lat tak jak ona, rude włosy, które sterczały mu na wszystkie strony tak jak jej dziś rano. Był większy od niej, ale nie miało to dla niego znaczenia.

Corey miała ochotę pójść. Dorośli byli w domu, pili kawę i rozmawiali. Nie przypuszczali, że dzieci się oddalą. Pani Sammy zawsze się niepokoiła, jeśli dzieci nie było w zasięgu wzroku.

Ale Patrick nie chciał iść nad jezioro. Chciał się bawić w forcie. Tak nazywał chatę dla dzieci. Fort. Niech będzie. Corey rozejrzała się dokoła. Erin i Shannon bawili się na ganku z Bella. Byli jeszcze mali i nie mogli nigdzie chodzić sami po ciemku. Ale ona i Patrick nie zgubią się.

Ktoś wyjrzał przez okno. To była pani Teddy. Corey stanęła w takim miejscu, by mogła ją zobaczyć, a gdy pani Teddy zniknęła z okna, pobiegła za Patrickiem. Ruszyli do fortu.

– Co chcesz robić? – spytała, gdy zatrzymali się przed wejściem.

– Chodźmy do środka. Zobaczymy, czy są tam duchy.

– Duchy?

– Tak, duchy Indian. Wszędzie tu byli kiedyś Indianie. Tatuś mi mówił.

Weszli do środka. Było ciemno. Wnętrze nie wyglądało zachęcająco.

– Nie podoba mi się tutaj – stwierdziła Corey.

– Zaraz cię dopadną duchy.

– Żadnych duchów tu nie ma.

– Są, tylko ich nie widać.

Corey mu nie wierzyła, ale na zewnątrz rozległ się jakiś odgłos przypominający jęk. Czasem kiedy mama zostawiała ją samą w nocy, ze strachu przed duchami zapalała wszystkie światła. W forcie jednak światła nie było.

– Wracam – zdecydowała.

– Tchórz.

Patrick miał rację, co ją tym bardziej rozzłościło.

– Wcale nie!

– Chcesz zobaczyć, czy są tu duchy?

– Jak? – Zatrzymała się w progu.

– Zapal światło.

– Jak?

– Zaraz ci pokażę. – Patrick poszedł do kamiennego ogrodzenia tuż nad wodą. Były tam jeszcze żarzące się węgle spod grilla. Rożen był odsunięty, a więc łatwo można było sięgnąć do paleniska.

– Weźmiemy trochę żaru do fortu i rozpalimy ognisko. Będzie wszystko widać.

Corey nie była tego wcale taka pewna. Nie miała nawet pojęcia, jak wyciągnąć węgiel. Zanim zdążyła się zastanowić, Patrick zszedł na brzeg i wrócił z metalowym wiaderkiem, którego dzieci używały przy budowaniu zamków z piasku.

– Nałożymy go tutaj. – Zgarnął patykiem trochę żaru. – Przynieś jakieś” drewno.

Teraz i Corey ogarnęło podniecenie. To będzie ich własne ognisko obozowe. Tak jakby przez cały czas mieszkali w forcie. W pobliżu znalazła trochę gałęzi i mały pniak. Weszła za

Patrickiem do chaty. Drewno było suche, a węgiel jeszcze gorący. Przez okna i drzwi wiał wiatr. Ognisko zapłonęło natychmiast.

– Patrz. Nie ma duchów. Mówiłam ci. Patrick wyglądał na rozczarowanego.

– Przyniosę więcej drewna. Tu są duchy. Ja to wiem – upierał się.

Powietrze było chłodne, a ogień gorący. Corey była szczęśliwa, siedząc przy ognisku. Patrick wrócił z naręczem chrustu. Płomienie wystrzeliły wysoko w górę.

– Wciąż nie ma duchów – stwierdziła Corey. Obserwowała płomienie sięgające już niemal dachu. Patrick naprawdę umiał rozpalić ognisko.

– Chyba masz rację zgodził się.

– Pani Sammy będzie się martwić, gdzie jesteśmy.

– No. – Chłopiec wstał, Corey również. – Musimy zgasić ogień.

– Podłoga była usłana igliwem. Patrick wkopywał je w ognisko, ale płomienie były coraz wyższe i coraz jaśniejsze. Zmarszczył czoło. Corey widziała, że się zaniepokoił.

– Należymy wody – powiedziała, przypominając sobie o wiaderku.

Pobiegli na brzeg. Nabrała pełne wiaderko wody. Przez okna i drzwi chaty wydobywał się dym. Płomienie dosięgły dachu. Od strony domu usłyszała głos pani Sammy. Wołała ją.

– Dobrze, że nikomu nic się nie stało – powiedziała Samantha.

– I ogień nie rozprzestrzenił się na las. Mamy szczęście, że nie wzniecili pożaru lasu.

– Dlaczego to zrobili? – Joe ogarnął wzrokiem kupę popiołu, w jaki zmieniała się chata zbudowana przez niego dla dzieci, których nigdy nie będzie miał.

– Corey mówiła, że szukali duchów.

– Patrick upiera się, że to był jego pomysł. Jest bardzo rycerski.

– Cóż, jutro będzie miał raczej kwaśną minę. Johnny wychowuje dzieci tak jak nas wszystkich wychowywano. Lanie, przebaczenie, zapomnienie.

– Joe, przykro mi. Tak się napracowałeś. Ta chata była piękna. Dzieciom będzie jej bardzo brakowało. Tak lubiły się tu bawić.

– Corey powinna zostać ukarana.

– Dlaczego? – obruszyła się Samantha. – Wie, że zrobiła coś złego. Była potwornie przerażona, gdy wybuchł pożar. Czy to nie wystarczy?

– Wiedziała, że powinna bawić się koło domu, że nie wolno jej iść nad wodę bez dorosłych. Wiedziała o tym od pierwszego dnia tutaj.

– Myślę, że została już wystarczająco ukarana. Proszę cię. Daj temu spokój.

– Przedtem mówiłaś, że potrzebujesz mego rozsądku. Teraz jest najlepsza okazja, byś z niego skorzystała. Jeśli ona pomyśli, że wszystko ujdzie jej na sucho, będzie sobie pozwalać na coraz więcej. – Joe rozłożył ręce. – Tak ci jej żal, że nie jesteś w stanie trzeźwo myśleć.

– A ty masz jej już dość.

Najpierw poczuł się urażony, a potem zły.

– Ona nas dzieli, a ty na to pozwalasz.

– Nie. To nie Corey nas dzieli, tylko ty.

– Chcesz, żeby u nas była, ale nie chcesz, żebym miał cokolwiek do powiedzenia w kwestii jej zachowania. Czy takie mają być zasady?

– Znam ją lepiej niż ty.

– Ona zniszczyła coś, co dużo dla mnie znaczyło. Wolałbym mieć pewność, że rozumie zasady panujące w tym domu, że będzie ich przestrzegać i niczego więcej nie zniszczy.

– Dopierają przerażisz.

– Nie wierzysz mi już nawet, że potrafię postępować uczciwie? Milczała.

– Co się z nami stało, Samantha?

Tym razem też nie odpowiedziała. Albo nie umiała odpowiedzieć.

Joe wbiegł na górę, przeskakując po dwa schody naraz. Pod drzwiami Corey zatrzymał się na moment, ale postanowił nie pukać.

Pchnął drzwi. Odwróciła głowę. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Musimy porozmawiać – powiedział.

– Będzie mnie pan bić? – spytała.

– Nie, nie biję małych dziewczynek. Oczy błyszczały jej nieufnie.

– Naprawdę na zbyt wiele sobie dzisiaj pozwoliłaś, Corey. Poszłaś nad wodę, wzniciłaś ogień w chacie, która się spaliła. Czy zdajesz sobie sprawę, że to bardzo poważna sprawa?

– Mama mówiła, że jestem zła. Taka się urodziłam.

– Cóż, myliła się. – Joe podszedł bliżej. – Nikt nie rodzi się zły. Czasami tylko ludzie robią złe rzeczy.

– Ja robię dużo. – Przesunęła się na drugą stronę łóżka, jak gdyby nie wierzyła, że jej nie uderzy.

Zatrzymał się.

– Powiedziałem, że nie będę cię bił, więc nie będę.

– Zawsze tak pan patrzy, jak by pan chciał mnie bić.

– Nie chcę cię bić. – Nie było to stwierdzenie do końca prawdziwe, ale bliskie prawdy. – Tylko że ty mnie rozgniewałaś. Zbudowałem tę chatę, a teraz jej nie ma. Mogłaś zostać ranna tylko dlatego, że jesteś nieposłuszna. Jesteśmy za ciebie odpowiedzialni. Musisz robić to, co ci mówimy.

– Pani Sammy nie jest zła. Mówi, że tego nie chciałam.

– Chciałaś pójść do wody, prawda? I chciałaś wznicić ogień? Milczała.

– A poza tym ważne jest to, co robimy, a nie to, co chcemy lub czego nie chcemy. – Joe czuł się bezsilny. O wiele lepiej byłoby dać Corey nauczkę, pozwolić jej pozbyć się poczucia winy. Ale Samantha zdecydowała inaczej. Teraz jedyne, co mógł zrobić, to mówić, a samo mówienie było prawie bezużyteczne.

– Chciałbym, żebyś mi jutro po lekcjach pomogła. Muszę uprzątnąć to wszystko tam, nad wodą.

– Nie chcę panu pomagać. Zostaję w domu z panią Sammy. Joe odwrócił się. W drzwiach stała Samantha. Czekał, żeby go poparła, ale ona milczała.

– Idź już spać – zwróciła się do Corey, podchodząc do łóżka. Joe położył jej dłoń na ramieniu.

– Chodź, przecież już powiedziałyście sobie dobranoc. Samantha była zła, ale nie protestowała. Odwróciła się i powoli wyszła z pokoju.

ROZDZIAŁ 11

kartce widniały tylko dwa słowa: „Wybacz mi”. Joe włożył ją z powrotem do koperty i przypatrzył się okazałej paproci, do której dołączono kartkę. Nie była podpisana, ale podpis nie był potrzebny. Poznał od razu ten wdzięczny, kobiecy charakter pisma.

– Naprawdę mi przykro – usłyszał znajomy głos od progu.

– To nie było konieczne. – Podniósł wzrok znad koperty.

– Może i nie, ale miłe. Poza tym, zawsze mnie dręczyło, że masz taką dużą piękną ścianę i całkiem pustą. Aż się prosi, żeby coś na niej zawiesić.

– Skąd wiedziałaś, że jeszcze tu jestem?

– Wiem, jak wygląda pierwszy dzień w szkole. Zresztą przyszłam trochę wcześniej, niż zamierzałam. Nie masz już żadnych spotkań?

– Lepiej, żeby ich nie było, bo nie zostanę tu ani chwili dłużej.

– Nawet żeby wywiercić dziurę i powiesić doniczkę?

– Zrobię to, ale potem już mnie nie ma.

Uśmiechnęli się do siebie. Samantha wyglądała fantastycznie w nowej sukni, którą kupiła specjalnie na rozpoczęcie roku szkolnego. Włosy miała rozpuszczone i podpięte z obu stron grzebykami, na nogach pantofle na płaskim obcasie, żeby nie wydawała się zbyt duża swoim nowym pierwszoklasistom.

– I jak było? – spytała.

– Chaos i zamieszanie. Bez przerwy ktoś przychodził z jakimiś sprawami, a to uczniowie, a to nauczyciele. Miałem ochotę zamknąć ich tu wszystkich na klucz i przetrzymać do czerwca.

– To by rozwiązało parę twoich problemów.

– Ale przysporzyło sporo innych, gdyby dowiedziały się o tym władze.

– To prawda. – Podeszła bliżej. – Wyglądasz na zmęczonego.

– Ty też. Jak było u ciebie?

– Zwyczajnie. Troje dzieci wydierało się przez godzinę, inna trójka przez cały dzień. Jedna matka dwa razy dzwoniła i raz wpadła tylko po to, żeby zobaczyć, co robi jej ukochana pociecha.

– Denerwowała się, bo musiała ją zostawić?

– Tylko ona. Jej syn odżył, kiedy wyszła. Cały dzień gwizdał.

– Myślisz, że ten rok będzie dobry?

– Inny niż poprzedni.

– Jak to?

– Łatwiejsza klasa, bo bez Corey.

– Za to masz ją w domu – zauważył.

– Ale tylko ją jedną. – Podeszła jeszcze bliżej.

– A gdzie ona jest teraz?

– W domu z opiekunką.

– Co takiego?

– Poprosiłam jedną z dziewcząt Insleyów, żeby z nią posiedziała. Pomyślałam, że moglibyśmy pójść gdzieś na kolację.

Uświadomił sobie, że był to ze strony Samantha gest dobrej woli w stosunku do niego. Nie miał wątpliwości, że nie może się już doczekać, żeby Corey opowiedziała im o swoim pierwszym dniu w szkole. Na pewno zresztą coś już wiedziała na ten temat. Zrezygnowała jednak z rodzinnej kolacji i zdecydowała się zostawić dziewczynkę w domu, żeby spędzić wieczór z nim. Tym samym dawała do zrozumienia, że on jest dla niej ważny, że zależy jej na tym, żeby się porozumieli.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Chyba że nie chcesz nigdzie ze mną iść.

– Chcę gdzieś z tobą pójść. – Przyniósł się tak, że znalazła się w jego ramionach. Pachniała jak róża i wyglądała jak róża.

– Prawdę mówiąc, miałbym największą ochotę zabrać cię do domu, prosto do łóżka i kochać się z tobą – wyznał. Usłyszał jej przyspieszony oddech. – Ty też, prawda?

– Joe, lubię, kiedy tak mówisz.

– Od dawna tego nie mówiłem. Jakoś zapomniałem. – Przytulił ją mocniej.

– Może powinniśmy pojechać do motelu?

– W Foxcove zawsze brakuje pokoi na godziny.

– Na to zaimprovizujemy coś. Czy nie ma łóżek w szkolnym ambulatorium?

– Myślę, że spędzimy ten wieczór na oczekiwaniu. – Uniósł jej twarz i złożył na jej ustach długi, namiętny pocałunek. Miała delikatne, wrażliwe wargi. Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, jej oczy błyszczały podejrzenie.

– To nowy rok, Joe. Nowy początek.

– Masz rację. Należy to uczcić. – Poglądził ją delikatnie po włosach.

– Gdzie?

– Tam, gdzie mają w karcie kurczaki z rożna. Samantha spojrzała na niego pytająco.

– Jeśli miałbym zgadywać, powiedziałbym, że kurczak to ulubiona potrawa Corey, prawda? – dodał po chwili.

– Corey? – zdziwiła się.

– To także jej pierwszy dzień w szkole. Pojedźmy po nią. A później wybierzemy się razem gdzieś za miasto, gdzie nikt ze znajomych nie będzie mógł zobaczyć, jak ona je.

Samantha roześmiała się ze łzami radości w oczach.

– I tak ją nakarmimy, że zaśnie już w samochodzie, a my będziemy mogli mówić różne podniecające....

– Prowokujące...

– Namiętne...

– Erotyczne...

– Lubieżne rzeczy. – Opuścił rękę.

– Na przykład co będziemy robić w nocy?

– Dobry początek.

- Jesteś najlepszy, Joe. Zawsze będziesz.
- Nie spytałem, w czym najlepszy. – Objął ją i poprowadził w kierunku drzwi.
- Nie zawiesiliśmy paproci – przypomniała sobie Samantha.
- Przyjdziemy tu jutro i powtórzymy wszystko od początku.
- Warto powtórzyć, prawda? – Przytuliła się do niego.

Corey podskakiwała na tylnym siedzeniu samochodu, gdy zjeżdżali autostradą w dół.

- Ściągnij pas – powiedział Joe. – Jest za luźny, to może być niebezpieczne.

Dziewczynka wyprostowała się i przestała podskakiwać, ale nie ściągnęła pasa. Samantha odwróciła się i zrobiła to sama.

- Tak ma być.
- Nie mogę oddychać!
- Ale mówić możesz? – włączył się Joe. – A więc i możesz oddychać.
- Chciałby pan, żebym nie mogła.
- Czego? Oddychać czy mówić?
- Pani Sammy!

– Ja bym chciała, żebyś przestała wykrzykiwać – powiedziała Samantha. – Pan Joe ma rację. Pas był za luźny.

- Mama nie kazała mi zapinać pasa!

Zapanowała cisza. Samantha spojrzała na Joe. Wzruszył ramionami.

- Moja mama nigdy mi nic nie kazała.

- Święta Vema – wycedził Joe przez zęby.

– Dlaczego nie opowiesz panu Joe o swojej nowej nauczycielce? – zagadnęła Samantha w nadziei, że dziewczynka się uspokoi.

– Właśnie – podchwycił Joe. – Czy to taka sama stara wiedźma jak ta, która uczyła cię w zeszłym roku? Z brodawką na nosie i bez zębów? Przyjeżdża do szkoły na miotle?

Z tylnego siedzenia nie padła żadna odpowiedź.

- Chyba nie – ciągnął dalej Joe.

- Nie jest taka ładna jak pani Sammy!

- Nikt nie jest taki ładny jak pani Sammy – zgodził się Joe.

- I krzyczała na mnie.

- Naprawdę? – Joe był w stanie to zrozumieć. Sam zrobił to raz czy dwa.

- I powiedziała, że nie czytam dość dobrze, żeby być w pierwszej grupie – skarżyła się.

- Cóż, ja też w twoim wieku nie czytałem najlepiej.

- Aleja lepiej czytam, niż ona myśli. Tylko że mi się nie chciało.

- Nie rozumiem? – zdziwił się Joe.

– Bo książka była głupia. Już ją czytałam. Nieoczekiwanie dla siebie Joe bardzo się zainteresował. Samantha poznała to po wyrazie jego oczu.

- Czytałaś? Kiedy?

- Rano. Jak wszyscy dodawali i odejmowali.

- A dlaczego ty nie dodawałaś i odejmowałaś?

- Bo już to zrobiłam. Wzięłam się za następną stronę i znowu było źle. Znowu krzyczała.

– Corey, nigdy nie słyszałam, żeby panna Simpson krzyczała na kogokolwiek. Chyba przesadzasz – powiedziała Samantha.

– Ona mnie nie lubi.

– Czy to możliwe? – zwrócił się do Samantha Joe. Czekał na odpowiedź. Lekko wzruszyła ramionami.

– Wychodziliście na dziedziniec na dużej przerwie? – spytała Samantha, starając się zmienić temat na przyjemniejszy. – Nie widziałam twojej klasy.

– Byliśmy tam.

– Bawiłaś się? – Samantha pamiętała, że w ubiegłym roku Corey często spędzała przerwy sama, bo dzieci nie chciały mieć z nią nic wspólnego.

– Trochę. Mary Neli się ze mną bawiła.

Samantha poczuła głęboką wdzięczność do córki Polly. Była lubiana przez wszystkich, i kolegów, i nauczycieli. Jej przyjaźń może dać Corey więcej niż ktokolwiek z dorosłych mógłby dla niej zrobić. Może wreszcie zostanie zaakceptowana.

– A potem Jennifer Hansen powiedziała, że podoba jej się moja nowa sukienka.

Samantha poczuła głęboką wdzięczność również do Jennifer.

Zatrzymali się przed restauracją usytuowaną z dala od autostrady. Miała pomalowane na żółto ściany i błyszczącą podłogę z desek sosnowych. Menu było bardzo urozmaicone. Specjalność zakładu stanowiło barbecue. W sali unosił się zapach mięsa z rożna i przypraw.

Corey aż zaniemówiła. Samantha nie wiedziała, czy dziewczynka była kiedykolwiek w prawdziwej restauracji. Zabierali ją już do barów szybkiej obsługi, ale tym razem było to dla niej zupełnie nowe doświadczenie.

Joe zorientował się, że dziewczynka trochę się boi.

– Chcielibyśmy stolik koło okna – zwrócił się do kelnerki. – Dla jednego z nas jest to pierwszy pobyt w takim miejscu i osoba ta chciałaby wszystko widzieć.

– Czyż to nie interesujące? – Kelnerka pochyliła się, by się przyjrzeć Corey. – Masz ciemne oczy taty i jasne włosy mamy. Co za połączenie. Niektórzy to mają szczęście.

Samantha nie wiedziała, co powiedzieć. Corey patrzyła na kelnerkę, wyraźnie zakłopotana.

– W części dla niepalących, jeśli można – dodał Joe.

– Oczywiście.

Usiedli przy stoliku. Samantha i Joe sączyli mrożoną herbatę, Corey popijała lemoniadę. Samantha wciąż miała w uszach słowa kelnerki. Mogła sobie wyobrazić, co myśli Joe.

– Skąd ona wie, jakie mój tata ma oczy? – spytała Corey. – A moja mama nie miała jasnych włosów.

– Miała na myśli nas – wyjaśniła Samantha. – Joe i mnie.

– Pomyślałam, że może zna mego tatę. – Corey nie wydawała się nieszczęśliwa z powodu tego nieporozumienia – Nigdy go nie widziałam. Mama nic mi o nim nie mówiła. Nie wiem, jak on wygląda.

– Czy widzisz w karcie coś, na co miałabyś ochotę? – spytała Samantha. – Mają kurczaka z rożna, żeberka, hamburgery.

– Ona myślała, że pani jest moją mamą, a pan Joe moim tatą. – Corey zerknęła z ukosa na Joe. – Ma oczy jak ja.

Joe zmrużył oczy.

– Oczy, powiadasz?

– A idź! – zachichotała Corey.

– Nigdzie nie idę. Zostaję tutaj. Zjem żeberka, kukurydzę i sałatkę z ziemniaków.

– Ja też. – Corey nawet nie spojrzała na kartę dań dla dzieci.

– I ja – dodała Samantha. – A na deser ciasto cytrynowe.

– Ja też.

– I ja – uśmiechnął się Joe.

Teraz wszyscy się roześmieli jak na komendę. Samantha obserwowała, jak oczy Corey rozszerzają się, a powieki marszczą, kiedy jest szczęśliwa. Podobnie jak u Joe. Spuściła wzrok, zbyt przepelniona uczuciami, by móc bez wzruszenia patrzeć na dwie osoby, które kochała najbardziej na świecie.

– Śpi jak suseł – powiedziała Samantha, schodząc na palcach do salonu. Zamknęła za sobą podwójne drewniane drzwi, żeby zapewnić sobie i Joe wymarzony spokój. – Była zmęczona i przejeżdżona. Chyba zjadła więcej niż zazwyczaj.

– Mam nadzieję, że jej nie zaszkodzi.

– Wydaje mi się, że dobrze się czuje, ale jeśli coś się będzie działo, to wstanę. Przecież to ja się zgodziłam i powiedziałam „tak”.

– To słowo zbyt łatwo przechodzi ci przez usta.

– Czyżbym miała zamienić je na „nie”, panie Joe? – Uśmiechnęła się uwodzicielsko. – Właśnie teraz?

– Nie ma mowy. – Joe napalił w kominku, mimo że noc nie była zimna.

Samantha przytuliła się do męża.

– Jest bosko, ale przecież powinniśmy popracować. Ja muszę skończyć plan lekcji. A ty, na ile cię znam....

– Ja przypuszczalnie w tym roku nie będę musiał nic robić – wpadł jej w słowo Joe. – Zbyt ciężko pracowałem przez ostatnie sześć miesięcy, a może i dłużej.

To znaczy od dnia, kiedy mu powiedziano, że nigdy nie zostanie ojcem. Samantha wiedziała o tym i wzruszyło ją, że sam to wreszcie przyznał.

– W tej sytuacji – powiedziała – wykorzystam zeszłoroczny plan i zapomnę o pracy.

– Och, ja mam dla ciebie zajęcie.

– Mam nadzieję, że takie, któremu podołam.

– Jesteś do niego stworzona.

– Jestem stworzona dla ciebie, Joe.

– Czasem wydaje mi się, że faktycznie tak jest. – Joe delikatnie pieścił jej kark. – Że to przeznaczenie nas ze sobą zetknęło. Że tamtego wieczoru wiedziałeś, że czekam na ciebie w La Scali.

– Nie oddałabym ani chwili z naszego wspólnego życia.

– A ja mógłbym oddać jedną lub dwie.

– Dlaczego? Bo były trudne? Kto wie, czy nie czekają nas trudniejsze. Co to ma za znaczenie, skoro przejdziemy przez nie razem.

– Przejdziemy przez nie? Razem?

Wiedziała, że nie był jeszcze gotów, by porozmawiać o ich problemie. Ale po raz pierwszy prosił, by dodać mu sił. Tego nigdy przedtem nie robił. Kochała go za to jeszcze bardziej.

– Musimy przejść przez to razem – powiedziała. – Jesteś dla mnie wszystkim, Joe. Nie potrafiłabym uporać się z tym sama. Jednak gdybym musiała, zrobiłabym to, ale w środku byłabym zupełnie pusta. Ta część, którą wypełniasz ty, byłaby pusta.

– Gdybym oszedł z twego życia, miałabyś dziesiątki mężczyzn na moje miejsce.

– Żaden z nich nie byłby tobą.

– Ale każdy mógłby ci dać dzieci.

Spojrzała w jego oczy i dostrzegła w nich rozpacz. Potrząsnęła głową.

– Żaden z nich nie zastąpiłby ciebie.

– Musiały być takie chwile w ciągu minionych miesięcy, kiedy chciałaś, żebym był kimś innym.

– Były takie chwile w ciągu minionych miesięcy, kiedy chciałam, żebym to ja była kimś innym, kimś, kto wiedziałby, co powiedzieć albo co zrobić, żeby wszystko było znowu jak dawniej.

– Ty za nic nie ponosisz winy.

– Ale powinnam umieć ci pomóc.

– Pomogłaś bardziej, niż ci się zdaje. – Nie rozwodził się nad szczegółami. Gładził jej ciało, pieścił i przepraszał dłońmi.

Dotknęła kciukiem jego ust. Kochała jego twarz, wysoko sklepione kości policzkowe, mocną szczękę, czarne brwi i przepastne oczy, które czyniły go tak niebezpiecznie pociągającym. Najpierw zakochała się w tej twarzy, potem w sylwetce, w długich nogach, szerokich barkach i muskularnych ramionach. W końcu, ale tak szybko, że wydało jej się to wręcz niemożliwe, zakochała się w nim całym.

– Chciałabym bardziej ci pomóc – szepnęła, dotykając ustami jego warg. – Teraz już nawet wiem jak.

– Ale kto komu ma pomóc? – Oczy mu błyszczały.

– Jestem pewna, że wzajemnie.

– Naprawdę? – Zacisnął ramiona wokół jej talii. – Skąd ta myśl?

Przesuwała dłonie wzdłuż jego ciała. Sięgnęła spodni. Poczuł, jak rozpina mu pasek.

– Nie odpowiedziałaś. Przechodzisz od razu do czynów. To jest fair?

– W miłości wszystko jest fair.

– A co z resztą?

– Nie ma żadnej reszty. Nie ma żadnej wojny. Jest tylko miłość, Joe. Tylko miłość.

Nagle się obudziła. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest, później przypomniała sobie, że mieszka teraz u pani Sammy. Spojrzała na sufit i zobaczyła tańczące cienie. Już się

ich nie bała. Traktowała je jak przyjaciół, którzy przychodzą każdej nocy, by dla niej zatańczyć, kiedy pani Sammy myśli, że ona śpi.

Słyszała jakiś hałas na korytarzu obok swego pokoju. To pani Sammy się śmiała. Corey poznawała ten dźwięk. Śmiech pani Sammy był jak muzyka. Pan Joe nie śmiał się często, ale kiedy to robił, brzmiało to zupełnie inaczej, jak werble na pochodzie. Teraz usłyszała również jego śmiech i domyśliła się, że i on przeszedł obok jej pokoju.

Zerknęła przez uchylone drzwi i zobaczyła ich. Pan Joe obejmował panią Sammy. Wydawali się szczęśliwi.

Ona nie czuła się szczęśliwa.

Podeszła do okna. Nie widziała z niego żadnego domu, tylko drzewa i lśniąca w blasku księżyca tafle jeziora. Ten widok sprawił, że poczuła się jeszcze bardziej samotna.

Zastanawiała się, czy jej tata kiedykolwiek czuł się samotny. Chyba nie. Mama mówiła, że nie miał żadnych uczuć. Mama mówiła, że opuścił ją, jeszcze zanim Corey się urodziła, a kiedy sędzia kazał mu na nią płacić, nie robił tego. Mama często to powtarzała. Właściwie to było wszystko, co o nim mówiła. Z wyjątkiem tego dnia, kiedy pojechali do Karoliny Południowej, żeby go poszukać. Wtedy mama powiedziała, że to podły typ i że Corey może z nim mieszkać, bo i ona jest niewiele warta.

Rozbolał ją żołądek. Dawniej też czasem ją bolał, ale nie tak jak teraz. Wtedy wiedziała, że jeśli cokolwiek zje, poczuje się lepiej. Teraz nie sądziła, by jedzenie wiele pomogło. Nie chciała w ogóle myśleć o jedzeniu.

Sięgnęła po misia, który leżał na stoliku. Pani Sammy kupiła jej również lalkę, z jasnymi włosami i głupim uśmiechem. Corey nie miała pojęcia, dlaczego ta lalka się śmieje. Najbardziej lubiła misia, ale prawie tak samo książki. Wybrała jedną i usiadła przy oknie, by padało na nią światło księżyca.

Była to historia małej sarenki, która straciła swoją mamę. Żałowała, że nie wybrała innej książki. Przerzuciła kartki do miejsca, gdzie sarenka o imieniu Bambi przychodzi na świat. Jej mama była naprawdę szczęśliwa, chociaż musiała wychowywać swoje dziecko w lesie. Przerzuciła jeszcze parę stron do miejsca, gdzie mama uczy Bambi różnych rzeczy. A później była ta część, gdzie mama ginie zastrzelona przez myśliwego.

Corey była smutna, że jej mama umarła, ale nie tak jak myślała pani Sammy. Była smutna, bo nie mogła być dostatecznie smutna. Trudno to wyjaśnić. To zabawne, ale pomyślała, że może pan Joe, taki okropny jaki jest, by to zrozumiał. Ale gdyby Corey powiedziała o tym pani Sammy, mogłoby być jej przykro. A ona nie chciała, żeby pani Sammy było przykro. Nigdy.

Żołądek bolał ją coraz bardziej. Odłożyła książkę, wzięła misia i wróciła do łóżka. Przyciskała go mocno do brzucha, ale i to nie pomagało. Czuła się coraz gorzej. Wszystko jej się mieszało. Śmiech pani Sammy w korytarzu i śmiech pana Joe. Mama Bambi taka szczęśliwa, a później umierająca. Jej mama zła na nią i jej tatę, a później umierająca. Pani Sammy, która chyba jej nie potrzebuje, bo jest teraz szczęśliwa z panem Joe.

Zamknęła oczy i cienie z sufitu odeszły.

Joe najpierw usłyszał skrzypnięcie drzwi do łazienki, a zaraz potem jęk. Natychmiast się rozbudził. W ułamku sekundy zorientował się, o co chodzi. Odwrócił się do Samandiy, ale ona spała snem szczęśliwej, zakochanej kobiety. Nie miał serca jej budzić. Usiadł i sięgnął po spodnie. Wciągał je jeszcze, gdy biegł do łazienki.

Stanął w drzwiach. Zobaczył kłęczącą na podłodze dziewczynkę z głową pochyloną nad sedesem. Odgarnął jej włosy z twarzy i bąkał jakieś słowa pociechy, gdy pozbywała się resztek kolacji.

– Źle się czuję – wyjąkała Corey.

– Ciii... – Jeszcze raz odgarnął jej włosy z czoła.

– Nic nie poradzę!

– Oczywiście, że nie. – Pogłaskał ją po karku. Pamiętał, jak kiedyś trzymał głowę Magdaleny, kiedy jeszcze jako nastolatka trochę za dużo wypila, i robił wszystko, żeby nie obudziła matki. Magda była później jego dłużnikiem i przez cały miesiąc prasowała mu koszule.

– Niech pan nie mówi pani Sammy! – Corey z trudem uniosła głowę.

Joe domyślił się, że skończyła. Wziął świeży ręcznik i zmoczył go.

– Dlaczego mam nie mówić?

– Będzie się martwić i w ogóle.

To dziecko jest jedyne w swoim rodzaju, pomyślał. Zawstydział się nagle.

– Nie zaszkodzi, jeśli troszkę się pomartwi – powiedział. – Martwi się, bo bardzo cię lubi.

– Nie chcę, żeby była smutna przeze mnie.

Uznał, że za tym zdaniem kryje się coś więcej. „Ponieważ ja wiem, co to znaczy się martwić”.

– Na pewno skończyłaś? Skinęła głową.

– A więc zobaczymy, czy dasz radę wstać.

Pomógł jej się podnieść, sam usiadł na brzegu wanny i przyciągnął ją do siebie, żeby umyć jej twarz. Drżała. Wziął ją na kolana.

– Tak będzie wygodniej – orzekł.

Nachmurzyła się, ale udawał, że tego nie widzi. Wciąż się trzęsła. Umył jej czoło, potem policzki. Była przeraźliwie blada.

– Trochę ci lepiej? – spytał. Przytaknęła. Był pewien, że niechętnie.

– Wiesz, to się może każdemu zdarzyć. Nie powinniśmy ci pozwolić na drugą porcję deseru. Po prostu za dużo zjadłaś.

– Nie mogę zjeść za dużo.

– Obawiam się, że możesz. Zwłaszcza jeśli kolacja jest tak dobra jak ta dzisiejsza. Sam zjadłem za dużo.

– Pan?

– Tak. Musisz kiedyś spróbować spaghetti mojej mamy. Wtedy dopiero przekonasz się, co naprawdę jest dobre. – Usłyszał swoje słowa i nagle zamilkł. Nie ma prawa ani powodu rozmawiać z tym dzieckiem o przyszłości.

– Lubię babcię Rosę. Dlaczego ma pan miłą mamę, a pani Sammy nie?

- Miałem szczęście. Niestety, rodziców nie możemy sobie wybierać.
- Ja wybrałam panią Sammy.
- Wiem. – Zsunął ją z kolan. – Lepiej się czujesz?
- Jasne. – Podniosła głowę. Wciąż była biała jak płótno.
- Wyplucz sobie usta. – Napełnił kubek zimną wodą. Zrobiła to, co jej kazał.
- Chodź, zaprowadzę cię do łóżka.
- Pan? – Widać było, że to dla niej absolutnie nieprawdopodobne zakończenie tego wieczoru.

– Czy widzisz tu kogoś innego, kto mógłby to zrobić? Popatrzyła na niego, dziewczynka z dużymi ciemnymi oczami i rozwichrzonymi jasnymi włosami. Przez chwilę wyobraził sobie, jak wyglądałaby jako kobieta, gdyby dano jej szansę. Agresywna, inteligentna, ciekawska, ładna – a może nawet więcej niż ładna.

- Wiesz, Piwnooka, że jesteś całkiem ładnym dzieciakiem.
- Nie jestem.
- Ależ jesteś. Nie pozwól, żeby ci ktokolwiek mówił, że jest inaczej.

Pomyślał o tych wszystkich ludziach, którzy prawdopodobnie będą to robić, począwszy od ojca, pasożyta, którego stan Karoliny Północnej tak rozpaczliwie szuka. Ogarnęła go złość. Przez chwilę miał ochotę przytulić Corey i dać jej trochę swojej siły, której będzie potrzebowała, by poradzić sobie w przyszłości. Ale kiedy spojrzał w jej buntownicze ciemne oczy, przekonał się, że w niej jest ta siła.

– Przemkniemy się po cichutku, żeby nie obudzić pani Samantha – powiedział, wyciągając do niej rękę.

Nie bardzo wiedziała, czy pozwolić mu wziąć się za rękę. Czekał. W końcu chwycił go. W sypialni otulił ją kocem i przysiadł na skraju łóżka.

- Potrzebujesz jeszcze czegoś? – spytał. Oczy jej się kleiły.
- Mama Bambi umarła – powiedziała.

Nie miał pojęcia, jaki to może mieć związek z wydarzeniami dzisiejszego dnia. W ogóle nie miał pojęcia, o co chodzi.

- Aha, chyba umarła.
- Ale tata go znalazł. W lesie.

Joe coś sobie przypominał, jak przez mgłę. Bambi to była sarenka z filmu, którego nigdy nie chciał oglądać. Nie lubił filmu o Bambi i żadnych innych, w których zwierzęta umierały.

- Mój tata jest niedobry – powiedziała Corey. Podejrzewał, że ma rację.
- Nie możesz tego wiedzieć, Piwnooka.
- Mama mówiła.
- Może się myliła.
- Chciałabym mieć ta... – nie dokończyła.

Wstał i spojrzał na nią. W świetle nocnej lampki jej twarz wydawała się pełna słodkiej zadumy.

- A ja chciałbym mieć córeczkę – wyszeptał.

ROZDZIAŁ 12

Indyki z brązowego papieru pakunkowego zwisały z sufitu klasy wśród zielonych i złotych wstążek, a z obrazków zawieszonych na ścianach uśmiechali się wodzowie Indian w strojach plemiennych i odkrywcy Dzikiego Zachodu w czarnych kapeluszach.

– Corey, pomóż mi zebrać te książki, dobrze? Dziewczynka chętnie zabrała się do roboty. Gipsu nie miała już od tygodni, a po zranieniach podczas wypadku nie zostało ani śladu.

Brak gipsu nie był jedyną zmianą, jaka nastąpiła w jej wyglądzie. Corey przytyła, zwłaszcza na twarzy, co od razu rzucało się w oczy. Nie była już blada i niedożywiona. Włosy trochę jej urosły i Samantha każdego dnia podpiniała je grzebykami albo zakładała na nie przepaskę, żeby nie spadały jej na oczy. Dziewczynka wyglądała bardzo ładnie.

Tego popołudnia miała na sobie ciemnofioletową bluzkę, dobrane kolorystycznie spodnie i różowe tenisówki. Na każdym palcu nosiła plastikowy pierścionek. Chciała, żeby pozwolono jej przekłuć uszy, tak jak uczyniła to już Mary Neli. Samantha obiecała, że będzie to jej prezent na Gwiazdkę.

Jeśli Corey będzie jeszcze z nimi do tego czasu mieszkała.

– Jestem zmęczona, pani Sammy – powiedziała w końcu dziewczynka. – Mogę już pójść i trochę się pohuścić?

– Dobrze, ale baw się na dziedzińcu. Nie uganiaj się za żadnymi kotami czy ptakami.

– Tylko raz to zrobiłam.

– I wystarczy. Myślałam, że już przepadłaś na zawsze. – Któregoś dnia naprawdę ją straci, to tylko kwestia czasu, pomyślała.

– Obiecuję. – Corey włożyła kurtkę.

Samantha obserwowała ją przez chwilę, po czym wróciła do swoich zajęć. Nie mogła się jednak skupić. Stała przy oknie i wyglądała przez nie, dopóki nie ocknęła się na dźwięk głosu dochodzącego od drzwi.

– Centa za twoje myśli. Co tam, są warte więcej. Dam pół dolara – usłyszała.

Odwróciła się i uśmiechnęła do Polly.

– Wybacz. Moje myśli nie są warte nawet centa.

– Widziałam w holu Corey. Mary Neli też jest jeszcze w szkole. Wyszły razem.

– To dobrze. Przynajmniej będę mieć pewność, że Corey jest w pobliżu. Ona czasem po prostu zapomina, że ktoś się nią opiekuje. Przyzwyczała się, że chodzi, gdzie chce, i robi, co chce. I kiedy chce.

– Cóż, jej życie było inne niż twoje.

– Zgoda.

– Wybierasz się na ognisko?

– Oczywiście, jakże bym mogła nie pójść!

– Wiesz, pomyślałam, że jeśli nie miałabyś nic przeciwko temu, wezmę do nas Corey na całe popołudnie. Będą mogły się pobawić z Mary Neli. A po kolacji przywieziemy ją pod szkołę, do Joe.

– Mary Neli ją polubiła, prawda? – spytała Samantha.

– O, tak, Corey to bystra dziewczynka. Nawet Mary Neli jej słucha.

– Chciałabym, żeby Carol też była tego zdania. – Samantha opowiadała już Polly o nieporozumieniach między Corey a jej nauczycielką, Carol Simpson. Dopóki dziewczynka nie znalazła się w jej klasie, Samantha nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo Carol jest surowa. W miarę upływu czasu stało się jednak jasne, że Carol nie lubi Corey zarówno z powodu jej wybitnej inteligencji, jak też braku dobrych manier i niechlujnego sposobu wysławiania się.

– Nie próbowałaś z nią porozmawiać?

– Nie wiem, co właściwie miałabym powiedzieć. Obawiam się jeszcze bardziej zaostrzyć sytuację, a nie chcę mieć konfliktów z Carol. Mam nadzieję, że wreszcie sama się zorientuje, jaka naprawdę jest Corey, i zmieni swój stosunek do niej. Przecież to chyba nie jest pierwsze wybitnie uzdolnione dziecko, jakie uczy. Powinna mieć już jakieś wypracowane sposoby postępowania.

– O, tak. Zamknąć oczy.

– Polly, jesteś niesamowita – wybuchnęła śmiechem Samantha.

– Co was tak rozbawiło? – zaciekał się Joe, który akurat wszedł do klasy.

– Polly jest niesamowita. – Samantha podeszła, żeby się z nim przywitać. Objęła go za szyję i lekko pocałowała w usta. – Ta koszula powinna być zakazana.

Klasa na zajęciach praktycznych zaprojektowała mu tę koszulę. Cały przód był w czerwonożółte pasy, a na kieszeni wyhaftowano motto szkoły „Stypendium jest twoją własną nagrodą”.

– Odwróć się, Joe – poleciła Polly. – Chcę zobaczyć tył.

Na plecach był naszyty wizerunek buldoga. Kiedyś maskotką liceum w Foxcove* [Fox (ang.) – lis] był oczywiście lis. Gdy nowa żeńska drużyna koszykówki z college’u nazwała się Lisami z Sadler, nie pozostało nic innego, jak zmienić maskotkę.

– Możesz dziś stanąć obok ogniska i rozpaść je tą koszulą – zaproponowała Polly.

I tak przecież musi tam stanąć, żeby wygłosić mowę – rzuciła Samantha.

– Raczej powiedziec parę zagrzewających słów. Dlaczego wygramy jutro ostatni mecz sezonu, mimo że nie wygraliśmy jeszcze ani jednego.

– A wygramy? – zdziwiła się Polly.

– Chyba żartujesz. Połowa drużyny leży w łóżku z gripą, a druga połowa bardzo by chciała leżeć. Coś czuję, że będę musiał sam zagrać.

– Taką grę śledziłabym z prawdziwym zainteresowaniem. Ty w tych ciasnych spodenkach i w ogóle. – Polly klepnęła Joe w ramię. – Nie zapomnij, Samantho, że zabieram Corey. Do zobaczenia wieczorem na ognisku.

– Zabiera Corey? – zdziwił się Joe. – Dokąd?

– Czemu się tak dziwisz? – obruszyła się Samantha. – Zabierają do siebie. Będą się bawić z Mary Neli.

– Ale pamiętasz, że przed ogniskiem jest jeszcze grill. Będą oczywiście hot dogi.

– Wiem, wiem, jakże bym mogła zapomnieć.

- Jesteś zaproszona.
- Może przyjdę. Ochronię cię przed zbyt rozochoconymi nastolatkami.
- Co za szczęście mieć żonę.
- Nie myśl, że nie zauważyłam, jak szaleją na twoim punkcie. Wiem, co się dzieje w sercach i umysłach dziewcząt w tym wieku.
- Naprawdę? Co? – Joe patrzył na nią z prawdziwym zainteresowaniem.
- Coś, o czym żaden chłopak nie ma pojęcia.
- A jak tam z sercem i umysłem nauczycielek ze szkoły podstawowej? Co się w nich dzieje?
- To samo.

Roześmiał się tym swoim głębokim uwodzicielskim śmiechem, który sprawił, że od razu z niechęcią pomyślała o hot dogach z grilla. Wolałaby, żeby nie było tej części imprezy.

– Będę musiał wrócić do szkoły trochę wcześniej, ale może wykroję chwilę czasu, żeby wpaść do domu i... – zawiesił głos – przebrać się.

Była to aż nazbyt oczywista aluzja. Odpowiedziała uśmiechem. Ich stosunki w ciągu ostatniego roku pełne były niebezpiecznych zakrętów, ale Samantha zaczynała pomału wierzyć, że wyszli na prostą. Jeżeli nawet Joe nie był tym samym mężczyzną, którego poślubiła, nie był też tym mężczyzną, który zupełnie się odizolował, dowiedziawszy się o swojej bezpłodności. Był teraz znacznie spokojniejszy i bardziej powściągliwy niż w pierwszych latach ich małżeństwa, ale ból, jaki przeżył, sprawił, że dojrzał, stał się bardziej cierpliwy i wyrozumiały dla innych.

Samantha wciąż tęskniła za ich dawną intymnością, za seksem nie skrepowanym myślą o braku dziecka, za wieczorami spędzonymi na planowaniu przyszłości. Teraz nie rozmawiali już o tym, co będzie, jak gdyby wciąż się tego bali. Jakby ten temat był niebezpieczny. I mimo że w sprawie Corey zapanowało zawieszenie broni, nadal nie ulegało wątpliwości, że gdyby nie odnaleziono jej ojca, Joe nie zechce na stałe przyjąć jej pod swój dach.

Był jednak nadal mężczyzną, którego uwielbiała, jedynym mężczyzną, jakiego pragnęła. Gdy patrzył na nią z pożądaniem w oczach, marzyła o tym, by jak najszybciej znaleźć się w jego ramionach.

– Cieszę się, że was jeszcze zastałem. Samantha poznała głos, zanim jeszcze zobaczyła, kto stanął w progu. Joe przymknął oczy, jak gdyby prosił niebiosa o pomoc.

– Ach, to ty, Ray. – Samantha postąpiła krok do przodu. Doktor Ray Flynn, jedyny psycholog w okolicy, zatrudniony jako szkolny pedagog, nie był ulubionym kolegą Joe. Ani jej. – Masz do nas jakąś sprawę? – spytała.

– Chciałbym, żebyście wpadli do mnie do gabinetu, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– Dziś po południu jestem wyjątkowo zajęty. Samantha też – odparł Joe. – Nie możemy z tym poczekać?

– Myślę, że tak. Choć problem narasta...

Samantha od razu domyśliła się, co, a raczej kto, jest tym problemem.

– A więc dobrze – zgodził się Joe – ale się streszczaj.

Joe prosił o coś zgoła niemożliwego. Ray nie potrafił mówić krótko. Potrzebował całej

minuty, żeby powiedzieć przepraszam, pół godziny, aby opowiedzieć o swej drodze do szkoły, a pół dnia, by zreferować pierwsze parę godzin pracy. Na dodatek był człowiekiem, który nie umiał myśleć perspektywnie i miał dość ograniczone horyzonty.

Chcąc nie chcąc, udali się do gabinetu Raya. Samantha wyczuwała, że woli rozmawiać z nimi tam, gdzie czuje się pewnie. Mógł usiąść za biurkiem i mówiąc, stukać miarowo ołówkiem w blat.

– Siadajcie, proszę. Siadajcie, proszę.

Samantha zastanawiała się, czy Ray będzie każde zdanie powtarzał dwa razy tylko dlatego, że rozmawia z dwiema osobami. Jeśli tak, muszą być przygotowani na dłuższe posiedzenie.

– Przejdę od razu do rzeczy – zaczął Ray, choć na razie omijał właściwy temat. Uważał najwidoczniej, że rozmowa o sprawach obojętnych pozwoli im się rozluźnić. Tymczasem Joe, co było widoczne, panował nad sobą z coraz większym wysiłkiem.

– Rozmawiałem z Carol Simpson o tej dziewczynce.

– O jakiej dziewczynce?

– Cóż, o Corey. Corey Haskins. Ona mieszka u was? Wciąż mieszka u was?

– Tak. – Samantha zacisnęła usta, żeby nie powtórzyć tego dwa razy.

– I zamierzacie nadal ją u siebie trzymać? – Ray był wyraźnie zdeglustowany. Równie dobrze mógłby zapytać, czy Samantha i Joe zamierzają każdego ranka wyrzucać swoje śmieci do holu szkoły.

– Zostanie u nas, dopóki nie znajdą ojca.

– A kiedy to może być? – Ray stukał ołówkiem w blat biurka. – Jak myślicie? Wiecie?

Samantha zaczęła mówić, ale Joe jej przerwał.

– Ani Samantha, ani ja nie jesteśmy jasnowidzami. Opieka społeczna wciąż go szuka. Masz coś przeciwko temu?

– Ja tylko staram się pomóc, Joe. – Wyraz niesmaku nie schodził z twarzy Raya. – Po to mnie zatrudniają.

– My też chcielibyśmy pomóc – włączyła się Samantha – ale nie możemy, dopóki nam nie powiesz, o co konkretnie chodzi.

– Chodzi o to dziecko.

– Masz na myśli Corey?

– Oczywiście. O kim innym miałbym mówić?

– A więc w czym problem? – spytała Samantha, chcąc wreszcie uciąć tę jałową wymianę zdań.

– W zeszłym roku była w twojej klasie. W zeszłym roku.

– Zgadza się.

– Wiesz zatem, jak potrafi się zachowywać. Jaka jest nieposłuszna, arogancka. To ty nalegałaś, żeby jej nie umieszczać w klasie dla dzieci nieprzystosowanych. To był poważny błąd. Bardzo poważny błąd.

Samantha pamiętała, jaka furia ją ogarnęła, gdy w zeszłym roku Ray wspomniał coś na ten temat. Teraz gniew nie pozwolił jej wydobyć z siebie głosu.

– Pozwól, że spytam wprost – włączył się Joe. – Przeprowadziłeś testy. Czy wykazały, że Corey ma jakieś zaburzenia emocjonalne?

Przez chwilę Samancie się wydawało, że Joe chce jedynie utwierdzić się we własnych wątpliwościach. Zauważyła jednak, że nerwowo uderza stopą o podłogę. A to znaczyło, że Ray powinien mieć się na baczności.

– Oczywiście, że przeprowadziłem testy.

– Jakie konkretnie?

– Typowe testy, jakie się robi w takiej sytuacji.

– To znaczy?

– Cóż, musiałbym sięgnąć do akt. Badam wiele dzieci. Nie mogę pamiętać wszystkich testów.

– Wezwałeś nas bez żadnych konkretnych powodów? Nie masz nawet dokumentów, notatek?

– Carol Simpson ze mną rozmawiała. Rozmawia ze mną codziennie.

– Widziałam, jakie postępy zrobiła Corey w zeszłym roku – dodała Samantha. – Nic a nic nie wskazywało na to, żeby odbiegała od normy. Przeciwnie, jest wyjątkowo inteligentnym dzieckiem, które do niedawna było praktycznie pozbawione opieki i kontroli. Nikt nie czuwał nad jej wychowaniem.

– Masz do niej słabość – zauważył z przekąsem Ray.

– Mamy do niej słabość – włączył się Joe. – Oboje. Jeśli panna Simpson ma problemy z Corey, to trzeba jej poradzić, jak ma je rozwiązać. Chętnie udzielimy jej paru wskazówek. Powinna na przykład pozwolić jej pierwszej czytać, by wzmocnić jej wiarę w siebie, a nie powinna na nią podnosić głosu, jeśli popełni błąd.

Ray zaniemówił.

– Nie wierzę własnym uszom – powiedział po chwili. – Oboje jesteście nauczycielami, ty, Joe, dyrektorem, i nawet nie chcecie posłuchać, co ma do powiedzenia wasza koleżanka? Przecież ta mała nawet nie jest waszym dzieckiem. Tylko mieszka z wami. Tylko mieszka.

– I dopóki mieszka, będziemy o nią dbać jak o własne dziecko. I bronić jej.

– Popełniacie błąd. Duży błąd. – Ray znowu zaczął stukać ołówkiem w biurko. – Nie tylko dlatego, że jej teraz bronicie mimo tego, co mówi o niej szanowana nauczycielka, ale dlatego, że w ogóle trzymacie ją u siebie. Nie jesteście byle kim. Zajmujecie w naszej społeczności szczególną pozycję. Może tego nie rozumiecie, ale to małe miasto i wszyscy uważnie obserwują nauczycieli i urzędników. Fakt, że wzięliście to dziecko, szkodzi waszej opinii wśród mieszkańców. Waszemu prestiżowi, waszej reputacji, pozycji społecznej. A z tym musicie się liczyć. – Ray był coraz bardziej podniecony. Coraz mocniej i głośniej stukał ołówkiem w blat biurka.

– Chcę cię zrozumieć, Ray. – Joe patrzył na niego przenikliwie. – Naprawdę się staram. A więc, żeby była jasność. Po pierwsze, to dziecko jest mieszkańcem Foxcove. Tu się urodziło i wychowywało. Czyż nie?

Ray głośno przełknął ślinę.

– A ty chcesz, żebyśmy je gdzieś odesłali, gdzieś poza naszą społeczność, żeby znikło

nam z oczu? I to nie dlatego, że ma jakieś zaburzenia emocjonalne, tylko dlatego, że jej rodzina była biedna, a jej zachowanie niekoniecznie stanowi przykład do naśladowania? Czy o to właśnie ci chodzi?

– Ona wywiera zły wpływ na inne dzieci. Jest agresywna, konfliktowa.

– Mam w szkole około stu uczniów, którym można by przypisać te same cechy. Czy należy się ich wszystkich pozbyć? Czy mamy znaleźć im domy poza Sadler County?

– To niedorzeczne.

– A więc postaram się nie być niedorzeczny. – Joe wstał. – Oto, co zrobimy. Umówisz nas na spotkanie z Carol Simpson. Będziesz tu siedział i uśmiechał się, podczas gdy Samantha i ja dokładnie poinstruujemy Carol, co może zrobić, żeby ułatwić sobie pracę. Szczęśliwie dla niej, Corey mieszka u nas, a więc dobrze wiemy, jak trzeba z nią postępować. Szczęśliwie dla wszystkich w Sadler County, prawda? Bo teraz Corey ma kogoś po swojej stronie i w związku z tym będzie można uniknąć ewentualnych problemów.

– Ale...

Joe nie pozwolił sobie przerwać.

– A później wpiszesz nasze sugestie do akt Corey. Dzięki temu personel każdej szkoły, do której ją przeniosą, będzie wiedział, że to wyjątkowo bystre dziecko, które dobrze reaguje na bodźce pozytywne. Twoje notatki pomogą pewnej małej dziewczynce znaleźć swoje miejsce w świecie, a ty spełnisz zarazem swój obowiązek.

– Cóż, to niezły pomysł, ja...

– A teraz wybacz, ale musimy już iść. Mamy jeszcze mnóstwo pracy. – Joe skinął na żonę.

– Cześć, Ray – rzuciła Samantha, wychodząc. – Tornado minęło – dodała w holu.

– Zastanawiam się, ile dzieciaków odesłano z mojej szkoły za czasów mego poprzednika – powiedział Joe w drodze do samochodu. – Od jutra zabieram się do przeglądania akt.

– Joe...

– Nie, mamy obowiązek zapewnić ochronę wszystkim dzieciakom w naszym hrabstwie. Stworzyć im jak najbardziej przyjazne warunki. Jutro postaram się sprawdzić, czy to właśnie robimy.

Był rycerzem na białym koniu, osobistym rycerzem Corey. Nikt, ani Carol Simpson, ani żaden inny nauczyciel nie zechce się mu narazić. Onieśmielający to było zbyt łagodne słowo na określenie jego wyrazu twarzy.

– Bronieś Corey – stwierdziła Samantha.

– Pewno, że tak. Mieszkam z nią. Wiem, jaka jest. Na pewno nie ma żadnych zaburzeń ani nic w tym rodzaju. Lepiej potrafi sobie poradzić z biedą, wrogością i nagłymi zmianami w życiu, niż można by się tego spodziewać po którymkolwiek innym dziecku. Niech no tylko spróbują umieścić ją w klasie specjalnej, a będą mieli ze mną do czynienia.

– Wydaje mi się, że dałeś im to dostatecznie wyraźnie do zrozumienia. – Wzięła go pod rękę. – A teraz już się uspokój. Wieczorem musisz mieć dobry humor.

Rzucił okiem na zegarek. Odwrócił się ze smutkiem.

– Teraz już naprawdę nie mam czasu, żeby wstąpić do domu przed grillem.

– Ty jesteś odpowiednio ubrany na taką imprezę, ale ja nie. Wpadnę do domu. Przebiorę się i przyjdę. Zatrzymaj dla mnie hot doga.

– Radzę ci przegryźć coś w domu i zrezygnować z tych hot dogów. Wiem, co w nich może być. Wszystko, tylko nie mięso, a jeśli już, to lepiej nie myśleć jakie.

– Dzięki za ostrzeżenie.

– Zatrzymam dla ciebie coś, co będzie dobrze wyglądać.

– Ty wyglądasz dobrze. – Wspięła się na palce, by go pocałować. – Sama nie poradziłabym sobie z Rayem. Z prawdziwą przyjemnością patrzyłam, jak mu rzednie mina. Dzięki, że się ująłeś za Corey.

– Nie pracowałbym tam, gdzie pracuję, gdybym nie troszczył się o dzieci.

– Wiem. – Pocałowała go jeszcze raz. – Ale coś mi się zdaje, że coraz bardziej lubisz Corey.

– Co ci przychodzi do głowy? Nic a nic się nie zmieniło, jeśli chodzi o mój stosunek do tej niezdolnej dziewczynki.

A jednak się zmieniło. Samantha nie wiedziała dokładnie, co ani jak, i nie mogła przewidzieć, do czego to doprowadzi. Ale coś się zmieniło. Mężczyzna w gabinecie Raya był tym, którego poślubiła.

Jeszcze nigdy nie słyszała takiego hałasu. Bywała z panią Sammy i panem Joe na meczach futbolowych. Przyzwyczała się więc już do głośnej muzyki towarzyszącej rozgrywkom. Tego wieczoru jednak kapela grała głośniejszą niż kiedykolwiek przedtem. Rozlegało się takie bębnienie i trąbienie, że chwilami Corey wydawało się, że odpadną jej uszy. Wokół ogniska też panował wręcz nieopisany harmider. Ludzie podskakiwali, wymachiwali rękami, wołali coś głośno, klaskali, powiewali chorągiewkami. Dziewczeta z zespołu, który na meczach sekundował zawodnikom, popisywały się swoimi umiejętnościami. Zabawa trwała w najlepsze, zgodnie z tradycją Święta Dziękczynienia. Corey też kilka razy coś wykrzyknęła i nikt nie miał jej tego za złe.

– Chodź, pójdziemy dalej, na ławki – namawiała ją Mary Neli. Corey rozejrzała się dokoła. Nie bardzo wiedziała, czy powinna się oddalić.

– No, chodź – nalegała Mary Neli. – Moja mama wie. Wszystkie dzieci tam siedzą.

Corey przez chwilę się zastanawiała, czy powinna powiedzieć o tym pani Sammy, ale w końcu uznała, że nie. Pani Sammy i tak nie zwracała na nią większej uwagi od chwili rozpoczęcia ogniska. Nie odstępowała pana Joe. Śmiała się, klaskała, krzyczała. Patrzyła na pana Joe, jakby był prezydentem, a może nawet królem. Corey wiedziała, co oznacza to spojrzenie. Oznacza, że pewna dziewczynka nie jest pani Sammy potrzebna do szczęścia. Potrzebny jest jej tylko pan Joe.

Wieczór był zimny, ale Corey była ciepło ubrana. Jeszcze nigdy w życiu nie miała takiej ciepłej kurtki. Przepychała się między ławkami, przeskakując kolejne rzędy, tak jak to robiła Mary Neli. Ognisko wciąż jeszcze paliło się wysokim płomieniem, ale dziewczęta zaprzestały już swoich popisów. Teraz kilku zawodników ubranych tak jak one, w czerwonozłote spódniczki, wystąpiło na środek boiska, starając się naśladować swoje poprzedniczki. Tłum oszalał z radości. Jeden z zawodników podrzucił do góry swoje pompony, które wylądowały

na głowie innego. Zaczęli udawać, że ze sobą walczą.

Gdy hałas się spotęgował, Corey zatkała uszy. Zobaczyła, że Mary Neli przywołuje ją ruchem ręki. Pobiegła za nią, do pustego sektora.

– Dlaczego chciałaś tu przyjść? – spytała przyjaciółkę, usiłując przekrzyczeć tłum.

– Szukam kogoś – odparła Mary Neli.

– Ach tak. – Corey rozglądała się dokoła, ale nie zauważyła, żeby ktokolwiek jeszcze był tak niemądry jak ona i przyszedł w to miejsce.

– Przecież tu nikogo nie ma – stwierdziła.

– Chcesz poszukać opakowań po cukierkach? – zaproponowała Mary Neli.

– Świetny pomysł – ucieszyła się Corey.

Obie dziewczynki od niedawna zbierały opakowania. Jedna z firm produkująca słodczyce obiecała specjalne nagrody dla tych, którzy zbiorą co najmniej pięćdziesiąt opakowań. Corey musi usklądać aż dwa tysiące, żeby dostać rower, a na razie miała dopiero dziesięć. Nie traciła jednak nadziei. Marzyła o rowerze i wierzyła, że się jej poszczęści.

Hałas trochę przycichł. Nurkowała pod ławkami i pracowicie szukała papierków. Nie było ich dużo. Chciałaby znaleźć więcej. Światła reflektorów nie docierały aż tutaj i pod ławkami było dość ciemno. Z trudem mogła cokolwiek dostrzec.

– Patrz! Mam! – zawołała uradowana Mary Neli, pokazując jej papierek.

– Nie, to nie taki. – Corey ostudziła jej entuzjazm.

– Wiem, ale to już coś. Na pewno znajdę więcej.

Corey ponownie zabrała się do szukania. Na tyłach trybuny zobaczyła trzy dziewczynki. Zbliżały się do niej. Chciała powiedzieć o tym Mary Neli, ale przyjaciółka była za daleko. Właśnie przetrząsała kolejny kosz na śmieci.

Corey poznała dziewczynki. Chodziły razem z nią do tej samej klasy, a jedna z nich, Ann Grady, była ulubienicą pani Simpson. Żadna z nich jednak nie przepadała za Corey.

Ann podeszła do niej pierwsza.

– Co tutaj robisz? – spytała.

– Bawię się – odparła Corey.

– W co?

– Szukam papierków po cukierkach. Jak się zbierze dużo, można dostać nagrodę.

– Też coś – Ann wzruszyła ramionami – zbierać cudze śmieci. Można się tylko wybrudzić.

– Ale ja potem myję ręce – broniła się Corey.

– Hej, słuchajcie! – zawołała Ann do pozostałych dziewczynek. – Corey grzebie się w śmieciach. Corey lubi śmieci.

Nie było sensu czegokolwiek im tłumaczyć. I tak nigdy nie zostaną przyjaciółkami Corey. Postanowiła odszukać Mary Neli i wrócić do pani Polly i pana Harlana. Albo poszukać pani Sammy. Ale przypomniała sobie, że tego wieczoru pani Sammy nawet nie popatrzyła w jej stronę.

– Corey śmieciara! – zawołała Ann. – Moja mama mówi, że Corey to takie nic, taki śmieć, jej mama też taka była.

– Coś ty powiedziała?!

– Panna Simpson uważa, że nie powinnaś być w jej klasie. A może powinnaś być w kubie na śmieci? – roześmiała się Ann uszczęśliwiona, że udał jej się dowcip.

– Zamknij się! – krzyknęła Corey.

– Ani myślę!

Corey popchnęła ją. Na tyle silnie, żeby zrozumiała, że z nią nie ma żartów.

– Odczep się ode mnie! – ostrzegła.

– O... Masz brudne ręce, śmieciaro – zachnęła się Ann. – Nie dotykaj mnie Corey znów ją pchnęła. Nagle tuż obok wyrosła jak spod ziemi Mary Neli.

– Przestań, Corey. O co chodzi? – spytała.

– Przeżywa mnie śmieciara.

– Dlaczego to zrobiłaś? – Mary Neli zwróciła się do Ann.

– Skoro jest twoją przyjaciółką, ty też jesteś śmieciarą – odparowała Ann, ale nie była już taka pewna siebie. Miała, co prawda, obok siebie dwie koleżanki, ale Mary Neli była roslejsza i silniejsza od każdej z nich.

– Odszczekaj to! Natychmiast! – rozkazała Mary Neli.

– Ani mi się śni. Corey znów ją pchnęła.

– Odszczekaj, i to już!

– Ani mi się śni! – stawiała się jeszcze Ann, ale było widać, że jest przestraszona.

– Och, zostaw ją, Corey – powiedziała w końcu Mary Neli. – Nic innego nie potrafi powiedzieć, bo nie ma ani trochę rozumu i żadnego wychowania. Daj jej spokój. Idziemy.

Corey chciała jeszcze raz pchnąć Ann. Dobrze byłoby ją jeszcze bardziej nastraszyć, żeby odechciało jej się wygadywać bzdury na nią i Mary Neli. Nie zrobiła tego jednak. Poszła za Mary Neli. W tym momencie Ann znów zaczęła mówić. Tym razem spokojnie.

– Moja mama mówi, że pani Samantha jest tak samo nic niewarta, skoro pozwala ci ti siebie mieszkać.

Corey aż zatkąło. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Miała uczucie, jakby ktoś żelazną dłońią ścisnął ją za gardło. Ręce zaczęły jej drżeć, kolana również. O niej Ann mogła sobie wygadywać, co chciała, ale nie o pani Sammy. Zanim zdążyła się zastanowić, Ann już leżała na ziemi, a ona nad nią klęczała.

– Corey! – zawołała Mary Neli, usiłując ją odciągnąć.

Ann zaczęła przeraźliwie krzyczeć, jej przyjaciółki również. Mary Neli znowu chwyciła Corey.

– Przestań! – wołała, usiłując ją oderwać od Ann. – Jeszcze jej coś zrobisz!

– To i dobrze! – wrzasnęła Corey.

Ann udało się jakoś podnieść, ale zamiast uciekać, tak jak się spodziewała Corey, rzuciła się na nią i z całej siły uderzyła głową w klatkę piersiową. Zwały się i obie wylądowały na ziemi. Teraz była to już jedna platanina rąk i nóg.

– Corey! – na próżno wołała Mary Neli.

– Odszczekaj! – krzyczała Corey, okładając Ann pięściami. – Odszczekaj to, co powiedziałaś!

– Pani Samantha to śmieć! – powtórzyła Ann.

Tym razem usłyszała to również Mary Neli. Dołączyła się do bijatyki. Szarpała Ann za włosy. Jedna z dwu dziewczynek, które dotychczas obserwowały, co się dzieje, skoczyła między nie. Druga uciekła.

Walka trwała. Corey przycisnęła Ann plecami do ziemi, ale dziewczynka chwyciła ją za włosy i ciągnęła tak mocno i długo, aż Corey silnie rozbolała głowa. Obok słyszała odgłosy walki Mary Neli z przyjaciółką Ann.

Nagle czyjeś silne ręce odciągnęły ją od Ann i postawiły na nogi.

– Co wy wyprawiacie?! – usłyszała poirytowany męski głos. Podniosła wzrok i zobaczyła obcego mężczyznę z twarzą wykrzywioną złością.

– Nazwała mnie... – zaczęła.

– Nie obchodzi mnie, jak cię nazwała. – Mężczyzna pochylił się, by podnieść Ann. Tymczasem nadciągali inni uczestnicy zabawy. Po mężczyźnie, który rozdzielił dziewczynki, nadbiegła przyjaciółka Ann i kobieta, którą Corey już gdzieś widziała.

Corey chwyciła kurczowo Mary Neli. Bała się. Po raz pierwszy się bała. Zbiegało się coraz więcej dorosłych. Ktoś chwycił ją i Mary Neli i wyciągnął pomiędzy ławek.

Zobaczyła panią Polly, z trudem torującą sobie drogę przez tłum. A potem zobaczyła panią Sammy.

– Co tu się dzieje? – spytała pani Polly. Corey próbowała się do niej przedostać, ale nie była w stanie. Zbyt wiele osób ją otaczało.

– Ta dziewczynka zaczęła bójkę z Ann – powiedział mężczyzna, który je rozdzielił. – Ann powiedziała, że skoczyła na nią i zaczęła ją bić. To właśnie zastałem, kiedy tu przyszedłem.

Polly zerknęła w kierunku Corey. Wyraz jej oczu świadczył o tym, że sytuacja jest poważna.

Część osób odeszła. Muzycy wciąż grali, a dziewczęta z zespołu znowu prezentowały swoje umiejętności i ćwiczyły okrzyki zagrzewające zawodników do walki.

Corey zobaczyła, że podchodzi do niej pani Sammy, ale tym razem nie wzięła jej w ramiona. Stała z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Biła mnie – płakała Ann. – Nic jej nie zrobiłam. – Dziewczynka cała się trzęsa. – Nienawidzi mnie. Nic jej nie zrobiłam.

– Przezywałaś mnie. – Corey ruszyła w jej kierunku. – Kłamiesz. Przezywałaś mnie i... – Nie chciała dokończyć zdania Nie chciała, żeby ktokolwiek się dowiedział, co Ann mówiła o pani Sammy.

– Mary Neli – zwróciła się do córki Polly – kto zaczął? Mary Neli zwiesiła głowę. Wyglądała na zrozpaczoną.

– Czy to Corey zaczęła? – wypytywała Poll.

– Ann ją przezywała – bąknęła Mary Neli lojalna do końca.

– To nie powód, żeby kogoś bić – włączyła się Samantha. – Zajmiemy się tym, a tymczasem Corey przeprosi Ann.

Corey zobaczyła nadchodzącego Joe. Zastanawiała się, czy wszyscy uczestnicy imprezy

dowiedzieli się już o bójce. Zaczynała ją boleć głowa, miała podrapane kolano. Spojrzała w dół i zobaczyła, że jej spodnie, najładniejsze spodnie, jakie dostała od pani Sammy, podarte.

– Co tu się dzieje? – spytał Joe.

– Biły się – odparła Samantha.

– Tak, ta dziewczynka, którą się opiekujecie, zaatakowała moją córkę – powiedziała kobieta, obejmująca Ann.

Dopiero teraz Corey uświadomiła sobie, że to ona właśnie była sprzedawczynią w sklepie z przyborami szkolnymi. Corey spojrzała na Mary Neli. Przyjaciółka mrugnęła do niej porozumiewawczo.

– Corey zaatakowała pani córkę? – spytał Joe. – Czy to prawda?

– Już się tym zajęłam, Joe. Corey przeprosi Ann, a resztę załatwimy w domu.

– Mary Neli też ją przeprosi – dodała Polly. – Od razu.

Mary Neli ze wzrokiem wbitym w ziemię wymamrotała coś, co miało być przeprosinami. Corey nie wiedziała, co mówiła. Wszystko wskazywało na to, że sytuację załagodzą. Teraz oczy zgromadzonych skierowały się na nią.

– Nie przepraszę. – Corey wbiła wzrok w ziemię.

– Corey – napomniał ją Joe.

– Nie zrobiłam nic złego. To ona.

– Czy ją uderzyłaś? – spytał. Skinęła głową.

– A więc przepraszę.

Corey podniosła wzrok. Zobaczyła wrogą minę Ann i wiedziała, że jeśli teraz powie „przepraszam”, nigdy już nie będzie w stanie spojrzeć jej znowu w twarz. Ann i jej przyjaciółki nigdy nie zostawią jej w spokoju.

– Nie przepraszę – powtórzyła. – To by było kłamstwo. Popatrzyła na pana Joe, ponieważ nie miała odwagi spojrzeć na panią Sammy. Coś w jego twarzy się zmieniło. Nie była pewna, ale pomyślała, że może jej odpowiedź troszeczkę mu się podoba.

– Przynajmniej jest uczciwa – zwrócił się do rodziców Ann. – Załatwimy tę sprawę w domu.

– Panie Giovanelli, od tej chwili proszę trzymać to dziecko z dala od naszej córki – powiedział ojciec Ann. – Albo to pan będzie ponosił odpowiedzialność, jeśli coś się stanie.

– A pan niech powie córce, żeby nie przezywała Corey. Ja mogę zagwarantować, że Corey nie będzie mieć z nią nic wspólnego.

Mężczyzna nie odpowiedział. Wziął Ann za rękę i razem z żoną oddalili się w stronę ogniska.

Polly zabrała Mary Neli. Odeszła też druga dziewczynka i jej matka. Corey została sama z Joe i Samanthą. Wszyscy inni się porzuchodzili.

– Muszę wracać do swoich obowiązków – powiedział Joe, całując żonę w policzek. – Zabierzesz ją do domu? – spytał tak, jakby Corey w ogóle nie było.

– Natychmiast.

– Wszystko w porządku, kochanie – dotknął ramienia żony uspokajającym gestem. – Takie rzeczy się zdarzają.

– Na oczach całego miasta?

– No cóż, po co sprawiać nam kłopoty w domu, skoro w miejscu publicznym jest to o wiele zabawniejsze?

Corey zwiesiła głowę. Zrozumiała, że popełniła błąd. Powinna była skłamać. Pani Sammy odwróciła się, a ona wiedziała, że powinna pójść za nią. Tak bardzo chciała, żeby pani Sammy ją objęła i wybaczyła. Tak bardzo chciała, żeby ktoś ją zrozumiał.

Ale pani Sammy szła przed siebie, nie oglądając się na Corey, której nie pozostało nic innego, jak pójść za nią.

ROZDZIAŁ 13

Joe obserwował Corey kątem oka. Dziobała widelcem w talerzu, jakby jedzenie w ogóle jej nie interesowało. Od czasu owego pamiętnego wieczoru przed tygodniem, kiedy pobiła się z Ann, prawie całkiem straciła apetyt.

– Może chciałabyś trochę sosu żurawinowego? – spytał. – A może już ci się znudził indyk?

– Mnie się znudził – powiedziała Samantha, gdy Corey w milczeniu potrząsnęła głową. – Od Święta Dziękczynienia jemy go codziennie. Schowam resztę do zamrażalnika.

– Bella też zasługuje na świąteczny poczęstunek – zauważył.

– Masz rację. Reszta będzie dla niej.

– To było miłe ze strony twojej matki, że dała go nam, gdy wyjeżdżaliśmy – stwierdził Joe. – Muszę jej to przyznać.

– Cudowna wspaniałość, nawet jeśli nie musiała go sama upiec ani zapakować – skwitowała ironicznie Samantha i wstała, by zmyć naczynia. – I w niczym nie umniejsza jej zasług fakt, że dla niej pieczony indyk to coś, co w ogóle nie nadaje się do jedzenia.

– Doceń jej dobre chęci – przekonywał Joe. – Kiedy się dowiedziała, że przyjedziemy, postanowiła przygotować tradycyjną kolację. – Nie dodał, że Kathryn najwyraźniej zrezygnowała ze swoich upodobań ze względu na Corey. Mimo wszystkich swoich wad bowiem robiła co mogła, by dziewczynka dobrze się u nich czuła.

Nawet Fischer się przemógł i od czasu do czasu zagadywał do podopiecznej swojej córki lub zwracał się do niej z jakimś pytaniem. Tylko Corey nie podobała się atmosfera święta i zabawy.

– W przyszłym roku spędzimy Święto Dziękczynienia u mamy Rosę ze wszystkimi – powiedziała Samantha, zbierając ze stołu resztę naczyń. – Jeśli moi rodzice zechcą być z nami, mogą przyjechać.

– W ten sposób nikogo nie zabraknie. Będziemy w komplecie. Już sobie wyobrażam te góry jedzenia, które zmiecie rodzina Giovanellich.

– A więc to jeszcze jeden powód, by tam pojechać. – Samantha wzięła talerz Corey. – Pomożesz mi pozmywać? – spotkała.

– Muszę odrobić lekcje.

– Chyba nie masz ich aż tyle, żebyś nie mogła mi pomóc. Pan Joe przygotował kolację, a my powinniśmy posprzątać.

– Czy mogę nakarmić Belle?

– Oczywiście.

Samantha odpowiedziała troszeczkę za szybko. Joe wiedział, że martwi się o Corey, chociaż tego nie okazywała. Nie rozmawiali nawet na ten temat. Mogli teraz rozmawiać niemal o wszystkim z wyjątkiem Corey.

Wstał, by jej pomóc, ale go odesłała.

– Przecież masz pracę, prawda?

– Tylko trochę papierów do przejrzenia.

– To czemu tego teraz nie zrobisz?

„Dziś wieczorem będzie czas na co innego”. Te słowa były tak oczywiste, jakby Samantha wypowiedziała je głośno. Patrzyła mu prosto w twarz swymi lekko zamglonymi błękitnymi oczami. Posłał jej znaczący uśmiech i zaczął z utęsknieniem myśleć o chwili, gdy Corey pójdzie spać.

W gabinecie rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu, który dostał w prezencie na ostatnie Boże Narodzenie i zaczął przeglądać dokumenty. Wiedział, że musi to zrobić, ale nie było to wcale takie proste. Był zmęczony, litery skakały mu przed oczami, rozmywały się. Odłożył papiery na biurko i zdjął ze ściany mandolinę dziadka. Szarpnął jedną strunę, potem drugą. Nigdy nie udawało mu się wydobyć z instrumentu takiego dźwięku, jak by chciał. Pamiętał, jakie rzewne lub wesole melodie potrafił zagrać dziadek. Joe zazdrościł trochę ludziom, którzy mieli dobry słuch. Cóż, miał inne talenty. Chociaż... Nie, o tym wolał nie myśleć. O tej skazie czy mankamencie, jak to określił, który przekreślał wszystko. Choć ostatnio coraz lepiej udawało mu się uporać z tym problemem, nie mógłby powiedzieć, że się z nim pogodził. Nie pogodzi się nigdy.

Dziadek... Jeszcze raz szarpnął strunę, odłożył mandolinę na biurko i wrócił myślami do Giuseppe Giovanellego. Ileż to razy siedział mu na kolanach, a staruszek grał dla niego i śpiewał. Dziadek Giuseppe zawsze miał czas dla swoich wnuków. Kochał je wszystkie i cieszył się każdą chwilą, którą z nimi spędzał. Joe myślał czasami, że miłość do dzieci odziedziczył po dziadku.

Niekiedy, tak jak dzisiejszego wieczoru, żałował, że nie siada już za katedrą i nie patrzy w twarze uczniów, lecz zamyka się swoim dyrektorskim gabinecie. Zawsze lubił uczyć, lubił bezpośredni kontakt z młodzieżą. Tęsknił za dyskusjami z młodymi ludźmi, chciałby móc nadal kształtować ich umysły, wpływać na ich opinie i poglądy, pozostawiając im równocześnie swobodę samodzielnego myślenia. Chętnie korzystał z nielicznych okazji, kiedy musiał nagle zastąpić kogoś z nauczycieli.

Niestety, znacznie więcej czasu spędzał nad dokumentami, formularzami i rachunkami, nad całą tą papierkową robotą, której wymagało jego stanowisko, niż z dziećmi. Od czasu jednak, gdy zamieszkała z nimi Corey, nie miało to już aż takiego znaczenia.

Joe nawet nie wiedział, skąd przyszła mu do głowy ta myśl. Nie mógł jej jednak zignorować. Zresztą już wcześniej zdarzało mu się myśleć na ten temat. Cekał, czy sprawi mu to ból, ale tak nie było.

Raczej targnął nim gniew. O czymże on myśli? Czuje wdzięczność dla tej hałaśliwej smarkuli, bo wniosła do jego domu dzieciństwo, z wszystkimi jego niepokojami i smutkami? I kogo chciał oszukać? Był wdzięczny Corey, tej utrapionej małej diablity, która wciąż przysparzała jakichś kłopotów, ponieważ nic już nie było takie jak kiedyś, i za każdym razem, gdy na nią patrzył, przypominał sobie, że nigdy nie będzie ojcem?

Oczywiście, że był wdzięczny.

– Panie Joe? – Niespodziewanie dobiegł go dziewczęcy głosik. Utrapiona smarkula stała w drzwiach i nie patrzyła na niego przyjaźnie.

– O co chodzi, Corey? – spytał ostro, bardziej ostro, niż zamierzał.

– Pani Sammy mówi, że kran cieknie.

Wstał, okrążył biurko i wyszedł, zanim Corey zdążyła coś jeszcze powiedzieć. Dopiero w kuchni, gdy usłyszał dźwięk strun i odgłos trzaskającego drewna, uświadomił sobie, że nie powiesił mandoliny na ścianie.

– Jest śmiertelnie przerażona, Joe. – Samantha wyszła z pokoju Corey i zamknęła za sobą drzwi, żeby dziewczynka nie mogła słyszeć ich rozmowy.

– Nic dziwnego.

Samantha ujęła go za ramię i skierowała do sypialni. Podał się jej, choć niechętnie. W pierwszym odruchu chciał zbić tę nieznośną, niepoprawną, przysparzającą wiecznych kłopotów Corey na kwaśne jabłko. Pamiątkowy instrument wiele dla niego znaczył. Samantha jednak go powstrzymała. Bała się awantury.

W sypialni starannie zamknęła za nimi drzwi.

– Corey powiedziała, że chciała tylko popatrzeć na mandolinę, wzięła ją z biurka, a ona wyslizgnęła się jej z rąk – tłumaczyła.

– A więc kłamie.

– Wiem, że to straszne, ale proszę cię, nie pogarszaj sprawy.

– Pogarszaj? – Przeciągnął palcami przez włosy. Był to widoczny znak, że jest wściekły.

– Owszem. Stało się coś bardzo złego, ale może uda nam się jakoś to naprawić – prosiła Samantha.

– Mandolinę na pewno nie.

– Nie wiadomo. Są warsztaty, które specjalizują się...

– Trzasnęła nią o biurko, Sammy. Nie upuściła jej. Drewno się rozleciało, a nie tylko popękało.

Samantha nie poddawała się. Nie chciała wierzyć, by w Corey było aż tyle niszycielskiej siły, by aż tak bardzo nienawidziła Joe. Mąż jednak miał rację. Instrument był zupełnie zniszczony. Nawet jeśli ktoś zgodzi się go zrekonstruować, niewiele to da. Nie będzie to już nigdy ta sama ukochana, pamiątkowa mandolina dziadka.

– Zrobiła to naumyślnie – powiedział Joe.

– Nie wiemy na pewno. – Samantha wciąż broniła dziewczynki.

– Ja to wiem. Zrobiła to z całą premedytacją. Głośno i demonstracyjnie. Żeby wszyscy słyszeli.

– Zostawmy ją samą przez noc, dopóki nie zbierzemy myśli.

– O, nie! – Joe dotychczas jeszcze panował nad sobą. Teraz ogarnęła go furia. – O czym ty mówisz? Czy tak postępowali z tobą rodzice? Popełniłaś błąd, a oni pozwolili ci całą noc nie spać i zastanawiać się, co z tobą zrobią następnego dnia?

– Nie to chciałam powiedzieć. Już z nią rozmawiałam. Wie, że jesteśmy bardzo zmartwieni z powodu tego, co się stało.

– Zmartwieni? Może ty jesteś zmartwiona. Ja jestem wściekły. Za chwilę szlag mnie trafi.

– A więc postaraj się uspokoić, zanim z nią porozmawiamy.

– Ja z nią porozmawiam. Ty zostaniesz tutaj.

– Co takiego?

– Powiedziałem, że ja z nią porozmawiam. – Podeszedł bliżej. – Sam. To sprawa między mną a Corey.

– Nie, nie pozwolę na to!

– Słucham?

– Powiedziałam, że nie pozwolę na to. Nie lubisz jej. Uważasz, że nam zawadza. Wciąż to podkreślasz. A teraz masz dowód, że nie powinna z nami mieszkać. Jesteś dla niej niedobry. Zbyt surowo ją traktujesz. Nie kochasz jej tak jak ja.

– Jak myślisz, za kogo wysłałaś za męża? – Zbliżył się do niej. Nie hamował już gniewu. – Za potwora? Za mężczyznę, który nie rozumie dzieci? Dorastałem w wielodzietnej rodzinie! Pomagałem matce przy Johnnym i siostrach. Teraz codziennie mam do czynienia z dziećmi i nigdy jeszcze na żadne nie podniosłem ręki ani nie naruszyłem godności osobistej.

– Wiem, ale tym razem...

– To co innego? Dlaczego? Bo ona tu mieszka? Bo ją kochasz? Dlaczego to ma cokolwiek zmienić? Nagle przestałaś mi ufać? Wydaje ci się, że jestem jakimś szaleńcem owładniętym żądzą zemsty?

– Ale to była twoja mandolina...

– Właśnie, była. – Zamilkł na moment. – To była moja mandolina, a więc ja tę sprawę załatwię. A jeśli nie masz do mnie zaufania, jeśli nie wierzysz, że załatwię to uczciwie i spokojnie, to najwyraźniej poślubiłaś niewłaściwego mężczyznę.

– Kocham ją...

– Tak. Widocznie kochasz ją tak bardzo, że nie potrafisz już rozsądnie myśleć. Nie możesz pozwolić na kompletną samowolę. Tak samo jak nie możesz udawać, że nie zrobiła nic złego, jeśli zrobiła. Najpierw musisz z nią porozmawiać, a później wyciągnąć konsekwencje. Zawsze są jakieś konsekwencje, niezależnie od tego, czy je wyciągniemy, czy nie. A ja nie pozwolę, żeby między mną a Corey powstała przepaść nie do przebycia.

– Ale... – usiłowała mu przerwać Samantha.

– Chciała mnie wypróbować – ciągnął dalej. – Zobaczyc, na ile może sobie pozwolić. Chce wiedzieć, czy zatrzymamy ją po takim zachowaniu; przekonać się, czy to nas nie rozdzieli, a wtedy ona wcisnęłaby się w tę lukę między nami.

– Rozdzieli nas? – Samantha otworzyła szeroko oczy.

– Oczywiście! Mogę się założyć!

Ta prawda była tak oczywista, że Samantha nie mogła uwierzyć, iż sama jej nie dostrzegła. Co gorsza, przez chwilę nie ufała Joe. Zrobiło się jej słabo i opadła na łóżko.

– Och, Joe...

– Nie pozwoliłaś mi rozprawić się z nią, kiedy spaliła chatę. Tym razem zrobię to niezależnie od wszystkiego. Nie powstrzymasz mnie. A jeśli się z tym nie pogodzisz, to znaczy, że Corey wygrała, a my przegraliśmy.

– Tak mi przykro. – Samantha podniosła ku niemu wzrok. – Naprawdę, tak bardzo mi przykro. Wiem, że załatwisz wszystko jak trzeba. Boże, co się ze mną dzieje?

– Wszystko przez ten rok wątpliwości i lęków.

– Ja... – nie dokończyła. Joe machnął ręką.

– Dajmy już temu spokój.

W progu zatrzymał się na chwilę, ale Samantha milczała. Zniknął w korytarzu.

Zapukał do drzwi pokoju Corey i nie otrzymał odpowiedzi. Zapukał po raz drugi głośniejsze i zawołał ją. Dziewczynka się nie odezwała. Dobrze, że w drzwiach nie było zamka.

Pchnął je i wszedł do środka. Pokój oświetlała nocna lampka. Kołdra na łóżku była wybrzuszona. Najwidoczniej Corey przykryła się całą, z głową.

Usiadł na brzegu łóżka i szarpnął kołdrę.

– Niech pan się wynosi! – powiedziała.

– Pewno, założę się, że o niczym innym nie marzysz.

– Powiedziałam pani Sammy, że przepraszam.

– I naprawdę sądzisz, że to wystarczy?

Joe zauważył, że tuli do siebie misia, którego podarowała jej Samantha. Nigdy nie wносиła go z pokoju. Była za duża i zbyt pewna siebie, żeby komukolwiek pokazywać się z pluszową zabawką. Ilekroć jednak widział ją w jej pokoju, zawsze miała go przy sobie.

Wzruszyło go to, choć bronił się przed tym uczuciem. Corey umierała ze strachu, a miś był jedyną rzeczą, która mogła jej dodać otuchy. Joe trudno poddawał się emocjom. Kochał dzieci, ale zachowywał wobec nich zawodowy dystans. Na sentymenty i spontaniczność nie było miejsca w jego pracy. Brał na siebie zbyt dużą odpowiedzialność. Musiał wybierać takie rozwiązania, które w perspektywie byłyby najkorzystniejsze dla dziecka, a nie iść na łatwiznę tylko dla własnej wygody.

Najprościej i najłatwiej byłoby wyjść z pokoju Corey. Takie postępowanie nie było w jego stylu.

– Opowiem ci o tej mandolinie – zaczął. – Należała do mojego dziadka.

– Już mi pan mówił!

– Wiem, ale nie powiedziałem ci wszystkiego. To był wspaniały człowiek. Miał na imię Giuseppe. To po włosku Joe. Noszę imię po nim.

– Tak? – W oczach Corey pojawiły się łzy i mimo wszelkich wysiłków usta jej drżały.

– Dziadzio Giuseppe naprawdę umiał grać. Szkoda, że nie możesz tego posłuchać. I miał piękny głos. Dużo śpiewał, zawsze po włosku, bo urodził się we Włoszech i ten język znał najlepiej. To był jego język ojczysty. Ja w ogóle nie potrafię śpiewać, ale kiedy brałem mandolinę do ręki i uderzałem w struny, zawsze przed oczami stawał mi on.

Zamilkł na chwilę. Corey też milczała.

– Najlepszym sposobem, by kogoś rozzłościć, jest zrobienie mu przykrości – powiedział w końcu. – Gdybym ja chciał cię rozgniewać, znalazłbym coś, co naprawdę kochasz, na przykład tego misia, i porwał go na strzępy.

– Nie! – przeraziła się i przycisnęła zabawkę jeszcze mocniej.

– Właśnie to bym zrobił, gdybym chciał cię zranić i rozgniewać, ale nie mam takiego zamiaru. Próbuję ci tylko wytłumaczyć, że rozumiem, dlaczego zniszczyłaś mandolinę.

– Upuściłam ją! Przypadkowo!

– Nie. Walnęłaś nią z całej siły w biurko, żebym się wściekł. I tak też się stało. Jestem wściekły i jest mi żal, bo teraz nigdy już na niej nie zagram. Będę zawsze pamiętał mego dziadka, ale mandolina już mi go nie będzie przypominała. Rozumiesz?

– Nie!

– Wiesz co? Myślę, że jesteś bardziej bystra, niż udajesz. Rozumiesz doskonale.

Dolna warga Corey drżała jeszcze bardziej, ale dziewczynka nic nie powiedziała.

Joe wstał i podszedł do okna.

– Jak ci się wydaje, jak powinniśmy załatwić tę sprawę? Znowu milczała.

– Uważam, że sama mogłabyś coś zaproponować. Nie mamy tutaj zwyczaju bić małych dziewczynek, ale jakoś musimy to załatwić.

– Nie obchodzi mnie to.

– Chyba cię obchodzi, i to bardzo. Myślę, że chcesz mieć szansę naprawienia swego błędu. Dam ci tę szansę. – Odwrócił się i popatrzył jej prosto w twarz. – Co byłoby uczciwe, Corey?

Usiadła na łóżku, wciąż trzymała przy sobie misia.

– Mogłabyś mi na przykład w czymś pomóc – podpowiedział. – Co o tym myślisz? Przecież to mnie sprawiłaś przykrość, prawda?

Potrząsnęła głową.

– W porządku – zgodził się. – To może jest coś, co mogłabyś zrobić, żebym poczuł się lepiej, na przykład przynieść mi wieczorem gazetę?

Znowu potrząsnęła głową.

Joe był bliski poddania się. Nie oczekiwał, że sprawa będzie prosta, ale liczył, że taka rozmowa przyniesie pożądany efekt. W przypadku innych dzieci ta metoda na ogół się sprawdzała. I zazwyczaj kara, którą dzieci same sobie wyznaczały, była dwa razy surowsza niż ta, którą on by im wymyślił. Tym razem stało się inaczej.

– Zawsze jest koło domu trochę liści do zgrabienia – kontynuował. – I zawsze ja to robię. Zastanów się. Trzeba by też umyć mój samochód.

Potrząsnęła głową, ale nie patrzyła na niego. Wbiła wzrok w misia, po czym wyciągnęła go ku niemu. Przez chwilę nie rozumiał, o co jej chodzi.

– Niech pan weźmie misia.

– Chcesz, żebym wziął twego misia? – Przynął się bliżej.

– Może go pan zniszczyć. – Łzy płynęły jej po policzkach. Nawet nie usiłowała ich ścierać.

– Nie ma mowy. Nie zrobię tego.

– Niech go pan weźmie. Wyciągnął rękę.

– Naprawdę chcesz mi go dać? Puściła misia. Teraz on go trzymał.

Zaniemówił. Dopiero po dłuższej chwili udało mu się wydobyć z siebie głos.

– Dobrze, oto, co zrobimy. Zawiozę mandolinę do naprawy. Jeśli da się z nią coś zrobić, oddam ci misia.

– Nie podrze go pan?

– Powiedziałem ci już, że nigdy bym tego nie zrobił. Nie chcę ci sprawić przykrości.

– Ale ja panu sprawiłam.

– Tak, ale ty jesteś jeszcze dzieckiem, a ja jestem dorosły. – Siedział na brzegu łóżka, zachowując odpowiedni dystans. Wciąż jeszcze musieli trzymać się od siebie na pewną odległość. – Nie chcę cię zranić i przykro mi, że muszę ci zabrać misia. Chcę tylko, żebyś zrozumiała i zapamiętała, że obowiązują tutaj pewne zasady, a ty musisz się do nich stosować. Dzięki tym zasadom nie robimy sobie wzajemnie przykrości.

– Pani Sammy mnie teraz nienawidzi.

– Nikt tutaj cię nie nienawidzi.

– Pan mnie nienawidzi!

– Co to, to nie. – Nie ważył się dodać nic więcej. Nie dowierzał sam sobie. A nuż powiedziałby coś nieodpowiedniego. Targały nim sprzeczne uczucia, żadnego z nich nie rozumiał do końca.

– Miś boi się ciemności – powiedziała Corey.

– Naprawdę? – Spojrzał na zabawkę. – A więc położę go przy oknie, będzie widział księżyc.

– Ale się przeziębii.

– Wiem, co zrobię. – Wstał. – Myślę, że co wieczór, zanim położysz się spać, przyjdiesz do mego pokoju i sama otulisz go kocem. Żeby mu było ciepło i wygodnie. Przecież on nie jest niczemu winien.

– Mogę go odwiedzać?

– Kiedy tylko zechcesz. A jeśli przyjdzie ci do głowy, co mogłabyś dla mnie zrobić, zamiast pożyczać mi misia, powiedz.

– Nie. Z misiem będzie się pan lepiej czuł.

Myliła się. Będzie się czuł dużo, dużo gorzej. Miał ochotę natychmiast go jej oddać, przytulić ją i powiedzieć, że jej wybacza. Chciał pocałować jej mokry od łez policzek i oznajmić, że jest z niej dumny. Nie zrobił żadnej z tych rzeczy; był pedagogiem i wiedział, jak powinien postąpić.

Powinien wziąć tego przeklętego misia.

– Wcale cię nie nienawidzę – odezwał się po chwili. – Pani Sammy też nie. Uważamy, że jesteś kimś szczególnym.

– Nie. – Schowała się z powrotem pod kołdrę.

Zanim zdążył pomyśleć, co robi, już otulał Corey kołdrą. Czuł, jak drżą jej ramiona, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

– Każdy popełnia błędy – szepnął. – Któregoś dnia opowiem ci, jakie ja mam na sumieniu.

Milczała. Dotknął jej włosów. Właściwie tylko je musnął w przelotnym geście przebaczenia.

– Spij dobrze, Piwnooka.

Wróciwszy do sypialni, zastał Samanthę siedzącą w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Podał jej misia.

– Wymiana – powiedział. – Jutro wezmę tę cholerną mandolinę do miasta i poproszę,

żeby ją szybko naprawili. Jest mi wszystko jedno, jak to zrobią. Nie mogę oddać Corey tego misia, zanim nie odzyskam mandoliny.

– Joe... – Samantha rozplakała się.

– To był pomysł Corey – dodał. – Ona to wymyśliła. Usiłując jej wyjaśnić, co oznacza dla mnie utrata mandoliny, powiedziałem, że czułaby to co ja, gdybym zniszczył jej misia.

– Chciała, żebyś się lepiej poczuł.

– Właśnie tak to ujęła. Czuję się jak wszyscy diabli.

– Ona jest taka nieszczęśliwa, Joe. Sama nie wie, co się z nią dzieje.

– Nie musisz mi tego mówić... – Odwrócił się i wziął żonę w ramiona. Ukrył twarz w jej włosach.

– Nie wie, jak ma się zachowywać, żeby ludzie ją kochali – ciągnęła dalej Samantha.

– Cholernie dobrą robotę zrobiła, żebyś ją kochała.

– Zgadzam się z tobą. Za bardzo ją Kocham. Przestałam myśleć, zdałam się na emocje. Tak bardzo pragnę się nią opiekować i ochraniać ją, że już nie potrafię rozpoznać, co jest dla niej dobre, a co nie.

– I właśnie to jest moja rola.

Była to prawda. Równoważył intensywność jej uczuć swoim zdrowym rozsądkiem. Wzrastanie w licznej rodzinie, lata pracy w szkole nauczyły go właściwego postępowania. Mimo że dzisiejsze zdarzenie było dla niego bardzo bolesne, zachował się tak jak należało.

– Możesz jej tyle dać – powiedziała Samantha. – A ja ci w tym przeszkadzam. Już nie będę, przyrzekam.

Uniósł jej twarz ku sobie. Powinien jej przypomnieć, że nie stało się prawdziwe nieszczęście, że sytuacja i tak jest tymczasowa. Ta szczególna chwila nie wydawała się ku temu stosowna. W jej słowach kryła się myśl znacznie ważniejsza. I on to zrozumiał. „Możesz jej tyle dać”.

– Nie, to ja przeszkadzałem – zaproponował. – Zupełnie zapomniałem, że i ja mogę komuś coś dać. Byłem tak pochłonięty swoją bezpłodnością, że pamiętałem tylko o tym, czego nie mogę ci dać, a nie, co mógłbym.

– Nieważne.

– Owszem, ważne. – Dotknął delikatnie jej włosów. – Byłem owładnięty jedną myślą: żebyś mogła zajść w ciążę. To była moja obsesja. Zachowywałem się okropnie.

– Przesadzasz.

– Wcale nie. Nie byłem takim mężczyzną, jakiego potrzebowałaś. Nie byłem mężczyzną, którego poślubiłaś.

– Czy sądzisz, że nie wiem, jak ci było ciężko?

– No to co? Tobie też było ciężko. Nie masz pojęcia, jak mi przykro. Nie jestem w stanie tego wyrazić. Tak bardzo cię zawiodłem.

– Nie, nigdy mnie nie zawiodłeś. Oboje popełniliśmy błąd. Nie potrafiliśmy stanąć twarzą w twarz z tym problemem. Porozmawiać ze sobą otwarcie. Ty w ogóle nie chciałeś mówić, ja próbowałam sobie jakoś radzić, więc wzięłam Corey...

Położył jej palec na ustach.

– Nie zaczynaj. Wcale nie jest źle z Corey.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Tylko tyle był w stanie powiedzieć. Nie bardzo wiedział, co mógłby dodać. Wciąż jeszcze nie potrafił rozeznąć się w swoich sprzecznych uczuciach.

– Dziękuję – szepnęła.

Później, gdy Samantha spała wtulona w niego, uświadomił sobie, że po raz pierwszy od wielu miesięcy kochał się z nią tak jak dawniej. Zapomniał o tym, że nigdy nie da jej dziecka.

Tej nocy nie miało to znaczenia.

ROZDZIAŁ 14

Kątem oka Samantha obserwowała Corey ślęczącą przy kuchennym stole nad zadaniami domowymi. Jej nauczycielka, za radą Joe, zaczęła dawać dziewczynce bardziej ambitne zadania. Wiadomości ze szkoły brzmiały zachęcająco. Corey była teraz bardziej posłuszna i mniej arogancka. W domu natomiast ogarniała ją apatia. Samantha starała się ją czymś zająć, zainteresować, ale reakcje dziewczynki były w najwyższym stopniu niekonsekwentne. Czasami poddawała się Samancie, ale częściej zamykała się w sobie, odgradzała murem zobojętnienia.

Samantha nie musiała udawać się do psychologa, by jej wytłumaczył takie zachowanie. Doskonale wiedziała, co jest jego przyczyną. Corey zdawała sobie sprawę ze swojej sytuacji. Dzielila los wielu przybranych dzieci i cierpiała z tego powodu. Wiedziała, że jej pobyt u Samantha i Joe kiedyś się skończy. Ojca co prawda wciąż nie odnaleziono, ale to bynajmniej nie ułatwiało sprawy. Przeciwnie, komplikowało całą sytuację. Położenie Corey było coraz bardziej niepewne. Samantha nigdy nie rozmawiała z nią o przyszłości, ponieważ nie miała pojęcia, co powiedzieć.

– Skończyłaś matematykę? – spytała, gdy dziewczynka zamknęła książkę.

– To głupie zadania.

Samantha czuła, że w Corey narasta bunt.

– Nie będziesz tak myślała kiedyś, gdy pójdziesz do banku i będziesz musiała sprawdzić swój rachunek. Daj zeszyt, zobaczę, co zrobiłaś.

Corey niechętnie odsunęła krzesło od stołu. Już miała wstać, gdy zadzwonił telefon.

– Poczekaj na mnie – powiedziała Samantha, widząc, że Corey tęsknie spogląda ku schodom. – Zaraz wracam.

Podniosła słuchawkę. Od razu poznała głos po drugiej stronie.

– Samantha?

Tak często rozmawiała ostatnio z Dinah Ryan, że zdążyły się już zaprzyjaźnić.

– Witaj. Coś nowego?

– Będziesz przez jakiś czas w domu?

Samancie serce podeszło do gardła. Na ogół Dinah odpowiadała, że nie ma żadnych wiadomości, niczego ważnego do przekazania. Teraz było inaczej.

– Będę – odpowiedziała. – Joe wróci późno. Właśnie gotujemy z Corey zupę. Zostaniesz na kolacji?

– Dzisiaj nie mogę, dziękuję.

Samantha wciąż była trochę zdenerwowana. Usiadła.

– Zaraz przyjedziesz?

– Jak tylko uda mi się wyjść z pracy.

– A więc czekam.

– Znajdź Corey jakieś zajęcie, żebyśmy mogły spokojnie porozmawiać.

– Dobrze. – Samantha odwiesiła słuchawkę. – Telefonowała panna Ryan –

poinformowała Corey, wchodząc z powrotem do kuchni. Mimo niepokoju wywołanego rozmową z Dinah zdobyła się na uśmiech.

– Sprawdzi pani moje zadanie? – Dziewczynka nie zareagowała na wiadomość, kto dzwonił.

– Oczywiście, przecież obiecałam. – Samantha starała się za wszelką cenę nie pokazać po sobie, że jest podenerwowana. Wzięła zeszyt, ale niewiele zdołała zobaczyć. Cyfry skakały jej przed oczami. – Nieźle – powiedziała jednak.

– Jeszcze nie skończyłam.

– Dobrze, że mi powiedziałaś. Nie zauważyłam.

– Co chciała panna Ryan? – Corey jednak się zainteresowała.

– Wiesz, jaka ona jest. Lubi tutaj wpadać, ile razy może. Właśnie do nas jedzie.

Nawet jeśli dziewczynka wiedziała, że Samantha nie mówi prawdy, nie okazała tego. Wołała nie znać prawdy.

– Przedtem dzwonił pan Joe – dodała Samantha. – Wróci później, ale mówił, że ma dla ciebie dobrą wiadomość.

– Jaka?

– Gdybym ci powiedziała, to już nie byłaby niespodzianka. Corey i tym razem nie zareagowała. Myślami błądziła gdzieś bardzo daleko.

Samantha wiedziała, o jaką niespodziankę chodzi. Sklep muzyczny znał rzemieślnika w pobliskim mieście, który wytwarzał cymbały, banjo i mandoliny. Za odpowiednią opłatą zgodził się poza kolejnością naprawić instrument Joe. Jak zapewniono w sklepie, był to znakomity rzemieślnik. Najlepszy w okolicy. Mandolina właśnie miała zostać dostarczona z powrotem do Foxcove. Jeśli nawet nie będzie to ten sam instrument, prawdopodobnie jakością nie będzie ustępował mandolinie dziadka Giuseppe.

Joe najbardziej się cieszył z tego, że wreszcie odda Corey ukochanego misia. Nie mógł już czasami patrzeć na utkwione w niego oczy pluszowego zwierzątka. Czuł mimo wszystko coś w rodzaju wyrzutów sumienia.

Corey wróciła do swoich zadań. Samantha tak była pogrążona w myślach, że po raz drugi posoliła zupełnie. Była o krok od hysterii, gdy usłyszała zajeżdżający pod dom samochód Dinah.

– Posprzątałaś swój pokój po powrocie ze szkoły? – zwróciła się do Corey.

– Nie.

– Zrób to, jak tylko przywitasz się z panną Ryan. A potem skończ lekcje u siebie. My sobie tutaj porozmawiamy.

– Już skończyłam.

– Czy nie miałaś przeczytać książki i opowiedzieć jej w klasie w przyszłym tygodniu?

Corey bąknęła coś pod nosem. Samantha skierowała się do drzwi. Przeszła przez salon, gdzie Joe postawił największą choinkę, jaką zdołał wnieść. Tego roku ustawili drzewko wcześniej niż zazwyczaj. Oboje wiedzieli dlaczego, choć nie rozmawiali na ten temat. Do Bożego Narodzenia pozostało jeszcze prawie dwa tygodnie, ale w domu już odczuwało się świąteczny nastrój.

Po przyjeździe Dinah przywitała się serdecznie z Corey i spytała, jak minął jej dzień w

szkole. Obejrzała choinkę i przygotowane już ozdoby, które częściowo wykonała własnoręcznie Samantha i Joe. Po raz kolejny pooglądały wszystkie figurki i bibeloty stojące na kominku, zachwyciła się domkiem z piernika, który był podejrzanie skromnie przyozdobiony, od kiedy Corey spałaszowała płot z lukrecji. Gdy dziewczynka udała się do swego pokoju, Samantha zaproponowała:

– Chodźmy do kuchni, napijemy się herbaty.

Dinah usiadła przy stole. Wpatrzyła się, milcząc, w filiżankę, którą przed nią postawiła Samantha.

– Mów, proszę. I tak muszę się dowiedzieć.

– Sama nie wiem, czy to dobra czy zła wiadomość – westchnęła Dinah.

– Jeśli mi nie powiesz, też nie będę wiedzieć.

– Odnaleźliśmy ojca Corey, a w każdym razie mężczyznę, którego Verna Haskins podała jako jej ojca.

– Nie jest nim? – Ze względu na poufny charakter sprawy Dinah nigdy nie zdradziła Samancie ani Joe nazwiska mężczyzny, którego szukali, a Corey też ani razu go nie wymieniła. Zresztą Samanthę to nie interesowało.

– On twierdzi, że nie ma żadnych dowodów na to, że jest ojcem Corey, i odmawia wykonania próby krwi. Moglibyśmy się tego domagać sędownie, ale procedura byłaby długa i kosztowna.

– Wygląda na to, że boi się wyników – stwierdziła po chwili Samantha.

– Być może, ale to i tak nie ma większego znaczenia. Ten człowiek jest zupełnie nieodpowiedzialny, niezależnie od tego, czy jest ojcem Corey, czy nie. Pozostawił po sobie niejedno dziecko po drodze stąd do Savannah i żaden sąd nie był w stanie zmusić go do płacenia alimentów czy sprawowania opieki nad dziećmi. Nie ma żadnych dochodów. Utrzymują go kobiety, a kiedy mają go dość, szuka sobie następnych. W czasie ostatnich dziesięciu lat kilka razy był w więzieniu.

– Co za drań – oburzyła się Samantha.

– To i tak zbyt łagodne określenie. – Dinah obracała w ręku łyżeczkę. – Rzecz w tym, że jesteśmy skłonni pozwolić mu się wymknąć. Wszelkie nękanie go i tak byłoby bezowocne. Poza tym oświadczył, że jeśli nie podamy go do sądu, podpisze oświadczenie, że jest ojcem Corey i zrzeka się wszelkich praw rodzicielskich.

– I taki typ uważa się za mężczyznę.

– Niektórzy mężczyźni pojmują męskość w sposób bardzo szczególny.

Samantha wyczuwała, że Dinah chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nie pozwoliło jej na to dobre wychowanie i wrodzony takt.

– Jak mam to przekazać Corey?

– Myślę, że pytanie powinno brzmieć, co jej powiesz. Samantha umknęła wzrokiem w bok.

– Nie zamierzam niczego owijać w bawełnę – wyjawiała swoje stanowisko Dinah. – Wkrótce Corey będzie można oddać do adopcji. Zamierzamy przyjąć propozycję jej ojca i możliwie jak najszybciej pozbawić go praw rodzicielskich. Naszym zadaniem jest

umieszczanie dzieci w rodzinach zastępczych, które stworzą im dom. Nie chcemy przeciągać sprawy Corey. Powinna jak najszybciej znaleźć się gdzieś na stałe. Jeśli nie znajdziemy dla niej nic w Sadler County, wyślemy ją dalej, nawet do innego stanu.

– Kto byłby dla niej odpowiedni? – spytała Samantha.

– Wy. Ale tylko w takim przypadku, gdybyście oboje tego chcieli. Ty i Joe. Jeśli się zdecydujecie, nic nie będzie stało na przeszkodzie, żebyście ją adoptowali.

„Nic nie będzie stało na przeszkodzie, żebyście ją adaptowali”.

Słowa te wciąż brzmiały w uszach Samantha, gdy wraz z Joe i Corey jedli przesoloną zupę i grzanki. Wracały niczym echo, gdy Corey karmiła Bellę, a ona i Joe sprząтали w kuchni. Słyszała je, gdy pomagała Corey przygotować ubranie na rano, kiedy czytała jej przed snem i otulała kołdrą.

Nic, ale to nic nie będzie im stało na przeszkodzie.

Nic prócz Joe.

Samantha długo zwlekała z zejściem na dół, mimo że Corey już spała. Wiedziała, że musi przekazać mężowi to, czego się dowiedziała od Dinah. Wiedziała również, czego nie może powiedzieć. Nie może go prosić, żeby rozważył adopcję dziewczynki. Obiecała mu przecież, że nigdy o tym nie wspomni, że taka myśl nawet nie przyjdzie jej do głowy. Wytrzymał jakoś przez te wszystkie miesiące, kiedy Corey z nimi mieszkała, ponieważ ustalili, że jest to sytuacja tymczasowa. Nie miała prawa niczego więcej od niego żądać i nie chciała wszczynać nowej wojny. Doszli z Joe do porozumienia i było jej z tym bardzo dobrze.

Corey będzie musiała opuścić ich dom.

Samantha ukryła twarz w dłoniach. Miała świadomość, że ta chwila nadejdzie, i przewidywała, że będzie jej ciężko. Wierzyła jednak, że znajdzie w sobie dość sił, by się z tym uporać. Teraz okazało się, że była w błędzie. Nie miała siły. Kochała Corey tak bardzo, jakby to było jej własne dziecko, jakby sama ją urodziła.

Nie łączyły ją, co prawda, z Corey więzi krwi, ale łączyły ją więzi serca. A te bywają niekiedy mocniejsze. Wiedziała teraz, co muszą czuć matki, które tracą swoje nowo narodzone dziecko. Nigdy się nie dowie, gdzie jest Corey, u kogo. Nie będzie wiedziała, czy dziewczynka jest szczęśliwa, czy ją zaakceptowano. Nie będzie obserwować jej, gdy dorasta, gdy kończy szkołę średnią i college, nie będzie na jej ślubie, nie pozna jej dzieci. Dla niej Corey umrze.

Łzy płynęły jej po policzkach. Zastanawiała się, jak powiedzieć o tym Joe. Zawarli układ, a więc nie ma prawa obwiniać go nawet w części o to, co się stało. Od samego początku nie krył przed nią, co myśli na temat ewentualnej adopcji. Dla niego w ogóle nie wchodziła w rachubę. Nie może go prosić o więcej, niż on może dać. Uczucia do dziecka nie mogą zniszczyć jej małżeństwa. Rozmawiając z nim, musi zachować spokój i rozsądek. Nie może zrobić ani powiedzieć niczego, co sprawiłoby mu przykrość, co zrozumiałby jako obarczenie go winą. Gdyby uznał, że tak jest, ich małżeństwo znowu znalazłoby się na skraju przepaści. Zepsułaby to wszystko, co udało im się naprawić.

Nie usłyszała, że drzwi cicho się otwierają i zamykają. Nie słyszała kroków. Zorientowała

się, że Joe jest w sypialni dopiero wtedy, gdy usiadł obok niej na łóżku i otoczył ją ramieniem.

– Co się stało? – spytał.

Nie chciała mu tego powiedzieć teraz. Chciała dojść do siebie, uspokoić się. Nie przychodziła jej jednak do głowy żadna sensowna wymówka.

– Rozmawiałaś dzisiaj z Dinah Ryan? – domyślił się. Przymknęła.

– Znaleźli ojca Corey?

– Tak.

– Przyjedzie i zabierze ją?

Nie zdziwiła się, że Joe tak pomyślał. Był przecież prawdziwym mężczyzną: honorowym, przywoitym, opiekuńczym. Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie? – zdumiał się.

– Nie chce jej – wyjaśniła, z trudem powstrzymując łzy. Nie wolno jej się rozpląkać. Nie może wciągać Joe w swoje rozterki.

– Co się właściwie wydarzyło? – nalegał.

Usłyszała, jak mówi dokładnie to, czego nie powinna powiedzieć.

– Och, to prawdziwy mężczyzna, typowy okaz samca. Spłodził niejedno dziecko. Bez żadnych problemów kobiety zachodzą z nim w ciążę. Zmienia partnerki jak rękawiczki, a potem zostawia je z dziećmi same. Ale swoje zrobił, czyż nie? Rozdzielił swoje wspaniałe geny. To wystarczy.

– Jak to?

Wyprostowała się i otarła łzy z policzków.

– Po prostu mówię, jak jest. Niewątpliwie ojciec Corey szczeni się tym, że zwiększył populację południowego wschodu Stanów Zjednoczonych. Nie zajmuje się dziećmi, które spłodził, ani ich nie utrzymuje, a kiedy go przycisnąć do muru, wręcz się ich wypiera. Jest usatysfakcjonowany, że spełnił swoją męską powinność i że coś z niego pozostanie w przyszłości. To wszystko.

– Nie chce się przyznać, że jest ojcem Corey?

– Nie jest jej ojcem! – Samantha wstała. – Och, powie, że jest, jeśli władze zapewnią go, że nie ciąży na nim żadne zobowiązania. Chętnie zrzeknie się wszelkich praw do Corey. Ale on nie jest jej ojcem! Być może jest mężczyzną, z którym matka Corey zaszła w ciążę, ale nie jest jej ojcem w stopniu większym niż Vema matką. Zresztą trudno go nawet porównywać z Vemą. Ona przynajmniej starała się choć trochę spełniać swoje obowiązki rodzicielskie.

– I dlatego płaczesz?

– Tak.

– Jesteś zła – Tak. Na niego! – Popatrzyła Joe prosto w twarz. Wciąż starała się panować nad głosem, kontrolować myśli.

– I te uwagi na temat prawdziwego mężczyzny, jego genów i spłodzonych dzieci nie mają nic wspólnego ze mną? – dopytywał się.

– Pewno, że nie – burknęła.

– Kłamiesz jak z nut. Zobaczyła w jego oczach gniew.

– Podle się czuję. Nie mogę trzeźwo myśleć – przyznała. – Porozmawiamy o tym później.
– Porozmawiamy o tym teraz. – Wstał i chwycił ją za ramiona. – Powiedz, o co ci chodzi. Nie kręć, nie baw się w niedomówienia, tylko powiedz prosto z mostu to, co naprawdę chcesz powiedzieć.

– Nie.

– Samantho!

Zdawała sobie sprawę, że posunęła się za daleko, ale nie dostatecznie daleko. Co gorsza, wiedziała, że teraz nie można się już wycofać.

– Ma to, czego ty chcesz, czy tak?! Może zapłodnić każdą kobietę, z którą pójdzie do łóżka. I to czyni go mężczyzną?! – wykrzykiwała.

– To czyni go zwierzęciem!

– Joe...

– Czy myślisz, że nie potrafię dostrzec różnicy?

– Sama już nie wiem.

Odwrócił się od niej. Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Nie potrafiła jej przerwać.

– Marzyłem, że będę miał dom pełen dzieci. Tak jak było u mnie w rodzinie. – Joe nadal stał tyłem do Samanthy. Powoli podszedł do okna. Dotknął misia Corey, pogłaskał go delikatnie. – Myślałem, że będę takim ojcem jak mój staruszek. Kiedy umarł, ledwie skończyłem dziesięć lat, ale pamiętam go tak dobrze, jakby jeszcze wczoraj był z nami. Zawsze miał dla nas czas. W każdą niedzielę ustawiał nas w holu, od najmniejszego do najwyższego i sprawdzał, jak wyglądamy, żebyśmy mu nie przynieśli wstydu w kościele. Byliśmy Giovanellimi, a to zobowiązywało.

– Nadal zobowiązuje.

– Wiesz co? Może już nie. Albo gdzieś po drodze wszystko się zmieniło. Nie byliśmy rodziną, jaką dziś rzadko się spotyka, tylko dlatego, że dzieci rodziły się jedno po drugim. Byliśmy szczęśliwi, ale nie dlatego, że mogliśmy wyrysować nasze drzewo genealogiczne aż do przodków z małej wioski na północy Włoch. Byliśmy szczęśliwi, jedyni w swoim rodzaju, ponieważ ojciec i matka dbali o nas. A my to czuliśmy. Oni dawali nam siłę. Oni sprawili, że pragnęliśmy dojść do czegoś w życiu. Nie zmarnować go. Mój staruszek był prawdziwym mężczyzną. I byłby nim, nawet gdyby nie mógł dać matce ani jednego dziecka. Był prawdziwym mężczyzną, ponieważ był dobrym człowiekiem. To proste.

Samantha pragnęła dodać otuchy Joe, sprawić, by poczuł się lepiej.

– Ty też jesteś prawdziwym mężczyzną – powiedziała. – Nigdy nie było i nie będzie inaczej.

– Nie, tu się mylisz. Przestałem być prawdziwym mężczyzną w dniu, w którym się dowiedziałem, że jestem bezpłodny. Spytałaś mnie kiedyś, co bym zrobił, gdyby to był twój problem. Wiesz co? – Zbliżył się do niej. – Zaakceptowałbym to. Byłoby mi żal, czułbym, że coś tracę, ale zaakceptowałbym to. I zastanowiłbym się nad wszystkimi możliwościami, jakie istnieją w takiej sytuacji.

– Nad adopcją?

– Przede wszystkim.

– Ale to nie był mój problem.

– Nie. I nie mogłem sobie z tym poradzić. Byłem nieszczęśliwy, bo cię zawiodłem, ale byłem jeszcze bardziej nieszczęśliwy, ponieważ los mnie oszukał, zakpił ze mnie. Kiedy się dowiedziałem, że to ja jestem bezpłodny, zapodziała się gdzieś cała moja męskość. Ktoś mnie jej pozbawił. A wiesz kto? – Wskazał palcem na siebie. – Ja. Ja sam.

– Och, Joe – szepnęła.

– A teraz dostrzegam różnicę i widzę, że to ja stanowią problem. I nie z powodu bezpłodności, tylko z powodu mojego nastawienia. Nie mogę nic poradzić w tej pierwszej sprawie, ale w drugiej, do diabła, mogę. Na pewno mogę. To zależy tylko ode mnie.

– O czym ty mówisz? – Samantha nie wierzyła własnym uszom.

– Co opieka społeczna zamierza zrobić z Corey? – spytał.

– Będzie oddana do adopcji.

– Ty się na to zgadzasz?

– Nie możemy podejmować decyzji w ten sposób – odparła. – Nie możemy jej wziąć tylko dlatego, że chcesz, abym była szczęśliwa.

– Ty? Od kiedy to mówimy o tobie? Samantha milczała.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała wreszcie.

– To, czego się domyślasz. W tej chwili zastępujemy temu dziecku rodziców. Jesteśmy dla Corey prawdziwymi rodzicami. Nigdy takich nie miała. Myślę, że możemy uczynić następny krok.

– Zatrzymać ją?

– Jest cała masa dzieci, które potrzebują tego, co my im możemy dać, a jedno z nich mieszka pod naszym dachem. Potrzebuje nas, a my potrzebujemy dzieci. To chyba proste.

– O Boże, to wcale nie jest proste! – wykrzyknęła Samantha. Podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

– Jest to tak proste jak telefon do Dinah.

– Powiedziałam jej, że nigdy nie zgodzisz się na adopcję. Dziś jej to powiedziałam.

– Naprawdę? To ja powiem jej jutro co innego. Zrozumie.

– Nie wiem, co myśleć.

– Powiem ci, co masz myśleć. Kocham cię. A tam obok jest mały diabeł wcielony. Bardzo nieszczęśliwy i zagubiony.

– I? – Podniosła ku niemu twarz.

– I wydaje mi się, że chcę, żeby to była moja córka. Popatrzyła mu w oczy i poznała, że mówi prawdę.

– Chcesz tego? – upewniła się.

– Tak. Chcę być jej ojcem. Prawdziwym ojcem. Widzisz, to proste.

– Joe...

Poczuła na swoich ustach jego wargi. Objęła go i mocno przycisnęła do siebie. Była przepełniona miłością. Mimo tego, co przeszli, nigdy nie przestała go kochać, ale teraz kochała go jeszcze bardziej. Teraz był znowu tym mężczyzną, którego poślubiła.

– Jesteś pewien? – szepnęła.

– Niczego w życiu nie byłem bardziej pewien.

Miał ciepłe i silne dłonie. Te dłonie wędrowały teraz po jej ciele jak gdyby na nowo uczyły się wszystkich jego kształtów. Zdjął z niej bluzkę, spódnicę i to wszystko, co miała na sobie z niespieszną ciekawością odkrywcy. Westchnęła, gdy wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Leżała bez ruchu, gdy się rozbierał. Srebrzysty blask księżyca oświetlał jego ciało. Był podniecający i niebezpieczny, był mężczyzną, który ucieleśniał wszystkie marzenia kobiet.

Kiedy stanął przed nią imponujący w swej męskości, wyciągnęła ku niemu ręce. Łóżko ugięło się pod jego ciężarem. Leżał obok niej, dotykając całym sobą jej wyprężonego ciała.

Uśmiechnął się w sposób, który tak kochała. Dostrzegła w jego ciemnych oczach ufność, jakiej nie widziała już dawno.

– Dziś poczniemy nasze pierwsze dziecko – powiedział.

Łzy napłynęły jej do oczu. Łzy wdzięczności i szczęścia. Przepęłniał ją ogrom miłości, jakiej dotychczas nie знаła, miłości do tego mężczyzny, który przeszedł tak wiele i stał się przez to jeszcze silniejszy i w jakiś sposób lepszy.

– I chyba to nie będzie nasze ostatnie dziecko – dodał szeptem.

– Nasze – powtórzyła. – Nieważne w jaki sposób.

– Nieważne – dotknął jej warg, jakby chcąc przypieczętować te słowa. Zadrżała i oddała mu pocałunek. Był to pocałunek długi i namiętny, po którym nie czuła już nic prócz pożądania. Jego ręce przesuwają się po jej ciele. Dotykał najczulszych, najwrażliwszych miejsc. Zawsze był bardzo delikatnym i uważającym kochankiem, ale teraz było to coś więcej niż dawanie i branie, była to obopólna potrzeba i wzajemna namiętność.

Jęknęła, gdy poczuła go w sobie. Stali się jednością w stopniu większym niż kiedykolwiek przedtem. Joe stał się częścią niej, czuła jego siłę i zdecydowanie. Zaczął się poruszać, patrzyła w jego oczy i tym razem widziała w nich tylko miłość. Wiedziała, że ta miłość, którą ze sobą dzielą, ta miłość, którą wyrażają w tak cudowny sposób, poprowadzi ich bezpieczną ścieżką w przyszłość.

A kiedy zespolenie stało się pełne, nabrała pewności, że tej nocy dziecko poczęło się naprawdę. Dziecko ich serca i ich miłości.

Nigdy w życiu nie przeżyła czegoś tak niezwykłego.

W pokoju cienie znowu tańczyły na suficie. Nie te jednak, do których już się przyzwyczaiła. To były palce duchów, stwierdziła, gdy przebudziła się po jakimś koszmarnym śnie. Przez chwilę nie była nawet pewna, czy wciąż jest w swoim pokoju u pani Sammy. Rozejrzała się jednak ostrożnie i upewniła, że tak. tylko w pokoju było ciemniej niż zwykle.

Usiadła, mimo że bardzo się bała, czy te palce nie wyciągną się ku niej. Zauważyła, że świeci się tylko jedna nocna lampka, a i tak zasłaniają oparcie krzesła.

Chciała wstać, żeby przesunąć krzesło, ale za bardzo się bała. Zbierało jej się na płacz, ilekroć przypomniawszy sobie swój sen.

Goniła swego ojca, wysokiego mężczyznę z włosami czarnymi jak pan Joe. Właśnie miała go chwycić, gdy nagle zniknął. A potem, kiedy rozglądała się wokół, szukając pani

Sammy i pana Joe, zobaczyła, że ich też nie ma. Była zupełnie sama.

Łzy płynęły jej po twarzy. Pani Sammy myślała, że nie słyszała jej rozmowy z panną Ryan, ale tak nie było. Nie słyszała, co prawda, wszystkiego, co mówili, ale usłyszała, że ojciec jej nie chce. Na to pani Sammy powiedziała, że pan Joe nigdy jej nie adoptuje.

Wiedziała, że pan Joe jej nie chce. Przez nią rozbił samochód, ona spaliła mu chatę. Później zniszczyła jego mandolinę. Chciała wreszcie się dowiedzieć, czy zamierza się jej pozbyć. W każdym razie wydawało jej się, że dlatego to zrobiła. Czasem robiła coś, czego sama nie pojmowała. Ale było to silniejsze od niej.

Wiedziała, że bardzo się starała, żeby pani Sammy ją pokochała. Kiedy pani Sammy i pan Joe kłócili się, myślała, że może się jej udało. Ale ostatnio oni nigdy długo się nie kłócili. W każdym razie nie od czasu, gdy zniszczyła mandolinę. Całowali się, kiedy myśleli, że ich nie widzi.

Niekiedy wydawało jej się, że pani Sammy wcale jej nie kocha; Już nie. A teraz była pewna, że nie zostanie u pani Sammy. Nie wiedziała, dokąd ją wyślą.

A może panna Ryan się myliła. Może ojciec wziąłby ją, gdyby się poznali. Może by ją pokochał.

Cienie znowu zaczęły się poruszać. Przeszedł ją dreszcz. I nagle nie myślała już o niczym innym tylko o tym, żeby uciec z tego pokoju. Doszła do drzwi i otworzyła je. Drzwi pani Sammy były zamknięte, ale Corey wydawało się, że słyszy jakiś hałas. Przeszła na palcach przez korytarz i stanęła pod jej pokojem.

Słyszała śmiech pana Joe i pani Sammy. Wydawali się szczęśliwi. Wiedzieli, że Corey ich opuści, a jednak byli szczęśliwi.

Chciała zapukać do drzwi, żeby pani Sammy ją otuliła, może nawet pozwoliła jej spać na podłodze obok łóżka. Ale znowu rozległ się śmiech pani Sammy. Poczuła się najbardziej samotną istotą na świecie.

Wróciła na palcach do swego pokoju. Cienie na suficie nie wydawały się już takie straszne. Były rzeczy bardziej przerażające. Weszła pod kołdrę i przykryła się po czubek głowy. Leżała w ciemności, powtarzając imię ojca.

ROZDZIAŁ 15

A en plecak waży chyba tonę. – Joe podniósł plecak Corey i udał, że się pod nim ugina.

– Sama go wezmę.

– Dobrze, już dobrze. Rozchmurz się. – Odłożył plecak na ziemię. – Pani Samantha powiedziała mi, że macie lekcje tylko do południa, a potem jedziecie na wycieczkę i zwiedzacie po drodze fabrykę cukierków.

Corey umknęła wzrokiem w bok. Od rana prawie się nie odzywała.

Joe był zdziwiony, ale nie miał czasu głowić się nad przyczyną jej złego humoru. Postanowili z Samantha, że zadzwonią do Dinah Ryan przed rozmową z dziewczynką. Chcieli mieć pewność, że nic nie stanie na przeszkodzie ich planom adopcyjnym, i dopiero wtedy oznajmić Corey, że zostanie ich córką. Nie wiedział, jak ona zareaguje na wiadomość o ojcu – oczywiście odpowiednio podaną – ale miał nadzieję, że z czasem oswoi się z nią, i będzie zadowolona, że zostaje u nich.

– Ej, Piwnooka – zagadnął. – Zapowiada się ciekawy dzień. Uśmiechnij się.

– Czy aby nie musisz już jechać do szkoły, Joe? – spytała Samantha, schodząc z góry.

– Tak, mamusi – mrugnął do niej porozumiewawczo.

Zarumieniła się.

– A więc się zbieraj.

– Dobrze, ale wróć dzisiaj wcześniej.

– Przygotuję na kolację coś dobrego.

– Może być kurczak z rożna.

– Chciałabyś kurczaka, Corey? Dziewczynka wzruszyła ramionami.

Joe zrobił to samo, po czym pochylił się i pocałował Sannthę. Zmierzwiał włosy Corey, ale cofnęła się wystarczająco szybko, by całkiem nie popsuł jej fryzury.

– Będziemy na ciebie czekały – powiedziała znacząco Samantha.

– Już się cieszę na powrót do domu.

Zniknął za drzwiami, a Samantha wróciła na górę po torebkę. Gdy zeszła, dziewczynki nie było w holu.

– Corey? – zawołała.

– Już idę.

Zdziwiła się, co mała robi w kuchni, ale nie zaprzętała sobie tym dłużej głowy. Uczniom polecono wziąć z domu drugie śniadanie. Mieli je zjeść w autokarze. Pomyślała, że pewnie bierze jeszcze jabłka albo banany.

– Gotowa? – spytała, gdy dziewczynka wyszła.

Corey rozejrzała się wokół, przez chwilę zatrzymała wzrok na drzewie za oknem.

– Chyba tak – powiedziała.

– A więc chodźmy, bo się spóźnimy.

Pobiegły do samochodu. W szkole Corey od razu udała się do swojej klasy.

Przedpołudnie minęło szybko, choć Samantha bez przerwy zerknęła na zegarek. Joe

postanowił osobiście zatelefonować do Dinah Ryan. Wyobrażała sobie dziesiątki razy ich rozmowę aż do chwili, gdy wreszcie przyszła pora lunchu. Chciała jak najszybciej porozmawiać z mężem.

Przez okno widziała uczniów drugiej klasy wsiadających do autokaru. Żałowała, że nie jedzie z nimi. Chętnie towarzyszyłaby Corey, ale musi zadowolić się tym, co dziewczynka opowie jej wieczorem.

To będzie bardzo szczególny wieczór dla wszystkich.

Gdy tylko autokar odjechał, a jej pierwszoklasiści poszli do stołówki, zadzwoniła do Joe. Niestety, na razie nie miał dla niej żadnych wiadomości. Nie zastał Dinah. Przez cały czas miała spotkania i nie mogła podejść do telefonu. Zostawił jej wiadomość, ale dotychczas się nie odezwała.

Reszta dnia ciągnęła się w nieskończoność. Zanim autokar z drugoklasistami wrócił, Samancie wydawało się, że minęły wieki. Wreszcie dzwonek oznajmił koniec lekcji i mogła odesłać swoich uczniów do domu. Czekając na Corey, sprzątała w klasie, układała porozrzucane przybory i ustawiała krzesła.

Zrobiła już wszystko, a dziewczynki wciąż nie było. Zaczęła się nawet trochę niepokoić. Corey powinna już tu być. Zastanawiała się, czy aby znowu nie nabroiła i czy za karę nie siedzi po lekcjach. Włożyła płaszcz i rękawiczki, zgasła światło i poszła do klasy Carol Simpson. Nie zastała tam nikogo – sala była pusta, światła wygaszone. Nauczyciel z sąsiedniej klasy, powiedział, że Carol wyszła do domu wcześniej niż zwykle, ponieważ wieczorem spodziewała się gości. Samantha przeszła po innych klasach. Polly właśnie gasiła światło, gdy weszła do jej sali.

– Nie mogę znaleźć Corey – powiedziała. – Czy może jest z Mary Neli?

– Nie. Mary Neli jest w domu. Ma grypę. Zapomniałaś?

– Ach, racja – przypomniała sobie Samantha. – Corey zawsze po lekcjach przychodzi po mnie i jedziemy razem do domu. Nigdzie jej nie ma. Co się z nią mogło stać?

– Poszukajmy jej razem. Byłaś w zachodnim skrzydle? Samantha potrząsnęła głową. Polly ruszyła w tamtym kierunku, a Samantha dalej przeszukiwała wschodnie skrzydło i dziedziniec. Spotkały się na dole w holu.

– Ani śladu – stwierdziła Polly. – Czy ona była na wycieczce?

– Oczywiście. To znaczy myślę, że była. Wzięła drugie śniadanie i bilet. Dlaczego nie miałyby pojechać? Chyba jej gdzieś nie zostawili? – zaniepokoiła się nagle.

– Wszystko jest możliwe.

– Pójdę jeszcze raz do sekretariatu.

– Myślę, że powinnaś raczej zadzwonić do Joe – zasugerowała Polly.

– Dzięki za pomoc, ale nie chcę cię dłużej zatrzymywać. Musisz się zająć Mary Neli.

– Harlan jest w domu. Zatelefonuję do niego. Zostanę z tobą, dopóki Corey się nie znajdzie.

– Jesteś bardzo miła ale...

– Myślisz, że wrócę do domu i powiem Mary Neli, że zgubiłyśmy jej najlepszą przyjaciółkę?

Samantha ścisnęła rękę Polly. Zaczynała się poważnie niepokoić. Okazało się, że w sekretariacie nie było listy dzieci, które pojechały na wycieczkę. Samantha zadzwoniła do męża.

– Nie mogę wciąż złapać Dinah – powiedział, zanim zdążyła się odezwać. – Próbowałem trzy razy.

– Corey zniknęła – oznajmiła Samantha i odłożyła słuchawkę, gdy zapewnił ją, że zaraz przyjedzie.

Zwróciła się do niej sekretarka, kobieta o macierzyńskim wyglądem, która w każdej sytuacji zachowywała spokój:

– Rozmawiałam z jedną z opiekunek dzieci. Nie przypomina sobie, żeby widziała Corey, gdy wysiadali z autokaru przed fabryką. Ale była ich spora gromada. Nie należy od razu wpadać w panikę...

Prosto z zebrania w budynku administracji przybiegła dyrektorka szkoły. Gdy przyjechał Joe, sekretariat był już pełen ludzi, starających się odtworzyć przebieg wydarzeń.

Samantha rzuciła mu się w ramiona. Nic jej nie obchodziło, że nie są sami. Potrzebowała go. Pogłaskał ją po głowie i wymamrotał jakieś słowa pocieszenia.

W drzwiach stanęła Carol Simpson. Była to blada kobieta, bardzo szczupła i wysoka. Teraz wyglądała na osobę na skraju załamania nerwowego.

– To moja wina – rozplakała się. – Nie sprawdziłam w autobusie listy obecności. To niewybaczalne. Po prostu nie zrobiłam tego. Każda z matek miała pod opieką grupkę dzieci. Myślałam, że to wystarczy.

Samantha wyczuła, że Joe z trudem trzyma nerwy na wodzy, ale zdołał się opanować.

– Widziałaś Corey? – spytał. Carol potrząsnęła głową.

– Nie przypominam sobie, żebym w ogóle ją widziała. Przykro mi. Ale to nie znaczy, że jej nie było.

– I nie zauważyłaś, że nie ma jej na miejscu, gdy wróciliście do klasy?

– Było takie zamieszanie. Dzieci się tłoczyły. Nie mogłam sobie z nimi dać rady. A więc pozwoliłam, żeby robiły, co chcą. I tak już niedługo miały się rozejść do domów.

– I nigdzie nie widziałaś Corey? Zastanów się.

– Nie pamiętam.

– Może pomagałaś jej się ubrać? – nalegała Samantha.

Carol za wszelką cenę usiłowała sobie coś przypomnieć. Wreszcie dała za wygraną.

– Nie pamiętam! Mam w klasie dwudziestu sześciu uczniów.

– Dwudziestu pięciu – skorygował Joe. – Bo wygląda na to, że jedno dziecko zgubiłaś. Nasze.

Wolała zejść na pobocze szosy. Samochody jeździły tutaj bardzo szybko. Niektóre z nich tak śmiesznie ślizgały się na zakręcie. Drzewa były mokre od deszczu tak jak droga, ale ścieżką dało się iść. Trzeba było tylko uważać.

Szła już dość długo. Zaczynało się robić ciemno. Zapomniała, że o tej porze roku wcześniej zapada zmrok. Za parę dni Boże Narodzenie. Dzień od rana był pochmurny. Teraz zrobiło się jeszcze bardziej ponuro.

Bez problemu oddaliła się od grupy. Wsiadła z autokaru i powiedziała jednej z matek, że pójdzie z inną grupką uczniów pod opieką innej matki. Potem, kiedy nikt na nią nie patrzył, ukryła się za samochodem na parkingu i zaczęła, aż wszyscy wejdą do budynku fabryki. I wtedy szybko wróciła na szosę, którą przyjechali.

Przez cały czas uważnie śledziła drogę. Wiedziała, w którą stronę skręcił autobus, a więc poszła w przeciwnym kierunku. Jeśli jedna droga prowadziła do Foxcove, to druga musiała prowadzić do Karoliny Południowej. To proste.

Dotychczas wszystko wydawało się proste, ale zbliżał się wieczór, a więc należało pomyśleć o noclegu. Bolały ją nogi, obtarła sobie pięty. Zmarzła, mimo że była ciepło brana. Wiedziała, że będzie zimno. Rano wcisnęła jeszcze do plecaka bluzę od dresu i sześć puszek tuńczyka, które znalazła w szafce w kuchni.

Nie wzięła jednak noża do konserw, bo to by już była kradzież. Uderzy w puszkę kamieniem i jakoś ją otworzy. Jak tylko znajdzie miejsce nadające się na nocleg.

Wzięła ze sobą z domu coś jeszcze. Misia. Miała nadzieję, że pan Joe nie będzie bardzo zły. Powiedział jej, że udało się naprawić mandolinę. Zresztą na pewno nie będzie się przejmował misiem, skoro ona zamieszka gdzie indziej. Będzie zadowolony, że już jej nie widzi.

Miała misia, puszki z tuńczykiem, resztki drugiego śniadania i bluzę od dresu. Wzięła nawet puszkę piwa słodowego, ale już ją wypila.

Teraz znowu chciało jej się pić i jeść. Pamiętała, że pani Sammy obiecała przygotować na kolację kurczaka z rusztu. Zrobiło jej się smutno. Zostawiła w kuchni kartkę do pani Sammy przed samym wyjściem do szkoły. Nie chciała jej martwić.

Usłyszała psy szczekające gdzieś w pobliżu i pomyślała, że może jest tu jakaś farma. Kiedyś pani Sammy czytała jej książkę o dzieciach, które mieszkały w starym wagonie towarowym. Nie miały rodziców, ale były takie sprytne, że świetnie radziły sobie same. Nigdy nie były głodne ani zmarznięte. Ona też taka będzie. Znajdzie sobie jakieś przytulne ciepłe miejsce i urządzi w nim na noc. Przeczeka tam z misiem do rana i wtedy wyruszą w dalszą drogę. Tuńczyka wystarczy jej na długo. Jeśli będzie potrzebowała więcej jedzenia, to sobie kupi. Dostała od pani Sammy pieniądze na prezenty gwiazdkowe.

Żałowała, że nie kupiła podarunku dla pani Sammy i nie zostawiła go w domu. Żałowała nawet, że nie kupiła czegoś dla pana Joe. Przypomniało jej się, jak zmierzwił jej rano włosy i tak śmiesznie ją nazwał – Piwnooką. Ile razy pomyślała o ojcu, zawsze wyobrażała sobie, że jest podobny do pana Joe. Może pewnego dnia ojciec też powie do niej Piwnooką?

Zatrzymała się na chwilę. Miała mokre policzki, mimo że deszcz już nie padał. Była zmęczona, a z każdą minutą robiło się ciemniej. Zdjęła plecak i otworzyła go, żeby wyjąć misia. Potem, przytuliwszy go do piersi, powoli poszła dalej.

– Dinah, ona była w autokarze, kiedy ruszali spod szkoły. Jesteśmy tego pewni. Ale nikt sobie nie przypomina, czy potem ją widział. – Joe ścisnął kurczowo słuchawkę telefonu. – Tak. Powiadomiłem policję. Organizują poszukiwania. Zaczną od fabryki. – Słuchał, co mówi jego rozmówcy. Samantha obserwowała go, jak nerwowo odgarnia włosy z czoła. – Tak,

poinformowałem ich, że my się nią tylko opiekujemy. Skontaktują się z tobą, gdy tylko ją znajdą.

Rzucił jeszcze parę zdawkowych słów i odłożył słuchawkę. Samantha chciała do niego podejść, powiedzieć coś pocieszającego, ale była jak odrętwiała. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

– To nie była ta rozmowa, jaką chciałem dziś odbyć z Dinah – mruknął.

Na chwilę zostali sami. Dyrektorka udostępniła mi swój gabinet, żeby mogli porozumieć się z Dinah.

– Gdzie ona może być? – głowiła się Samantha.

– Pojadę razem z policją – oświadczył Joe. – Harlan też się przyłączy, będą też pewnie ochotnicy ode mnie ze szkoły. Dinah uważa, że powinnaś pojechać do domu i tam czekać. Może Corey zadzwoni albo wróci.

– Chcę jej szukać.

– Wiem, ale musisz pojechać do domu i czekać.

– Nie!

– Proszę cię, pojedź najpierw do domu i dokładnie się rozejrzyj. A potem, gdyby ktoś cię zastąpił przy telefonie, przyjedź. Dobrze?

– zaproponował Joe.

Musiała w duchu przyznać, że ma rację, choć niczego tak bardzo nie pragnęła, jak przyłączyć się do poszukiwań.

– Dobrze – zgodziła się.

– Znajdziemy ją, bądź spokojna – zapewnił.

– Na dworze jest zimno i mokro. Jak ona sobie poradzi? – martwiła się Samantha. – A co będzie, jeśli porwał ją jakiś szaleniec albo... zboczeniec?

– Niemożliwe, żeby ktokolwiek mógł ją porwać z parkingu przed fabryką, gdzie było pełno ludzi. Wygląda raczej na to, że uciekła.

– Ale dlaczego?

– Dowiemy się, jak ją znajdziemy.

– Kiedy?

– Nie wrócę do domu, dopóki się nie odnajdzie.

Samantha czuła, że łzy napływają jej do oczu. Walczyła z nimi.

– Czuję się kompletnie bezradna – stwierdziła.

– Poproś koleżanki, żeby pomogły ci zrobić kanapki i kawę. Przywieziesz je nam. Na pewno zgłodniejemy.

– A jeśli ona słyszała naszą rozmowę wieczorem? – przeraziła się Samantha. – Jeśli nie chce u nas zostać i dlatego uciekła?

– Nie jesteś w stanie odgadnąć, czym się kierowała.

– Och, Joe, co ja bym bez ciebie zrobiła. Dotknął jej policzka.

– Ale ja jestem. Znajdziemy Corey – uspokoił ją. – Wszystko dobrze się skończy.

Do gabinetu dyrektorki weszło kilka osób. Cztery nauczycielki zaofiarowały się, że pojadą z Samantha do domu i pomogą jej przygotować kanapki dla poszukujących. Polly

obiecała, że przyjedzie, jak tylko któreś z jej starszych dzieci wróci do domu i zostanie z Mary Neli. W holu formowała się już grupa mężczyzn, którzy mieli wyruszyć na poszukiwanie Corey. Policja organizowała własną grupę. Również w szkole Joe zbierali się ochotnicy. W krótkim czasie około pięćdziesięciu osób zgłosiło gotowość pomocy.

Samantha poczekała, aż Joe odjedzie, i poszła do samochodu. Pozostałe kobiety miały pojechać za nią po zrobieniu zakupów w sklepie spożywczym.

Kiedy weszła do domu, wydał się jej rozpaczliwie pusty. Zawołała Corey, choć nie spodziewała się usłyszeć jej głosu. Odpowiedziała jej cisza. Nawet kotka gdzieś przepadła.

Samantha poszła najpierw na górę. Sprawdziła wszystkie pokoje, zajrzała do łazienki i komórki, a nawet pod łóżko Corey. A nuż dziewczynka gdzieś się schowała. Później zeszła na dół. O mało nie przeoczyła kartki. Leżała na notesie obok telefonu. Podniosła ją, by otworzyć notes na wypadek, gdyby musiała coś zanotować. Zobaczyła starannie wypisane jedno zdanie. „Poszłam szukać ojca i wzięłam misia”.

Przycisnęła kartkę do piersi i łzy spłynęły jej po policzkach.

Corey nie uciekła dlatego, że ktoś jej na wycieczce zrobił przykrość czy dlatego że panna Simpson wciąż nie przeniosła jej do grupy dzieci zaawansowanych w czytaniu. Uciekła, bo chciała znaleźć ojca. Zaplanowała to. W przeciwnym razie nie zostawiłaby kartki. Gdy Joe zadzwonił, Samantha wciąż płakała. A kiedy przekazywała mu wiadomość od Corey, wydawało się jej, że Joe też z trudem tłumi łzy.

Poszukiwania przerwano o drugiej nad ranem. Zalegała gęsta mgła i widoczność była niemal zerowa. Kobiety i mężczyźni, którzy zgłosili się na ochotnika, by przeszukać lasy ciągnące się wzdłuż szosy, odesłano do domów dla ich własnego bezpieczeństwa. Nowa grupa policjantów kontynuowała poszukiwania w zabudowaniach gospodarczych okolicznych farm. Nie spodziewano się jednak, by zanim wszędzie słońce, akcja została uwieczniona sukcesem.

– Nie mogła ująć daleko. Na pewno ją znajdą – powiedziała z nadzieją w głosie Samantha.

– Ma ciepłą kurtkę, nie zmarznie – pocieszał się Joe, choć oczyma wyobraźni widział dziewczynkę trzęsącą się z zimna, z twarzą zalaną łzami. Ten obraz prześladował go przez całą noc.

Koleżanki ze szkoły już dawno się rozjechały. Tylko Polly spała zwinięta w kłębek obok telefonu. Obudzili ją delikatnie i poradzili by wróciła do domu. Musi się choć trochę przespać przed jutrzejszymi zajęciami w szkole. Choć na pewno nie będą to zwyczajne lekcje. Samantha wyobrażała sobie, ile pytań będą zadawali uczniowie. Ucieczka Corey stanie się tematem dnia.

– Idziemy do łóżka – powiedział Joe po wyjściu Polly.

– Za nic nie zasnę – odparła Samantha.

– Idziemy do łóżka – powtórzył. – Weź prysznic i przygotuj już sobie rzeczy na rano. Jak tylko będzie telefon, że wznowiają poszukiwania, wstaniesz i szybko się ubierzesz.

Wiedział, że tylko takim argumentem skłoni ją, żeby się położyła i choć trochę

zdrzemnęła. Tylko z tego powodu zresztą zgodził się przyjechać do domu. Samantha była wykończona. Twarz miała przeraźliwie bladą, oczy podkrążone, policzki zapadnięte. Serce mu się krajało, gdy na nią patrzył.

– Znajdziemy ją – obiecał.

– Chciałam jej jeszcze szukać.

– Teraz to nie miałoby sensu – tłumaczył. Przyciągnął ją do siebie i przytulił. – Idź do łazienki. Potem ja wezmę prysznic.

– Chciałabym to ja być tam na dworze zamiast niej – łkała.

– Samantho, proszę...

Popatrzyła na schody. Wydawało się, że może dom dostarczy jakiejś wskazówki. Dom? To nonsensowne. Dostateczną wskazówką była kartka od Corey. Poszła szukać swego ojca. I nic ze sobą nie wzięła. Samancie wydawało się, że brakuje kilku puszek tuńczyka, ale i tego nie była pewna. Tuńczyk i miś. Wyglądało, jakby Corey nie chciała niczego, co dostała od nich.

Joe przez jakiś czas słyszał szum wody w łazience, po czym zasnął. Był skonany. Ocknął się dopiero na dźwięk telefonu.

Gorączkowo sięgnął po słuchawkę.

– Halo! – Usiłował zebrać myśli. Przez chwilę nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Gdzieś w oddali leciała woda. Oprzytomniał nagle, gdy usłyszał głos po drugiej stronie linii.

Gdy Samantha wyszła spod prysznic, już na nią czekał.

– Odszukali ją – oznajmił. – Czuje się dobrze.

– O mój Boże. – Pod Samantha nogi się ugięły. Byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał.

– Kiedy zrobiło się ciemno, schowała się w sianie na strychu jakiejś farmy. Opowiedziała policjantowi, którą ją znalazł, o jakiejś książce, którą jej czytałaś.

Samantha rozplakała się.

– Już teraz wszystko w porządku – uspokajał ją. – Zaraz ją przywiozę.

– Ty? My ją przywieziemy.

Była nie ubrana i cała się trzęsła ze zdenerwowania. Trzymał ją, ale nie był pewien, czy dodaje jej sił, czy raczej sam ich potrzebuje.

– Jadę – zdecydował. – To sprawa między mną a nią.

– O czym ty mówisz?

– To Dinah telefonowała. Szeryf ją pierwszą zawiadomił. Jest teraz z Corey w szpitalu.

– W szpitalu?

– To rutynowe postępowanie.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że to sprawa między tobą a Corey? – Samantha powoli owijała się ręcznikiem.

– Corey powiedziała Dinah, że ja jej nie chcę – wyrzucił z siebie. – Może pomyślała sobie, że z własnym ojcem lepiej się jej poszczęści. Że zdoła go przekonać, żeby ją wziął.

– O Boże – westchnęła Samantha.

– Biorąc pod uwagę to oraz to, co usłyszała od ciebie, Dinah zastanawia się teraz, co z nią zrobić. Boi się, że jeśli przyśle ją tutaj, Corey znowu ucieknie.

- O, nie, Joe...
- Muszę jej wszystko wyjaśnić.
- Przecież możemy to zrobić razem – nalegała Samantha.
- Nie. To z mego powodu uciekła. I ja muszę spowodować, żeby wróciła. Zaufaj mi.

Samantha wpatrywała się w niego przez chwilę. Wreszcie skinęła głową.

- Dobrze. W takim razie jedź.

Uśmiechnął się. Pierwszą połowę batalii wygrał.

- Przygotuj jej łóżko – poprosił. – Myślę, że jest potwornie zmęczona.
- Oczywiście. Zawahał się przez chwilę.
- Życz mi szczęścia – powiedział.
- Myślę, że nie trzeba. Wszystko będzie dobrze.

Szpital, do którego zawieziono Corey, znajdował się na granicy sąsiedniego hrabstwa. Przez telefon Dinah powiedziała, że policjant, który znalazł dziewczynkę, ocenił, iż musiała przejść prawie dwadzieścia kilometrów.

Nie lada z niej wędrowiec, pomyślał z niejaką dumą Joe.

Jechał tak szybko, jak to było możliwe we mgle, zadowolony, że uległ zachciance i kupił sportowy samochód. Przy najbliższej okazji zamierzał zamienić go na jakiś większy, może coś w rodzaju minivana, ale w tej chwili w całej pełni docenił możliwości szybkiego wozu. Zaparkował na miejscu zarezerwowanym dla personelu i pobiegł do izby przyjęć.

Zastał Dinah Ryan czekającą obok parawanu, którym zasłonięto łóżko Corey, żeby mogła odpocząć w spokoju. Na jego widok wstała z krzesła i stanęła przed parawanem, jakby chciała mu uniemożliwić jakikolwiek kontakt z dziewczynką.

- Najpierw porozmawiamy – powiedziała.

Joe, co prawda, nie mógł się już doczekać, kiedy zobaczy Corey, ale rozumiał, że trzeba najpierw załatwić formalności.

- Mów.
- Ona nie chce wracać z tobą do domu – oznajmiła Dinah.
- Czy powiedziała dlaczego?
- Twierdzi, że jej nie chcesz.
- Myli się.

Wyraz twarzy Dinah złagodniał.

– Wiem, co przeżyłeś tej nocy: odchodziłeś od zmysłów. Jesteś dobrym człowiekiem. Lubisz dzieci i nie chcesz, by któremukolwiek działa się krzywda. Ale to nie to samo co chcieć ją zatrzymać na zawsze. Samantha powiedziała mi wczoraj, co myślisz na temat adopcji.

– Myliłem się. Dzwoniłem do ciebie w ciągu dnia kilka razy, żeby cię powiadomić o naszej decyzji. Jeszcze zanim się dowiedziałem, że Corey zniknęła.

- Niezależnie od wszystkiego nie zdołałeś przekonać Corey, że chcesz ją zatrzymać.

– Dinah, dopiero przedwczoraj poinformowałaś nas, że jej ojciec nie chce mieć z nią nic wspólnego. Na litość boską, nie mogłaś się spodziewać, że powiemy Corey o naszych planach przed rozmową z tobą. Baliśmy się, że może nie jesteś o mnie najlepszego zdania. Chcieliśmy

najpierw upewnić się, że będziemy mogli ją zaadoptować i dopiero wtedy powiedzieć jej o tym. Żeby oszczędzić jej ewentualnego rozczarowania.

– Ona słyszała moją rozmowę z Samanthą.

– Biedne dziecko – westchnął Joe. – Czy ona rozumie to wszystko?

– Na tyle na ile dziecko może zrozumieć takie sprawy. Nigdy nie znała ojca. Myślę, że na dobre zniknął z pola widzenia.

– I co będzie?

– To zależy od ciebie. I Corey.

Joe zobaczył, że zasłona parawanu uchyla się lekko. Ujrzał małą dłoń z plastikowymi pierścionkami na każdym palcu. Chciał ją chwycić, zatrzymać, ale nie zrobił tego. Skierował wzrok na twarz Dinah.

– Kocham Corey. – Usłyszał, jak mówi te słowa, i wiedział, że są one prawdą.

Był wstrząśnięty własnym oświadczeniem. Dopiero przedwczoraj uświadomił sobie, że naprawdę pragnie być ojcem Corey. Samanthą i on potrzebowali dziecka, a Corey potrzebowała rodziców. Samanthą już ją kochała. Po raz pierwszy od prawie roku wszystko wydawało się znowu łatwe i proste. Teraz jednak wcale nie było proste. Kochał Corey przypuszczalnie już od pewnego czasu. Jeśli nie zdoła jej przekonać, by wróciła z nim do domu, straci ją na zawsze.

Odchrząknął, ale i tak głos miał nienaturalnie zachrypnięty.

– Kocham ją, bo lubi żywe kolory i puzzle, i misia, bardziej niż lalki.

Dinah zmarszczyła brwi.

Mówił coraz szybciej, starając się przekonać pannę Ryan.

– I dlatego, że ciągle ma kłopoty ze zwykłymi literami, ale doskonale pisze drukowanymi. I dlatego, że lubi czytać i pamięta wszystko, co przeczytała. Posłuchaj, Dinah. Kocham Corey, bo czasami zakrada się do mego gabinetu i przegląda encyklopedię. Wiem, że to robi, ponieważ nie zawsze odkłada tom na właściwe miejsce.

– O czym ty mówisz, Joe? – Dinah wyglądała na zakłopotaną.

– I zawsze jezioro nazywa jeziorem, a nie stawem.

– Jezioro...? Joe, dobrze się czujesz?

– I kocham ją za to, jak je kurczaka z rusztu. I za to, że jak jest chora albo źle się czuje, nie chce nikomu sprawiać sobą kłopotu.

Zasłona rozchyliła się i zobaczyli buzię dziewczynki.

– Ale i tak pan wstał, jak się źle czułam!

– Bo nikt nie powinien chorować w samotności. – Pochylił się i popatrzył jej prosto w oczy. Ale nie podszedł do niej. Kątem oka widział, że Dinah oddaliła się o parę kroków.

– I kocham Corey również dlatego, że ma takie piwne oczy jak ja, i takie jasne włosy jak moja żona. Oczywiście kochałbym ją również, gdyby jej włosy miały kolor purpury.

– Purpury? – powtórzyła niepewnie dziewczynka.

– Kocham ją również dlatego, że nawet w trudnej sytuacji jest dzielna, stara się nie kłamać i myśleć o tym, co czują inni. Kocham ją zresztą z powodu całej masy rzeczy. – Przerwał na chwilę. – A to dopiero początek – dodał.

Corey stała w miejscu, niepewnie szurając nogami.

– I dlatego, że rozbił pan przeze mnie samochód i że spaliłam chatę i zniszczyłam mandolinę? – spytała wreszcie.

– Może niekoniecznie dlatego. Zmarszczyła brwi.

– Kocha mnie pan tak jak panią Sammy?

– Inaczej.

Skinęła głową. Wyglądało na to, że zrozumiała.

– Tak jak pan Harlan kocha Mary Neli? – spytała.

– Właśnie tak.

– I chce mnie pan znowu zabrać do domu?

– Chcę być twoim ojcem. Na zawsze. Zgodzisz się?

– Czy pani Sammy wie o tym?

– Oczywiście. Zgadza się, jeśli będę twoim ojcem tak długo, jak długo ona będzie twoją mamą.

Corey podniosła głowę. Patrzyli na siebie. Ich spojrzenia spotkały się na jedną długą, bardzo długą chwilę.

– Usłyszałam pana głos.

– Cieszę się.

– I... pomyślałam, że może jednak mnie pan lubi.

Joe rozprostował ramiona. Skoczyła ku niemu i przywarła do jego piersi. Objęła go za szyję tak mocno, że przez moment bał się, że go udusi. Popatrzył na Dinah.

– Czy słyszałaś kiedyś powiedzenie, że posiadanie stwarza korzystną sytuację prawną? – spytał.

Dinah ocierała oczy.

– Weź ją do domu – powiedziała tylko.

– Formalności załatwimy jutro?

– Z samego rana.

Odwrócił się, żeby nie zmieniła zdania. W drzwiach holu szpitalnego czekała na nich Samantha. Pomyślał, że zapamięta ten moment na całe życie. Kiedy będzie już starym człowiekiem, jej obraz będzie mu wciąż stał przed oczami. Rozpuszczone jasne włosy, promienny uśmiech i łzy spływające po policzkach. Stała jeszcze przez chwilę, po czym podbiegła ku niemu. Płakała, tym razem płakała ze szczęścia.

Joe trzymał w ramionach Corey. Samantha objęła ich oboje. I teraz miał już pewność, że jest mężczyzną, któremu nie brak niczego.

Jest mężczyzną, który ma wszystko.

EPILOG

Samantha była w jadalni. Słyszała, jak Joe rozmawia przez telefon.

– Oczywiście, rozumiem, że masz problemy z Corey. I dlatego mówię ci, co możesz zrobić. Po pierwsze, daj sobie spokój z zajęciami praktycznymi. Znajdź dla niej coś bardziej ambitnego.

Samantha westchnęła. Miała niemal przed oczami twarz Connie Antonio, kiedy Joe wyjaśniał jej, co ma robić, żeby jego córka, czwartoklasistka, nie przysparzała jej problemów. W ubiegłym roku to samo tłumaczył nauczycielce trzeciej klasy, mniej więcej o tej samej porze, jesienią. Podejrzewała, że takie rozmowy będą się powtarzać, dopóki Corey nie skończy szkoły.

Czerwona postać z powiewającym końskim ogonem przemknęła przez pokój.

– Nie idźcie za daleko. Kolacja jest dzisiaj wcześniej. Tenisówki zaskrzypiały na starej sosnowej podłodze.

– Co będzie?

– Kurczak.

– Z różną?

– A jak!

– Josh! – zawołała Corey.

Samantha obserwowała córkę, która zatrzymała się na sekundę. Była w niej taka sama nieposkromiona energia jak w Joe i właśnie uczyła się ją kontrolować.

Dziewczynka była teraz o dwa lata starsza, wyższa i zdrowsza niż wtedy, gdy ją adoptowali. Często się śmiała, a jej piwne oczy błyszczały radośnie. Miała żywą, inteligentną twarz, z wyrazem zaciekawienia wszystkim i wszystkimi dokoła. Była zgrabna, opalona i sprawna. Należała do drużyny gimnastycznej, świetnie jeździła konno. Podobnie jak Mary Neli, która wciąż była jej najlepszą przyjaciółką. Jeszcze o tym nie wiedziała, ale na Boże Narodzenie miało się spełnić jej największe marzenie. Dostanie w prezencie konia.

– Josh! – zawołała jeszcze raz.

– Szyby popękają od tych wrzasków – upomniała ją Samantha.

– Akurat, akurat – użyła słów, które równie dobrze mógłby wypowiedzieć Joe. Stawała się do niego coraz bardziej podobna.

Do pokoju wszedł, utykając, ciemnowłosy chłopczyk. Był o głowę niższy od Corey, wciąż jeszcze blady po wielu miesiącach spędzonych w szpitalu. Samancie na jego widok ścisnęło się serce, tak jak to się działo każdego dnia od czasu, gdy Josh z nimi zamieszkał.

– No, chodź, Josh – powtórzyła Corey, opierając ręce na biodrach. – Musisz mnie wreszcie złapać. Będę biegła aż do jeziora.

Zatrzasnęła za sobą drzwi. Samantha widziała przez okno, że idzie bardzo wolno.

Gdy do pokoju wszedł Joe, chłopczyk najpierw przywitał go z promiennym uśmiechem dziecka zakochanego w swym ojcu, a dopiero potem pokuśtykał za siostrą.

– Popatrz, całkiem nieźle sobie radzi – powiedziała do męża. – Muszę przyznać, że to

zasługa Corey. Naprawdę Josh coraz sprawniej się porusza.

- Wyglądasz na zmęczoną. – Joe podszedł do niej i objął ją mocno.
- Cóż, bycie matką to ciężka praca. Jak to dobrze, że mogę sobie zrobić małą przerwę.
- Josh nie tylko ma sprawniejszą nogę. Wydaje się, że w ogóle nabrał sił.
- Corey pilnuje, żeby ćwiczył. Powiedziała, że to obowiązek starszej siostry.
- Żeby mu tylko za bardzo nie matkowała – roześmiał się Joe.
- On potrzebuje matki. I teraz ma dwie.
- I tatę dodał.
- Którego uwielbia.
- Aha, dzwoniła Dinah – przypomniał sobie nagle. Samantha odchyliła się. Ramiona Joe

były ciepłe i silne, były to ramiona, które mogły unieść każdy ciężar.

- Pytała o Josha? – zainteresowała się.
- Niezupełnie.
- Joe, nie mów mi... – Otworzyła oczy.
- W porządku, nic nie mówię.
- Ma dla nas następne dziecko?
- Powiedziałaś, że bym nie mówił.
- Masz rację. Nie teraz. Wieczorem weź mnie do łóżka. Będziemy się kochać i wtedy mi

powiesz.

Poczuła we włosach jego dłoń. Głaskał ją i pieścił. Pocałował ją w czubek ucha. Miał gorące wargi.

- Bliźniaczki – szepnął.

Corey rzucała do jeziora pokarm dla psów. Atylla głośno protestowała, w końcu odpłynęła dalej.

– Widzisz, Josh? Ryby przyplływają po jedzenie prawie do samego brzegu – zwróciła się do brata.

- Ryby jedzą to co psy?

– Sama nie wiem dlaczego. Może w tym jedzeniu są robaki i coś, co lubią ryby. – Patrzyła na środek jeziora, gdzie jej ojciec przycumował tratwę, którą sam zbudował. Mogła teraz pływać tam i z powrotem. Oczywiście, gdy w pobliżu był ktoś dorosły.

- Zawsze tu mieszkałaś? – spytał Josh. Corey zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Kiedyś mieszkałam gdzie indziej, ale niewiele z tego pamiętam.

– A ja nie pamiętam dużo ze szpitala.

– Kiedyś też byłam w szpitalu i tatuś przyszedł, i zabrał mnie ze sobą.

– Do swego domu?

– Kiedy wyszliśmy ze szpitala, pocałował mnie i powiedział, że jestem jego małą dziewczynką. – Rzuciła do jeziora garść jedzenia. – No tak, wtedy nie byłam duża.

– Lubię tu mieszkać.

Corey pomyślała o tym wszystkim, co lubi. O ciepłych objęciach rodziców i zimnej wodzie w jeziorze. O nowej chacie, którą Joe zbudował w lesie. O mamie, która uczy ją

układać bukiety, i o tacie, który zabierają na mecze. O cieniach tak śmiesznie tańczących na suficie przy blasku księżyca. O pluszowym misiu, który śpi sobie smacznie na jej poduszce. O babci Rose. O babci Kathryn i o dziadku Fischerze.

Wzruszyła ramionami.

– Przecież to dom.

– Tak, dom. – Josh też wzruszył ramionami.

Stali, obserwując ryby. A potem trzymając się za ręce, poszli razem w kierunku domu. Swego domu.